WACŁAW GĄSIOROWSKI
(WIESŁAW SCLAVUS)

GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE

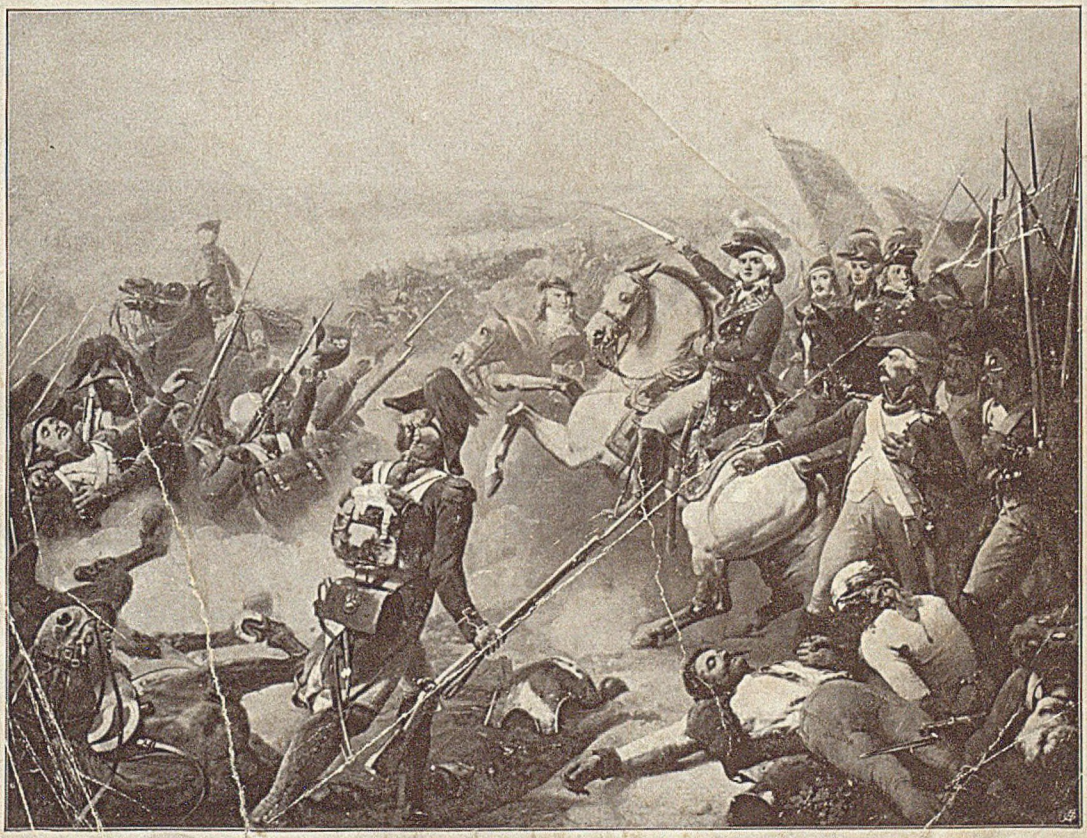

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE

Państwowe Liceum Pedagogiczne
Biblioteka
Gliwicach

№ 1994

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr

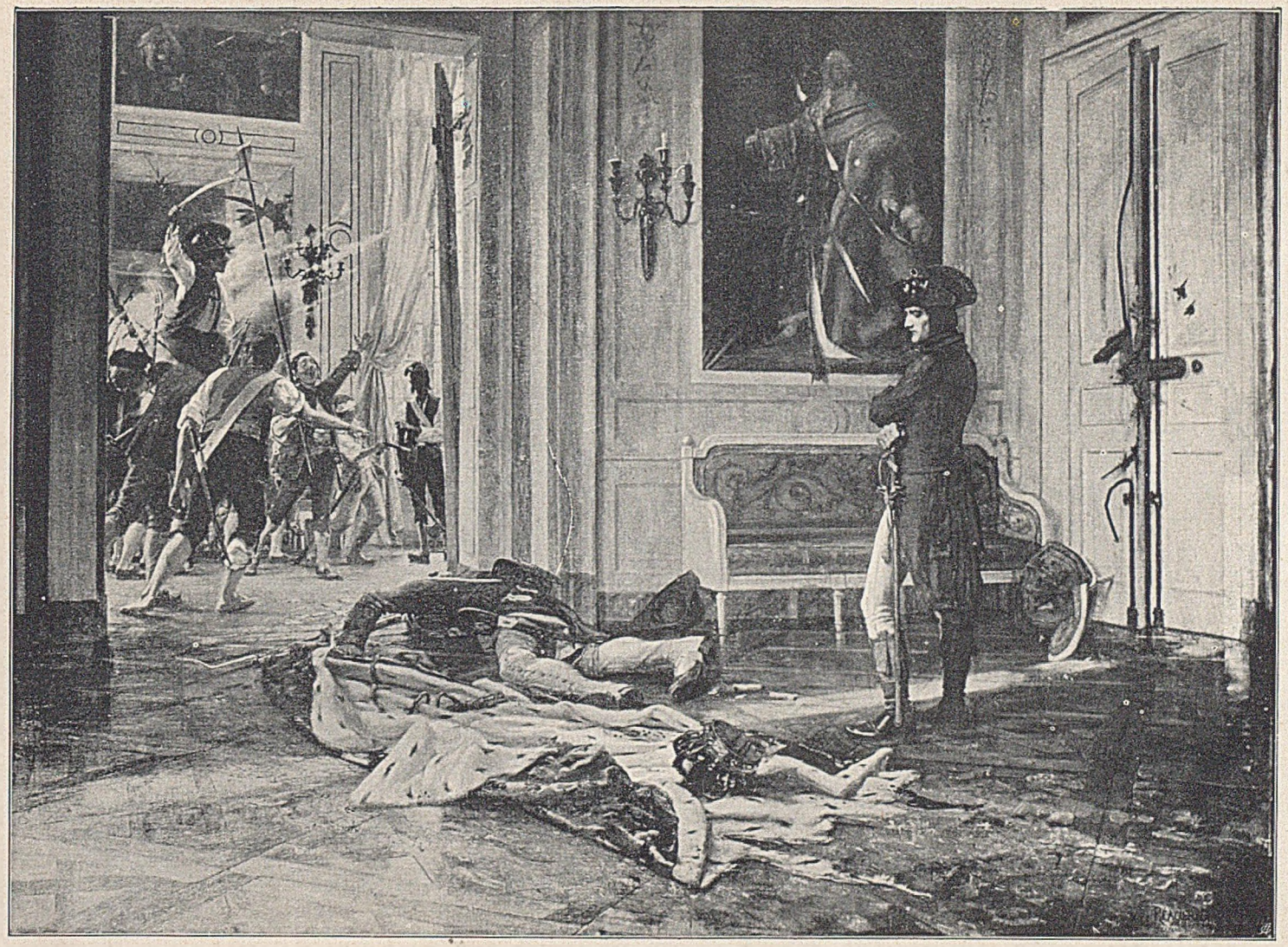

BONAPARTE PODCZAS RABUNKU TUILERIES
(według obrazu M. Réalier-Dumar)

WACŁAW GĄSIOROWSKI
(WIESŁAW SCLAVUS)

GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE

POKŁOSIE SPUŚCIZNY PAMIĘTNIKARSKIEJ NAPOLEOŃCZYKÓW

WYDANIE OZDOBIONE 112 REPRODUKCJAMI OBRAZÓW, PORTRETÓW I WINIET SŁAWNYCH MISTRZÓW:
GÉRARDA, DELAROCHA, TARDIEU, CHEŁMIŃSKIEGO, MEISSONIERA, DAVIDA, JOBA, GUERINA, KRATKEGO, GEORGES BERTRANDA, DUPAIN'A, BOUCHOTA, CLAIRIN'A, ORANGE'A, PHILIPPOTEAUX, LANGLOIS'A, GROSA, CHECA, VERNETA, BELLANGÉ'A, LE DRU, SERGENTA, CHARTIERA, DUMARA, CHARLETA, RINCONA, MIRVAULTE'A, WALBONNE'A, BELLECOURTA, LAURENSA I WIELU INNYCH

Państwowe Liceum Pedagogiczne w Gliwicach Biblioteka
№ 1994

WYDANIE DRUGIE

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr 1994

WARSZAWA 1938

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

Państwowe Liceum Pedagogiczne w Gliwicach Biblioteka
Gąs
Gaw
1994
8-3

PRAWA PRZEDRUKÓW I PRZERÓBEK ZASTRZEŻONE

Studium Nauczycielskie Biblioteka Gliwice
929 zb. "18" (02,025.2)
SN 21040

ODBITO 2400 NUMEROWANYCH EGZEMPLARZY

№ 1712

Politechnika Śląska BIBLIOTEKA Kolegium Pedagogiczne
Kolegium Nauczycielskie BIBLIOTEKA Gliwice
94(44);355.48;929-051]"18"

KRAKÓW — DRUK. W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

WSTĘP DO GAWĘD

Państwowe Liceum Pedagogiczne
Biblioteka
w Gliwicach

Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 1994

Gawędy żołnierskie! Więc forma nie wymyślna, więc myśl prosta, więc ani chęć olśnienia słuchaczów, ani przekonania, więc opowieść dla opowieści, więc echo biwakowych szeptów, więc łza wspomnienia, więc uśmiech smutny a dobry, więc westchnienie starca ku młodości minionej, ku jesieni przeżytej.

Gawędy żołnierskie, — to nie polityka i nie rozprawa wojskowa, to nie wyliczanie armii, nie rozpatrywanie błędów strategicznych, nie ważenie racji zmagania się, siłowania. Gawędy żołnierskie — to kwiat, zerwany na wspólnej mogile walczących, to pogoda duszy, zapatrzonej tam, kędy ustają waśnie i spory, kędy rycerski poryw splata dłonie wrogów, kędy z bitewnego odmętu, z pożogi, z morza krwi i niedoli piękno szlachetnego rzutu snuje ku potomności swe złote nici.

Żadna z epok wojowania ludów nie zrodziła tylu gawędziarzy, co napoleońska, bo i żadna bodaj nie miała tyle niepowszedniego tworzywa w samym życiu wodza, żadna tak mocno nie otarła się o granice nieprawdopodobieństwa i żadna tylu równocześnie narodów nie zdołała ogarnąć bojowymi hasłami i żadne tylu i tak szybkich nie dokonała przewrotów. Trony padały

i wznosiły się, państwa waliły się w gruzy i rosły. Europa co dnia zmieniała szachownicę swych granic politycznych, prostym żołnierzom zarzucała na ramiona gronostaje, mitrami zdobiła skronie mężnych, ustanawiała nie tylko nowe dynastie, lecz podwaliny nowych wielkich rodów budowała. Jeden dzień miał w owych czasach więcej historii niż niejedno stulecie! Świat należał do walecznych.

I biegła młodość pod sztandary i stawała pod orłami Bonapartego lub przeciw orłom tym szła, — i walczyła i śniła o zwycięstwach.

Na wojaczce lata schodziły aż zgasła na horyzoncie Atlantyku gwiazda wielkiego wojownika. Swary i poswarki ścichły, umilkły złośliwe plotki, szeregi napoleończyków, z godziny na godzinę, rzedły, gawędy już jeno u kominków rozpowiadały wnukom o „ukochanym cesarzu“ lub o „srogim zbóju“. Aż zabrakło i dziadów i wnucząt i kominków a gawęda przebrzmiała, poszła w dal.

Nasz dorobek gawędziarski z tej epoki jest bodaj jednym z najuboższych. Niepokoje, ponapoleońskim czasom bliskie, zagłuszyły nam słowa tych serdecznych żołnierzy i unicestwiły drogą spuściznę. Tu i owdzie kołacze się niby mglisty wypominek w rodowych papierach, tu i owdzie opowieść ustroiła się w pretensjonalne szczątki literackiego utworu, a zresztą ledwie przeświadczenie zostało, że gawędziarzy było wielu.

Dziś jedynym śladem gawędy są pamiętniki i to w bardzo małym stopniu. Pamiętnikarze bowiem nasi czasów napoleońskich siłą, mocą w zawody poszli, aby nam dać jak najmniej prostoty żołnierskiego swego życia, jak najmniej z tego, co przetrwali, co sami przeczuli, a jak najwięcej z tego co dotyczyło gabinetowych wieści, tajników polityki, a co naówczas tonęło w zamęcie domysłów. Pamiętnikarze nasi nie dali nam stąd opisu dziejów jednego pułku, jednej bodaj kompanii, jednego plutonu, jednego pełnego życia żołnierskiego, lecz za to mnóstwo źle opisanych wielkich bitew, błędnie przytoczonych traktatów i fałszywych wniosków. Większość naszych pamiętnikarzów z tej epoki to najpierw politycy, najpierw statyści, a później zaledwie członkowie rodzin dumnych, a na koniec żołnierze. Oficer, wciśnięty w mrowie korpusu, szeregowiec, tonący w kolumnie armii nie mówi nam, co się wokół niego działo, zapomina o swych najbliższych towarzyszach broni, nie daje nam wyobrażenia o jednej nocy biwakowej, własnego munduru i tornistra zapomina opisać,

a w zamian, ciągle zapatrzony w główną kwaterę, ciągle mając przed oczyma kartę Europy, — strofuje marszałków, wyrzuty czyni generałom i bez mała po laury historyka sięga. A jeżeli do tych ambicyj pisarskich przylgnie chęć podniesienia bliskich sobie lub obniżenia zasług nienawistnych, to już najpotulniejszy czytelnik wprost ku pamiętnikarzom niechęć uczuwa.

Te zarzuty, z małymi wyjątkami, dotykają wszystkich naszych pamiętnikarzów epoki napoleońskiej. I może dla tych niedostatków „gawęda“ byłaby

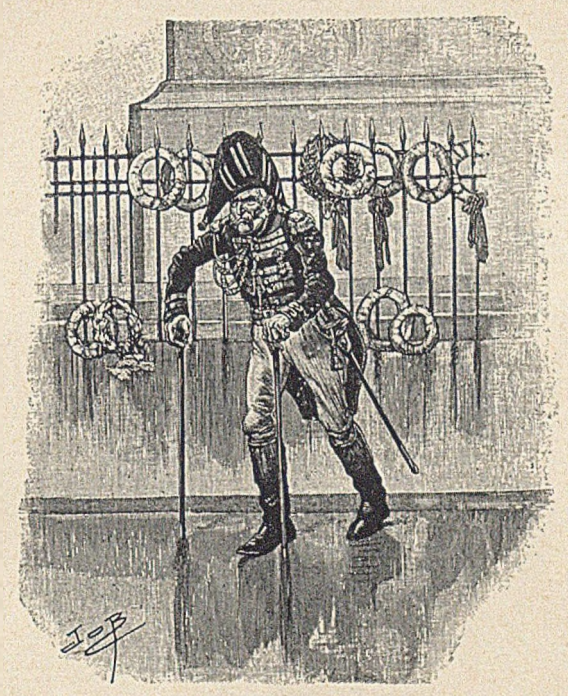

bezpowrotnie pogrzebaną, gdyby nie siła żołnierskiej natury, która krojącemu na rezonera-polityka pamiętnikarzowi wypowiadała posłuszeństwo i między oschłe wywody wpleść zdołała swój szczery odzew, zabrzmieć pełnią jasnego tonu.

W tym pokłosiu pamiętnikarskim o zebranie tych właśnie tonów szło. Odrzuciliśmy więc cały ciężar racji, cały ogrom wojskowych opisów, cały balast wywodów i staraliśmy się wyłuszczyć z pamiętników same ziarna gawędy. I z tych ziarn jeszcze wybraliśmy te, które wydały się nam najprostsze, naj-

barwniejsze, najpogodniejsze. I ziarna tak wybrane rzuciliśmy na te karty bez żadnych uwag, bez żadnych podznaczeń, a to w tym rozumieniu, że gawęda żołnierska nie zawsze bywa używkiem dziejów i że być nim nie potrzebuje, że nawet naiwność jej to tylko wdzięk więcej, że zrodzona w chaosie obrazów, nie może się kusić o ustalenie dat i wypadków, że łączy mimo woli w jedną całość oderwane zgoła zdarzenia, że sięga stóp legendy, że z istoty swej nie ma ani ładu historycznego, ani zszeregowania wrażeń, że bucha płomieniem, jak smolne łuczywo na biwaku, i rwie się, jak głos starca w zdławionej wzruszeniem krtani.

WACŁAW GĄSIOROWSKI

BONAPARTE
(według portretu Philippoteaux)

SZKOŁA WOJSKOWA W WIEDNIU

(1806 — 1809)

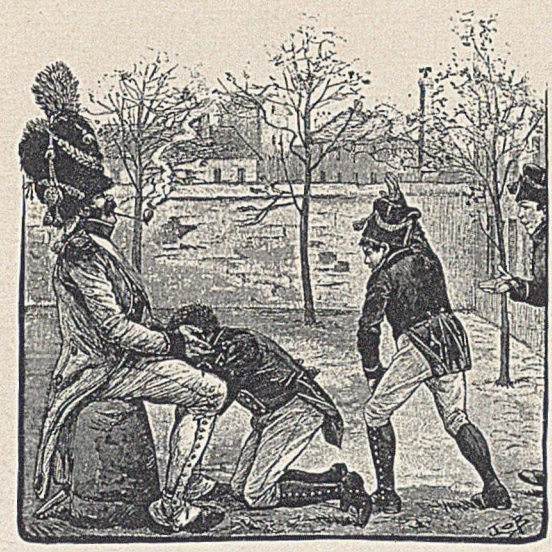

W późnej jesieni, roku 1806 czy 1807, pojechaliśmy, ja, Jan i Wacław, do Wiednia, gdzie nas odwoził szwagier nasz Osławski. W Wiedniu, pod protekcją pani Aleksandrowiczowej, byliśmy generałowi Bourgeois, komendantowi akademii inżynierów, przedstawieni i w kilku dniach do akademii przyjęci. Wacław, jako najmłodszy, wszedł między dziatwę klasy I-ej i II-ej, która zupełnie oddzielnie nauki odbierała, jadła i spała. Ja zaś z bratem moim, Janem, weszliśmy do klasy III-ej, w której było, jak pamiętam, 73-ch uczniów i gdzie już nauki potrzebne wojskowemu dawano. Profesorowie niektórzy byli cywilni, lecz drudzy, jako to: nauczyciel matematyki, byli kapitanami lub majorami inżynierii. Z Polaków, kiedym wszedł, było około 50-ciu, lecz ci prawie wszyscy byli w klasach już wyższych; w naszej zastaliśmy tylko: Tarnowskiego, który później, w pułku 16-ym ułanów polskich, w kampanii 1812 r., kulą w głowę ugodzony, w okolicach Możajska poległ; Ledóchowskiego, który w r. 1848, już jako pensjonowany generał austrjacki, w Węgrzech osiadł; i Dąbskiego z krakowskiego. W innych zaś klasach było dwóch Turnów, Ignacy Ledóchowski, który, jako generał artylerii polskiej, arsenałem warszawskim za Królestwa Polskiego dowodził, a w ciągu wojny 1831 r. twierdzą Modlina; nie robił służby polowej, ponieważ już 1812 r., jako

Studium Nauczycielskie Biblioteka Gniezno

dowódca baterii artylerii konnej, nogę prawą od strzału kuli armatniej był stracił.

Było jeszcze dwóch braci Żwan-Strachockich, Jan Ledóchowski, dzisiejszy poseł sejmu naszego, Jędrzejowicz, dwóch braci Romanków. Zdaje mi się, jeszcze Menciszewski, a reszty już dziś nie przypominam sobie. Akademia ta pod względem naukowym dzieliła się na trzy części: I-sza i II-ga klasa, jak mówiłem, dzieci, III-cia, IV-ta, V-ta i VI-ta uczniów sposobiących się w ogóle do wojska, bez różnicy broni, — VII-ma zaś klasa, już i mundur innego koloru nosząca i w oddzielnym budynku mieszkająca, składała się z wyboru uczniów klasy VI-tej, którzy się do korpusu inżynierów już liczyli i do wszystkich tajemnic budowy fortec austriackich przypuszczeni byli. Klasa ta miała najwięcej 12-tu uczniów, a czasem tylko 10-ciu, jeżeli potrzeby wojsk tego nie wymagały. Było przyjętym, że kto nie chciał do korpusu inżynierów wchodzić, temu wolno było klasę V-tą, gdzie mechaniki uczono, pominąć, to jest, że z IV-tej mógł od razu do VI-tej wstąpić.

Życie uczniów było jak najregularniejsze i takie, jakie wojskowemu przystoi; łóżko składało się z materaca z wałkiem na tymże bez poduszki, przykrycie przyzwoite, odpowiednie temperaturze ogromnych sypialni, gdzie po 60-ciu lub 70-ciu w jednej się mieściło. Każdy miał komodę o trzech szufladach, na której stała miska i kubek, cynowe; do służby uczniów było 20-tu z kompanii saperów; każdy uczeń mógł sobie wybrać służącego, płacąc mu podług naznaczonej taksy, służących nazywano putzer (chędożyciel). Tego obowiązkiem było buty i mundur chędożyć; bo strój nasz był zupełnie podobny do mundurów oficerów piechoty, i jedynie tymeśmy od oficerów się różnili, żeśmy róż u kapeluszów nie mieli, ani też feldcechów u szpady. Podoficerowie zaś saperów, byli naszymi dozorcami, tak w sypialniach jak w klasach. Oficerowie koleją brali inspekcję i trzy razy do nocy sale sypialne, całą noc oświecane, zwiedzali. O godzinie do wstawania wyznaczonej, w lecie 6-tej w zimie 7-mej, podoficer dawał znak do wstawania silnym, podwójnym uderzeniem długim laskowym kijem o szeroką tarcicę. Na znak ten, każdy był obowiązany wyskoczyć równymi nogami z łóżka i siąść na stołku obok tegoż będącym. Na łóżku siedzieć ani się tego dotknąć już nie było wolno. Pół godziny czasu zostawione było do umycia i ubrania się, podczas ubierania wchodził służący cywilny,

ten trzewiki w nocy chędożył i liberię akademicką, podobną do cesarskiej, nosił; wchodził on z koszem pełnym bocheneczków chleba żytniego, kładł każdemu na pościeli należący mu bochenek, który brano do ręki, chowano w zanadrze i stawano w szeregi na długich korytarzach, skąd maszerowano w porządku, po dwóch, do kościoła, gdzie pater Felner, kapelan akademicki, mszę odbywał, do której mu zawsze 4-ch uczniów służyło. Z kościoła szliśmy do klasy i w drodze był czas śniadania. Skoro się do klasy przybywało, najpóźniej w kwadrans zaczynała się lekcja, najczęściej dobrego pisania lub jakiego języka; a po tej dopiero przychodził oficer wykładający matematykę, jako główną podstawę sztuki wojennej, lub inne wojskowe lekcje; o 12-ej szliśmy do stołu, gdzie, oprócz kilku potraw, każdy dostawał porcję wina, pół zejdla. Po obiedzie udawaliśmy się na rekreację do ogrodu, po czym wracano do klas innych jak z rana, gdzie lekcje rysunków dwie godziny trwały; po tych do ogrodu na uczenie się musztry karabinowej, jak szkoły batalionu i, po godzinie rekreacji, wracano do klas naukowych, dokąd zwykle wieczorami przychodził kapłan wykładać lekcję wiary katolickiej; o godzinie 7-ej kolacja z dwóch potraw, z równą ilością wina, i, po kolacji, prosto do łóżka.

Co 6 miesięcy następowała klasyfikacja uczniów: każdemu uczniowi dawano listę imienną całej klasy, aby ten porządek numerów tak, jak cenił zdatność współuczniów, ułożył; po czym, profesor matematyki stanowczą liczbę układał. Wyznać trzeba, że klasyfikacja ta zawsze nader sprawiedliwą była i emulację wielką wzbudzała; dwaj pierwsi uczniowie w każdej klasie tę we wszystkich wypadkach reprezentowali. Brat mój, Jan, choć młodszy ode mnie, był zawsze drugim na liście, bo był nadzwyczajnej pilności i głowę prawdziwą matematyczną posiadał. Pierwszy w naszej klasie był nazwiskiem Ferro, ten był matematyką przesiąkły. Łagodnego charakteru człowiek, ale zabaw unikający. Ile wiem, umarł on w Polsce jako oficer austriackiej inżynierii 1812 r., służąc w korpusie, niby posiłkowym, austriackim. Ja w tej klasyfikacji nie doszedłem wyżej jak do 11-go numeru, ani też spadłem niżej jak 15-ty, miałem bowiem wadę, żem godziny do nauk matematycznych przeznaczone, na czytanie dzieł strategicznych tracił, i tak zawsze pod książką matematyczną trzymałem dzieło inne, strategię wykładające; dlatego też, jakżem zaczął służbę obozową, nic mi nowym nie było, chociaż już wtedy, jako dowódca kompanii (szwadronu)

jazdy, z kolei służbę obozową całego pułku robiłem. Dobre stawianie widet, placówek, zręczne odbywanie patrolów miałem jakby wrodzone, co temu czytaniu jedynie przypisywać mogę, bo dzieła, które nam w tym względzie czytać dozwalano, były nader dokładne. Zastanawiając się nad dokładnością nauk, jakie w akademii istniały, a porównywując te z naukami kursów filozoficznych w Krakowie, przez tychże samych Austriaków wykładanych, nie mogę pominąć systematycznego kierowania umysłów przez rząd austriacki w Krakowie, gdziem się na owcę do strzyży, na krajowego obywatela sposobił: lekcje były tak ciemno dawane, że trzeba było i nadzwyczajnego pojęcia i nadzwyczajnej pilności, aby się czego bądź nauczyć, — tu zaś, w akademii inżynierów, gdzie się już człowiek do służby stanu sposobił, nauki były tak dokładnie dawane, że jak łopatą mieściły się w głowie.

Winienem tu wspomnieć, że, wstąpiwszy do klasy mojej, chciałem się od razu z Węgrami, których było więcej 20-tu, zaprzyjaźnić, lecz do tego przyjść nie mogłem, pomimo usilnego mego starania. Mógłbym to nieco przypisać tej okoliczności, że z bratem moim Węgier, nazwiskiem Krajner, chciał rywalizować, lecz, pomimo że był dobrym uczniem, zdatność brata mego zawsze go za sobą trzymała, czego on strawić nie mógł, a że miał talent kupienia około siebie ludzi, nastąpiło między jego ziomkami a mną więcej niechęci jak przyjaźni i w ogóle charakter ich nie był szczery. Gniewało ich to, że we wszystkich klasach między dwoma pierwszymi zawsze był Polak. Z uczuciami naszymi narodowymi odzywać się tam nie wypadało; a zresztą umiał rząd austriacki umysły dla siebie kierować, bo jak się zaczęła kampania 1809 r., bardzo wielka liczba Polaków, będących w akademii, poszła do wojska austriackiego na oficerów, gdyż było zwyczajem, iż, nawet bez skończenia wszystkich klas, kto się podał, że chce służyć w wojsku, dostawał nominację na oficera. Ja o tym nigdy nie myślałem i, pomimo ostrożności, koniecznie potrzebnej w tym względzie, więcej się z Włochami tam będącymi łączyłem, bo z tych wielka liczba ze wstrętem swym do Austrii się nie taiła.

Co jeszcze charakter polski, odrębny od drugich, okazać może, to że w całej akademii było tylko cztery stancje osobne, które, dopłacając pewną kwotę, można było mieć, aby się tylko na liście żądających zapisać i, pomimo, że w akademii, podczas mojej bytności, wielkie imiona Lichtensteinów, Waldstei-

Napoleon ranny pod Ratysboną (1809)
(według obrazu Gantherota)

nów, Fürstenbergów itp. były, już kilka miesięcy przed moim opuszczeniem akademii, wszystkie cztery stancje przez Polaków były zamieszkane i my nawet, trzej bracia, jedną z tych stancji zajmowaliśmy.

Zapomniałem zrobić wzmianki, że w kilka miesięcy po naszym przybyciu do klasy III-ej zjechała do Wiednia sławna pani Staël-Holstein, córka Neckera. Ta miała syna mego wieku, który do tej samej wszedł klasy. Oddając go, oczywiście z wysokimi bardzo rekomendacjami, co jej położenie między arystokracją austriacką bardzo ułatwiało, że była, jak wiadomo, nieprzyjaciółką cesarza Napoleona, prosiła generała Bourgeois, aby jej syna zapoznał z kilkoma lepiej wychowanymi młodzieńcami, i generał nas obydwóch braci na to wybrał. Pani Staël kilkakrotnie nas na obiedzie u siebie miała, gdzie zawsze towarzystwo znajdywaliśmy liczne, lecz że między tymi gośćmi bywali zawsze dyplomaci tak rosyjscy, jak i inni, Francji przeciwni, a my wówczas całe nasze nadzieje na zwycięstwach Napoleona pokładali, przychodziło tam do częstych

sporów, zresztą młody Staël, ile pamiętam, bawił zaledwie kilka miesięcy w akademii; było to trochę zepsute dziecko i słabej nader komplekcji.

Zwyczaj, a raczej reguła, akademii była, że nikt oprócz uczniów klasy VII-ej nie mógł wyjść na miasto, aby jaki cywilny go nie zaprosił i po niego do akademii nie przyszedł, równie aby po tym aż do odźwiernego nie odprowadził. Znaleźć kogo, aby zaprosił, choćby tylko pozornie, na obiad, było trudno, ale o powrócenie do domu nikt sobie kłopotu nie robił; było więc przyjętym, że się wracało do akademii i o kilkadziesiąt kroków od bramy, pierwszego lepszego cywilnego, który przechodził, prosiło się, aby do odźwiernego odprowawadził, do czego mieszkańcy tej części miasta już byli przywykli. Wychodzić na miasto nie można było inaczej, jak w mundurze i przy szpadzie. Mieliśmy przywilej, żeśmy na teatra dworskie, Burg-Theater i Kärthnerthor-Theater, płacili bilety tak, jak oficerowie garnizonu, t. j. 10 gr. parter i godzina była tak do powrotu spóźniona, że można było bezpiecznie po teatrze z czasem wystarczyć. W lecie wychodziła część uczniów na zdejmowanie planów w okolicy; zgoła nauki wojskowe były doskonałe, lecz za jeżdżenie konno, uczenie się pływania trzeba było osobno płacić, których to lekcyj myśmy nie brali. Umiałem pływać i jeździć na koniu tak, jakżem się w Sędziejowicach sam nauczył. W 1808 r. matka nasza, która była najlepszą matką, zjechała do Wiednia, aby nas odwiedzić i, zdaje mi się, że to jej bytności w Wiedniu winienem, żeśmy stancję osobną dostali, co mi się później bardzo przydało.

Roku 1809, jak wiadomo, zaczęła się wojna w dwóch stronach, t. j. od Renu występowała armia francuska ku Wiedniowi, w czasie kiedy arcyksiążę Ferdynand z Galicji austriackiej, przechodząc Pilicę, jak mówiono, w 40.000 ruszył na Warszawę. Biuletyny, ekstrablaty, po austriacku nazywane, o ciągłych zwycięstwach wojsk austriackich nam donosiły, i, dla wzniecenia większego zapału, zawsze nam te ekstrablaty w czasie obiadu przynoszono, co naturalnie wielkie wiwaty wywoływało, lecz przy wiwatach, nie wiem czy popędem Polaków czy inaczej, każdy, wstawszy z miejsca jak wypił wino ze szklanki, tłukł tę o ziemię. Pamiętam, że w tym akcie z niejednym Włochem tajemnie mrugnąłem, mając przekonanie, że ekstrablat kłamie. Po dwóch takich wiwatach podziękowano nam za gorliwość zapału naszego, jednakże z prośbą, aby szklanek już nie tłuc, co łatwo zrozumieć kiedy przeszło czterysta szklanek za ka-

żdym ekstrablatem pękło. Codziennie przerzedzały się miejsca na ławkach, dla przyjmujących nominacje oficerskie. Razu jednego, po bitwie pod Regensburg, gdzie wojska austriackie dużą klęskę poniosły, przemawia do nas, wykładający nam matematykę, major Ennehuber: „Panowie, niejeden z was podał się z gotowością służenia krajowi, lecz rząd, troskliwy o waszą przyszłość, szlachetne te żądania bez odpowiedzi dotąd zostawiał; teraz jednak nadeszła chwila, gdzie ojczyzna jest w niebezpieczeństwie i rząd oficerów w przerzedzonych szeregach wojska potrzebuje. Wzywam więc każdego z panów, któryby do wojska wejść chciał, aby z miejsca powstał". Oczywiście powstali wszyscy, ja gorliwiej od drugich, bo miałem już mój plan w głowie. Po trzech lub czterech dniach, miarkując, że ministerium wojny, czyli, tak zwany, Hofkriegsrath, szybciej działać będzie jak zwykle z powodu, że wojska francuskie już niedalekimi były, przystępuję do feldfebla, dozór klasy mającego, a który katedrę zajmował kiedy profesora nie było, żądając, aby mię do raportu zapisał. Raport była to forma, jakiej używano kiedy się kto chciał z generałem, szkołą dowodzącym, widzieć. Audiencja ta odbywała się codziennie o godzinie 10-ej z rana. Przytomny jej był, oprócz generała, kapitan inspekcji. Brat mój Jan, który, z powodu miejsca 2-go w klasie, blisko katedry siedział, — pyta mię ze zmarszczonym czołem, po co żądam raportu, odpowiedziałem mu, że to robię w celu, aby generałowi oświadczyć, że nie sądzę, aby nam, bez zezwolenia matki, do wojska wchodzić wolno było i że chcę, abyśmy jechali do Krakowa. Mocno się na to ofuknął, mówiąc, że on chce iść do wojska, lecz ja, równie stanowczo, mu oświadczyłem, że on jest starszy w klasie, ale ja starszy z wieku i że do mnie należy kierowanie nami; był niechętny, ale się sprzeciwiać nie chciał.

Poszedłem więc do generała: był to poważny i sędziwy starzec, wrodzony mars na czole nadzwyczajnie poczciwą duszę ukrywał; mówię do niego w języku niemieckim: „Panie generale, przychodzę do pana, bo wiem, że jego szczególnej opiece jesteśmy oddani. Matka moja, wiem, że pragnie, abyśmy doskonale nauki nasze skończyli, i wcale mnie nie upoważniła, abyśmy je przerywali. Czy nie sądzisz, pan generał, dobrym przychylić się do żądania mojego, abyśmy teraz jechali do domu matki, a gdy nieprzyjaciel wyparty zostanie z kraju, abyśmy powrócili nauki nasze dokończyć". Generał, zastano-

wiwszy się nieco, odpowiada: „Ja, ja, thun Sie's!“ (tak jest, zróbcie tak). Obróciłem się zaraz do kapitana inspekcji i proszę generała, aby go upoważnił do wypuszczenia nas na miasto samych, abym się z agentem mógł o pieniądze rozmówić, na co oczywiście zezwolił. Wracam do klasy i tam brata Jana już zupełnie zgodnego z myślą moją znajduję. Opuściliśmy klasę, poszliśmy się ubrać i do agenta naszego zaszedłem, prosiłem go, aby obrachował, wiele nam pieniędzy zostaje i aby mi te doręczył, żebym mógł landkuczera nająć. Może mu to nie bardzo było do smaku, jednakże, iż był człowiek uczciwy, oświadczył nam, że się stanie podług naszej woli, i prosił, abyśmy o 1-ej godzinie z południa na obiad do niego przyszli, gdzie nam, zostające u niego, pieniądze doręczy. Stało się podług jego życzenia. Skorośmy przyszli, 600 kilkadziesiąt reńskich mi doręczył, po czym siedliśmy do stołu; uważałem na twarzy jego nieukontentowanie, lecz przypisywałem to jedynie wypuszczeniu z rąk swoich pieniędzy. W końcu dopiero obiadu mówi do nas: „Panowie Polacy pięknie się dziś w akademii inżynierów odznaczyli“; a na zapytanie moje, co się stało, oświadcza nam, że przyszły nominacje na oficerów i że żaden Polak nominacji nie przyjął. Nie chciałem mówić, żem głównym tego kroku sprawcą, bom kilka dni między podaniem się naszym a tym dniem był użył, aby każdemu Polakowi przedstawić, że nam nie wypada w służbę austriacką wchodzić, a krok mój do generała, w momencie wszędzie wiadomy, okazał im jakiej się drogi trzymać mają. Opuściliśmy dom agenta, wracając do akademii, gdzieśmy zastali ruch nadzwyczajny, bo każdy był nominację na oficera odebrał i feldcech do szpady przypiął; zastałem i ja nominację moją i mego brata, które, w trójkąt złożone, bez odpieczętowania czytać było można, i widziałem, żem do Orelli'ego chevaux-leger'ów na podporucznika był przeznaczony. Natychmiast te nominacje do pokoju kapitana inspekcji zapieczętowane odniosłem. Widać, że uczniom akademii tego postępowania Polaków nie ogłoszono, bo każdy z kolegów, który mnie spotkał, pytał do którego pułku jestem przeznaczony i każdy się dowiedział, żem w Orelli'ego chevaux-leger'ach. Nazajutrz wyprowadziliśmy się do miasta, gdzie landkuczera zgodziłem.

Wojska francuskie były wtedy w St. Pölten, t. j. o 2 czy 3 stacje pocztowe od Wiednia, tak że oddział jeńców francuskich, który widziałem, nie opatrzony

z ran, świeżą krwią broczył. Zamieszanie w Wiedniu było wielkie, plakaty, wzywające do broni, były liczne, jeden tworzył korpus strzelców liberyjnych; inne każdy stan, stosownie do możności, do stawania w szeregach zachęcały, a liczba uchodzących ku Węgrom i Galicji była wielka. Nagliliśmy furmana, aby spiesznie wyjeżdżał, do czego i on, ile mógł, prędko się zabierał. Dokompletowaliśmy mu podróżnych przez zabranie z sobą Jędrzejowicza, który później był kapitanem artylerii konnej polskiej, zdaje mi się, Strachockiego i Romanków. W Wiedniu, w hotelu, gdzie stałem, leżał Polak Krzysztof Turno, któremu 100 reńskich pożyczyłem, bo był bez grosza, a zbyt chory, aby mógł jechać; wszedł on do służby, jak weszły wojska francuskie i mężnie przy szturmie Saragossy poległ, jako adiutant generała Bronikowskiego.

(Henryk Dembiński, generał)

ZDARZENIE
PODCZAS ZAWIESZENIA BRONI

W MIESIĄCU LIPCU 1813 ROKU

PO SZARŻY
(według obrazu H. Chartier'a)

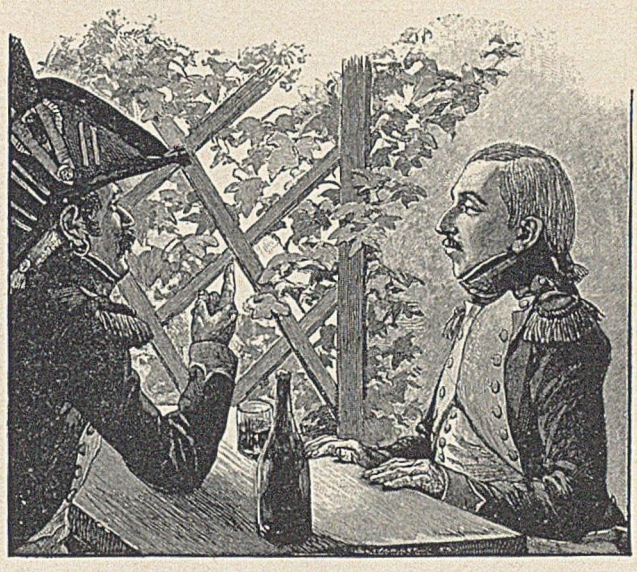

Gdy w roku 1813 korpus partyzancki generała pruskiego Lützowa, w czasie zawieszenia broni, okolice miasta Lipska niepokoił, dywizja polska generała Dąbrowskiego, organizująca się podówczas w Wetzlar i okolicy, a składająca się z trzech pułków pieszych (2-go, 4-go i 14-go), z dwóch pułków ułanów (2-go i 4-go) i z baterii artylerii konnej podpułkownika Szweryna, dostała rozkaz udania się ku Lipskowi, gdzie podówczas znajdowały się wielkie magazyny wojskowe i lazaret, dla rozp dzenia owego korpusu, oraz dla obrony miasta samego, w którym tylko małe oddziały marszowe były.

Nie dochodząc Lipska, pomiędzy miastami Weissenfels, Zeitz i Gerra, pułki naszych ułanów, pod komendą generała brygady Krukowieckiego, napadły na kilka szwadronów tak nazwanej Legii Zemsty (Rache-Legion) z korpusu tegoż samego i te zabrali do niewoli. Generał Lützow, poniósłszy w tej i innych potyczkach strat tyle, widząc, że i na swej partyzantce utrzymaćby się nie mógł, spiesznym marszem i prawie ucieczką (jak to zwykle Prusacy czynią) przebył rzekę Elbę i tam połączył się ze swymi. Nasza zaś cała dywizja otrzy-

mała rozkaz, po uspokojeniu okolic, udać się do samego miasta Lipska na załogę, gdzie podówczas dowodził książę Padwy, stryj Napoleona.

Już kilka tygodni staliśmy spokojnie w tym mieście, gdy nagle odbieramy rozkaz być w pogotowiu do przeglądu naszej dywizji, której sam cesarz ma być przytomnym.

Trzeba wiedzieć, że ten wielki wódz, widząc, że wszelkie umowy w Pradze na niczym się kończą, chciał się naocznie przekonać o sile, moralności, porządku całego wojska, wszystkie zatem korpusy wojska swego sam oglądał. Chciał tedy i naszą dywizję, która całkiem nowoumundurowana i uzbrojona była, nareszcie i kilka tysięcy kawalerii, razem z artylerią konną, niedawno z Francji przybyłą, bystrym swym okiem przejrzeć i przekonać się, do czego i gdzieby ich użyć mógł lub przeznaczyć.

Dnia 20-go lipca, jak najraniej, cały garnizon Lipska wyruszył za miasto i uformował się na błoniach za Rosenthalem w trzy linie. Na czele stała nasza piechota. Wkrótce przybył i cesarz lekkim koczykiem, mając przy boku swym generała Mouton, którego zawsze zwykł był brać dla donośnego głosu w komendzie; na koźle zaś siedział ulubiony i wierny mameluk, Rustan.

Wysiadłszy z powozu, obejrzał cesarz całą linię, z uwagą przypatrując się wszystkiemu, a potem rozkazał generałowi Moutonowi powtarzać od siebie wydane komendy. Musztra trwała krótko. Napoleon z wszystkiego był nadzwyczaj kontent, co wyrażał nie tylko słowami, lecz także gestami i ruchem. Po czym rozkazał nam wrócić do miasta, a sam udał się do reszty wojska zgromadzonego.

Ledwie przybyliśmy do miasta, gdy z placu odebrałem rozkaz, ażeby jeden batalion 2-go pułku wystąpił na rynek miasta Lipska po południu i, uszykowany wzdłuż kamienic czworoboku placowego, oczekiwał przybycia cesarza. O godzinie 4-ej z południa już batalion stał uszykowany, wkrótce przybył i cesarz, i znów przechadzał się poprzed linią, a który z żołnierzy mu się podobał, *w języku polskim* go zapytywał skąd rodem, wiele lat służy i czy kontent z swego przeznaczenia? I po twarzy kilka razy poklepał. Nareszcie udał się ku ulicy Grimmasche-Gasse, gdzie już czekała kawaleria i artyleria, i rozkazał jej przed sobą przeciągać.

Miło było widzieć mnogie szwadrony karabinierów, kirasjerów, dragonów, szaserów, huzarów i lansjerów, oraz artylerii konnej, które udawały się do pułków dla wzmocnienia. Wielu oficerów, podoficerów i żołnierzy zatrzymywał, wypytując się, jak dawno służą i w których kampaniach byli, a skoro uznał potrzebę, na placu awansował lub krzyżem Legii honorowej zaszczycał. Wszyscy pełni ukontentowania i zapału odchodzili. Ten przemarsz trwał aż do wieczora.

Cesarz udał się potem do kamienicy królewskiej w rynku, bowiem tam miał nocować. Wszyscy upojeni byli radością, widząc go i mając między sobą. Jedni tylko mieszkańcy, i to liczba nieznaczna, tłumili w sobie zaród nieukontentowania. Do późna miasto było oświecone i muzyki grały. A z rana, ledwie się mieszkańcy obudzili, już cesarza Napoleona nie było; powrócił znów do Drezna, swej głównej kwatery.

Nazajutrz po wyjeździe Napoleona, generał Dąbrowski otrzymał rozkaz, ażeby dnia 24-go lipca wymaszerował z swą dywizją z Lipska i udał się do Wittemberga nad Elbą, a tam dalsze rozkazy odbierze od generała Vandamma, do którego korpusu należeć mieliśmy. Przybywszy pod fortecę Wittemberg, generał Dąbrowski otrzymał rozkaz od generała Vandamma, ażeby z swoją dywizją przeszedł Wittemberg i o dwie mile od tej fortecy rozlokował się w miastach Zahne i Seid i w pobliskich wsiach.

Już od kilku dni staliśmy spokojnie na kwaterach nowych, gdy nadeszła wiadomość, że zawieszenie broni, które się kończyć miało z 1-ym sierpnia, przedłużonym zostało do 10-go sierpnia. Ażeby zaś przez tych kilka dni wojsko było zatrudnione, cesarz rozkazał, ażeby się ćwiczyło w strzelaniu do tarczy. I tak każda kompania miała swemu dowódcy batalionu przedstawić ośmiu żołnierzy najlepiej strzelających. Dowódca batalionu miał z swego batalionu przedstawić także ośmiu dowódcy brygady. Ten zaś ośmiu dowódcy dywizji, a każdy dowódca dywizji miał z swej dywizji czterech najlepiej strzelających przedstawić dowódcy korpusu. W korpusie zebrani najlepsi ci strzelcy mieli strzelać do tarczy przed generałem dowódcą korpusu, a który najlepiej trafi, odbierze za to w nagrodę 300 franków, przeznaczonych od cesarza.

Tak to ten wielki wódz umiał w każdym razie zatrudniać, oraz zachęcać

swe wojsko, przysposabiając do wielkich swych planów, które następnej kampanii zamyślał wykonywać.

Żywo i z ochotą zaczęło całe wojsko zatrudniać się tym strzelaniem, tym więcej, że naznaczony był dzień, w którym wszyscy dywizjowi strzelcy mieli się zebrać w Dessau, głównej kwaterze generała Vandamma.

Ponieważ byłem w całej dywizji najstarszym kapitanem, adiutantem majorem, otrzymałem rozkaz udania się do Dessau z czterema żołnierzami, wybranymi i tam zameldować się generałowi Vandammowi.

Miasto Dessau było od nas oddalone o sześć mil. Przez całą drogę zachęcałem i wbijałem w ambicję moich żołnierzy, ażeby starali się dobrze strzelać i żeby czasem wstydu nie narobili. Francuzi bowiem sławni byli z trafnego strzelania, a w całym korpusie oprócz naszej dywizji sami Francuzi byli.

Pocieszałem się tym, że moi żołnierze zapewniali, że strzelać będą jeżeli nie lepiej, to nie gorzej od Francuzów; najwięcej zapewniał mnie grenadier z 1-ej kompanii 2-go pułku Józef Jastrzębski.

Drugiego dnia stanąłem w Dessau, a po zameldowaniu się w sztabie żołnierze moi dostali kwatery w mieście; mnie wyznaczono pokój w zamku, z poleceniem, ażebym był u samego dowódcy korpusu.

Któż z nas nie znał Vandamma i jego osobistej odwagi i burzliwego charakteru? Wzrostu słusznego, mężny, brunet, twarz piękna i marsowa, poważny, ubierał się zbytkownie i bogato, lubił żyć lepiej od cesarza, spojrzenia surowego, jednak przystępny, a kiedy było potrzeba, ludzki i pobłażliwy. W całej armii nie było tak srogiego i prędkiego jak on, dlatego dawano mu stosowne do jego charakteru przeznaczenia. Napoleon zwykł był o nim mówić: Gdybym miał drugiego takiego Vandamma, to kazałbym go rozstrzelać. Polaków lubił i zawsze cesarza prosił, ażeby jakąś część do jego korpusu przyłączył, co tym razem cesarz i uczynił.

Miałem tedy osobiście generałowi Vandammowi zameldować się, że przybyłem z dywizji ze strzelcami. Przemieniwszy zatem ubiór, udałem się do niego i oddałem ekspedycje od generała Dąbrowskiego.

Skoro wszedłem, wstał zaraz z kanapy, na której leżał i fajkę palił, i przywitał mnie najgrzeczniej. Wypytywał się o zdrowie generała Dąbrowskiego, da-

wnego swego kolegi, czy dobrze rozlokowani jesteśmy, czy żołnierze kontenci z kwater, czy nie nudzi ich tak długa nieczynność? Oddając wiele pochwał narodowi polskiemu, rzekł, że Polaków zawsze kocha i jest ich przyjacielem. Nareszcie pytał się mnie, czy w zamku dano mi kwaterę?

Gdy go o tym upewniłem, rzekł:

— Lubiąc Polaków, chcę pana adiutanta, ile można, ugościć i bardzo proszę przyjąć zarazem mój żołnierski stół.

Podziękowawszy generałowi za jego łaskę, wyszedłem z pokojów do mojej kwatery, gdzie mnie oczekiwali moi żołnierze. Opowiedziałem im jakim przyjacielem Polaków jest dowódca korpusu, zatem trzeba, żeby tym bardziej się starali dobrze strzelać, żeby się z nas drudzy nie śmieli.

Na to mój grenadier Jastrzębski odrzekł:

— Panie adiutancie, nigdy tego nie będzie, żeby z żołnierza polskiego miano się śmiać. Pokażemy mu jutro, jakie to kulki nieprzyjaciołom naszym posyłamy.

Ucieszyła mnie wprawdzie ta pewność, z jaką mówił mój Jastrzębski, jednak, muszę przyznać, że z pewną niespokojnością oczekiwałem następnego dnia.

Śliczny pałac księcia Dessauskiego, obszerny i wygodny, z ogrodem, parkiem i zwierzyńcem, leżącym nad Elbą, zostawił książę do dyspozycji generałowi Vandammowi, którego charakteru burzliwego się obawiał, nawet całą piwnicę, kucharza swego i całą usługę pałacową na jego usługi oddał, a sam wyniósł się do miasta.

Generał Vandamme nieprzyjacielem był Niemców, tym więcej tych, co go się bali, zabrał tedy to wszystko w swoją posiadłość, mało dbając o księcia-właściciela. Jednak zawsze go zapraszał na obiady do pałacu.

Byłem tego samego dnia na wybornym obiedzie, gdzie przy stole z 40 osób siedziało; potrawy wykwintne, wina stare. Muzyka przygrywała przez ciąg obiadu.

Po obiedzie generał Vandamme wyjeżdżał zawsze na polowanie do zwierzyńca, wieczorem była herbata i różne napoje, z rana używał kąpieli i spacerów — i takie życie ciągle, stojąc w Dessau, prowadził.

Na drugi dzień już z rana zbierali się żołnierze z wszystkich dywizyj w ogrodzie zamkowym, gdzie w szerokiej i długiej alei kasztanowej była wystawiona tarcza, przybita do czworokątnego malowanego słupa, za tym było przybitych kilka rac z różnymi sztucznymi fajerwerkami, które z ostatnim kołem czarnym miały komunikację, a za trafieniem w to kółko fajerwerk się zapalał.

Na oznaczoną godzinę i ja z moimi żołnierzami przybyłem i stanąłem obok Francuzów. Nasza dywizja była 5-ta i ostatnia. Przybył i szef sztabu i uszykował wszystkich w porządku; wkrótce nareszcie nadszedł sam generał Vandamme, oblany cały złotymi haftami, otoczony generałami i całym swym sztabem, oprócz tego i mnóstwem widzów; za nim szła kompania grenadierska, niosąc na czele przy odgłosie muzyki srebrną tacę, na której było 300 franków w srebrze, przeznaczonych dla tego, co najlepiej trafi.

Generał Vandomme dał znak do zaczęcia; zaczęli zaraz żołnierze francuscy z 1-ej dywizji.

Zabawnie było widzieć jak owi wąsacze, w boju osiwiali, przystępowali do mety, z pewnością największą przykładając broń. Wystrzeliwszy, jak który w centrum nie trafił, z jaką to złością nie odstępowali swej broni, na którą całą winę składali.

Tym sposobem przeszło cztery dywizje, a dotąd ostatnie koło było nienaruszone.

Przyszła nareszcie kolej na moich żołnierzy.

Między chęcią, ażeby który trafił, a obawą, żeby nie chybiali, zostawałem w niemiłym wzruszeniu, gdy generał Vandomme się odezwał:

— *Eh bien, mes chers Polonais, ce votre tour à present. Ce sont de bons tirreurs; je les connais!*

Najpierw wystąpił Jastrzębski, pewnym krokiem postępował do mety, stanął, wziął na cel — tu oczy ledwie mi nie wylazły z obawy — wystrzelił, i w tym momencie z zadziwieniem wszystkich tarcza upadła na ziemię, a fajerwerk cały zaczął się palić, dając znać, że w ostatnie kółko trafiono.

Muzyka zaczęła grać — lecz dlaczego tarcza na ziemię upadła? Powstał szmer i ciekawość.

Tak generał Vandamme jak i my wszyscy udaliśmy się do tarczy, podnie-

siono ją i z wielkim zadziwieniem spostrzeżono, że kula gwóźdź, który przez samo centrum przechodził i którym tarcza do słupa była przybitą, wysadziła.

Generał Vandamme porwał mego Jastrzębskiego za szyję i uściskał, a ukazując go wszystkim, wypytywał skąd rodem, jak długo w wojsku? A imię jego i nazwisko w pugilaresie sobie zapisał; natychmiast podano mu tacę, z której 300 franków odebrał, i z muzyką był odprowadzony do zamku. Generał Vandamme ukazał go jeszcze tam wszystkim oficerom i żołnierzom i zaprosił do siebie na obiad.

Nikt nie mógł być więcej nade mnie kontent z tak dobrego strzału Jastrzębskiego, który nawet policzyć można między przypadkowy. Na obiad, gdy się zeszli wszyscy, przyszedł i mój Jastrzębski. Generał Vandomme kazał mu usiąść naprzeciw siebie. Przy wesołej tej uczcie wypito zdrowie Jastrzębskiego, a przy końcu obiadu zrobili wszyscy składkę, wynoszącą 250 franków, dla niego.

Po obiedzie, gdy chciałem odjeżdżać do swej dywizji, generał Vandamme rozkazał mi czekać do jutra, a wieczorem tego dnia jeździłem z nim zwiedzać piękne okolice miasta Dessau. Mój zaś Jastrzębski przez całą noc ze swymi kolegami częstował w mieście żołnierzy francuskich, którzy zawsze z polskimi sympatyzowali, lecz trochę zazdrosnym okiem patrzyli, że Polak te 300 franków z przed nosa im zabrał.

Na drugi dzień pożegnałem generała Vandamma, który wiele grzeczności mi nagadał. Nie spodziewałem się go ostatni raz oglądać, ani też nie przeczuwałem, że pod Kulmem takie miał mieć nieszczęście. Wesoło z mymi żołnierzami powracałem do głównej kwatery generała Dąbrowskiego, gdzie wszyscy się cieszyli, że polski nasz żołnierz okazał taką zręczność.

Wypytując się w drodze Jastrzębskiego o szczegółach jego życia, dowiedziałem się, że był rodem z województwa płockiego i pochodził z ojca Kurpia, a przed kilku laty był za strzelca u pułkownika Krasińskiego Hilarego, miłośnika polowania, a stamtąd się do wojska dostał; nie dziw tedy, że tak celnie strzelał. Co się z nim później stało tego nie wiem. Wiem tylko, że ciągle był waleczny; ranny pod Lipskiem dostał się do szpitala wojskowego, tam albo z ran

umarł, albo też może pozostał w tamtych stronach. Wkrótce potem generał Vandamme dostał rozkaz od cesarza z swoim korpusem, oprócz naszej dywizji, udać się do Drezna. Generał Dąbrowski z swoją dywizją zajął miejsce to, gdzie cały korpus stał, a główną kwaterę założył w mieście Zerbst, gdzie staliśmy do końca zawieszenia broni.

(Generał Roman Wybranowski)

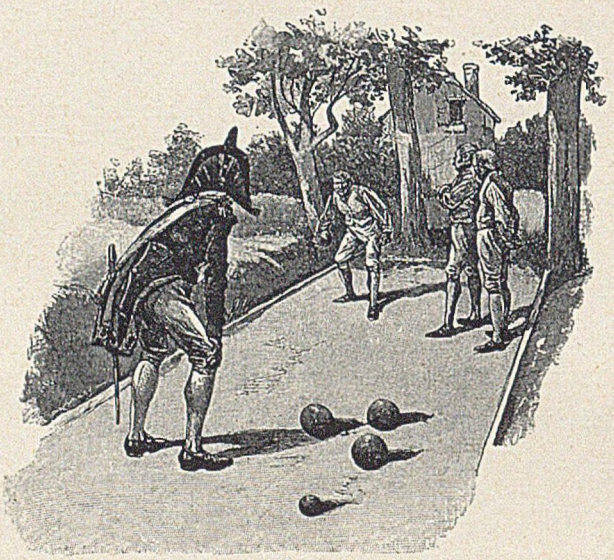

AUDIENCJA U PIUSA VI

(1797)

Już się choć w Rzymie znudziło.

Generał Dąbrowski wyprawiał do Mediolanu Chamana i majorem legii, na miejsce Zabłockiego, naznaczył; a że zatwierdzenia od ministra wojny potrzebował, samemu po nie jechać radził. Byłem dodany Chamanowi do tej podróży i uprosiłem sobie, żeśmy nowym dla mnie krajem przez Florencję jechali.

Chaman już wiele po świecie jeździł, pięknie po francusku mówił, bo ród jego pochodził z Francji, a młodość przepędził w wojsku i z Kniaziewiczem w regimencie fizylierów służył.

Chaman lubił mówić i dobrze mówił. Podróż nasza była ożywiona wielu powiastkami z jego młodszego wieku.

— Znasz Kniaziewicza, — mówił Chaman — jak jest żywy! Cóż dopiero gdy był młody. Razem z nim służyliśmy i w jednej izbie sypiali długi czas. On biegał po mieście i grać nawet lubił, jam był samotny, kochałem się i wier-

szem klecił. Kniaziewiczowi po śmierci ojca spadł drobny zasób pieniędzy, który mu macocha wiernie odesłała. Zdało mu się, że pohulać może, wlazł między bywalców, a ci go oszwabili porządnie. Powraca Kniaziewicz do domu w nocy, kiedy ja przy stoliku piszę i na niego nie zważam, choć się silnym krokiem przechadza. Właśniem wiersze moje układał. Czy jego wejście, czy moja zła głowa, ale do ulubionej myśli końcówki mi zabrakło i wyszukiwałem ją, gdy Kniaziewicz, czule się na los swój skarżąc, coś zamruczał, co mi do ukończenia wiersza wybornie przypadło. Prosiłem go, aby słowa powtórzył. — Dlaczego? — ostro mnie zapytał. — Boś mi dał końcówkę, której w mej głowie nie znalazłem, alem jej nie dosłuchał dobrze. Kniaziewicz porywa mnie za ramię. — Szydzisz z mego nieszczęścia, mnie do ostatniego zgrano, a ty się naigrawasz jeszcze! Przypłacisz za ten żart srogi — bij się ze mną zaraz! Mimo żeśmy kamracką przez czas długi zachowali przyjaźń, tłumaczenie łatwe nie było i z trudnością go uspokoić potrafiłem!

Korzystałem ze zręczności, by się dowiedzieć od Chamana o początkach życia generała Kniaziewicza, do któregom się namiętnie przywiązał. Chaman tak mi powiadał:

Ojciec generała był przystojnego majątku obywatelem spod Mitawy, stracił żonę i pojął drugą, bo matki dla swego syna potrzebował. Dobrze też trafił, bo mu najczulszą była. Ojciec generała miał wiele rozumu, lecz i nieumiarkowaną spekulacji żądzę, rzucił się do towarzystw asekurujących żeglugę, poszło mu to nieźle z początku i to go zrobiło nieostrożnym; podszedł go oszust, znaczną obiecując korzyść, i wziął zabezpieczenie formalne na okręt, którego podobno przewidział zgubę i do niej się przygotował, bo, po zatonięciu, nielitościwym procesem obarczył Kniaziewicza i majątek mu zabrał. To w grób wpędziło pierwszą żonę. Potem książę Stanisław Poniatowski, będąc w Rydze, szukał człowieka do zarządu dóbr, które miał w Kurlandii, ale człowieka ze sprytem i znajomością handlu miejscowego. Zalecono mu do tego Kniaziewicza. Poniatowski zabrał go z całą rodziną i zaraz wpływem swoim syna w korpusie kadetów umieścił. Ten nie umiał słowa po polsku i szło mu twardo z początku, lecz pracą przemógł trudności. Potem go porucznikiem u fizylierów zrobiono, co mu także szło twardo, bo twardy był charakter. W czasie pierwszej wojny wziął go był Kościuszko do swojego sztabu i to jakoś spełzło

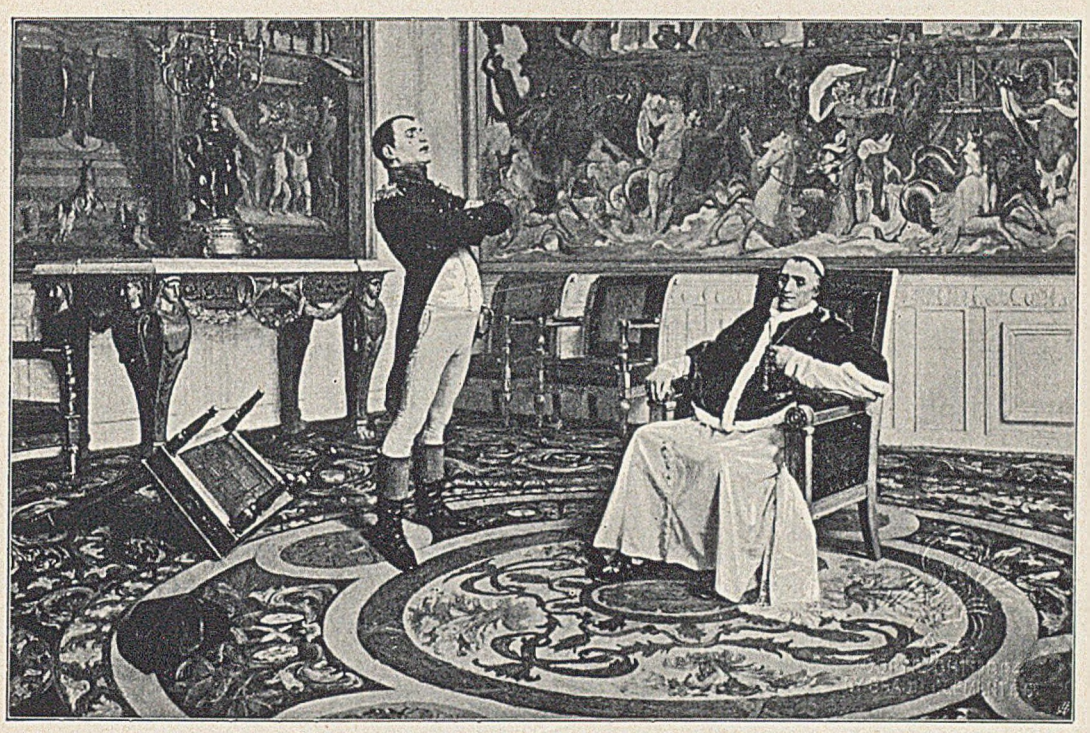

Spór Napoleona z papieżem Piusem VI
(według obrazu J. P. Laurensa)

bez korzyści, gdyż Kniaziewicz nazad do regimentu powrócił. Bił się potem jak lew pod Boruszkowicami, co na niego oko zwróciło. Pod Dubienką był użyteczny i do rangi majora podniesiony. Lecz z pierwszą wojną skończoną, gdy wszystkich na dawne wracano miejsca i on w poprzedniej randze do fizylierów powrócił. Kościuszko, który go znał osobiście, kiedy Izydorowi Krasińskiemu regiment formować polecał, dał mu za podpułkownika Kniaziewicza, a później go Zajączek do swego wezwał sztabu i w czasie bitwy pod Gołkowem wyższe w nim przymioty ocenił. Naczelnik, po pobiciu Sierakowskiego, generał-majorem go naznaczył i z sukursem wyprawił. Dalej, wiesz lepiej ode mnie, bo was nie próżno Wybicki Kastorem i Poluksem nazywa.

Tu opowiedziałem Chamanowi mój pobyt w Wojcieszkowie i czułe macochy i pasierba przywiązanie. Chaman znów mnie pytał, czy byłem w domu kasztelanów i co tam było tajemniczego, bo on jej rysy co chwila wystrzygał, na-

wet nie patrząc na robotę, a zawsze bardzo podobnie; a ona macochę jego wypiastowała do śmierci przy sobie. Była to dobra i czuła osoba, a on był ladaco.

Chaman przerwał rozmowę, bośmy nad jezioro Bolsena wyjechali, gdzie sterczące skały, całe złożone z lawy, o bytności dawnego wulkanu świadczyły. Tu Chaman powiadał mi powiastkę ludu, który wierzy, że na jeziorze tym łabędzie śpiewające słyszano.

Tak dojechaliśmy do Monte-Fiascone, gdzie wino wyborne i gdzie mój pułkownik posilić się nim pragnął.

Zanim nam coś w oberży przygotowano, zaprowadził mnie Chaman pod okazały pomnik. Był to grób jednego z biskupów niemieckich, co miał zwyczaj nakazywać gońcowi, żeby mu tam kwaterę wybierał, gdzieby najlepsze wino upatrzył, a na znak zostawiał na drzwiach oberży *Est!* aby tam biskup *halt* sobie naznaczył.

Ten wybór słusznie padł na Monte-Fiascone, biskup trochę sobie pozwolił i tu życie zakończył. A ten, co go pomnikiem obdarzył, napisał na kamieniu:

Est. Est. Est.

Propter nimium Est. Dominus meus mortus est.

Takie przynajmniej jest tłumaczenie napisu.

Z tego miejsca dążyliśmy do Sienny, do której listy mieliśmy polecające.

Noc całą byliśmy w drodze, a z brzaskiem dnia letniego wjeżdżaliśmy do miasta, bośmy się papieżowi Piusowi Braschi w tym dniu prezentować pragnęli.

Jakież nas ogarnęło zadziwienie, gdy o tak rannej godzinie ujrzeliśmy tłumy ludu, uganiające się po ulicach i to ledwie okryte. Kobiety każda w tym co pochwycić mogła naprędce, a mężczyźni jak który z łóżka wyskoczył.

Wołaliśmy na pocztyliona, aby się wstrzymał, on znał atoli bliską oberżę i do niej cwałem popędził.

Z oberży wyszedł ku nam spokojnie szwajcar i zagadnął nas po francusku. Zastanowiło nas, żeśmy go pierwszego nie przejętego trwogą ujrzeli. Szwajcar opowiedział nam, że okropne trzęsienie ziemi przed godziną wstrząsło gmachami miasta i że rysy na gmachach zapowiadają ich upadek, jeżeli się, jak to bywa, trzęsienie raz jeszcze powtórzy. — Niedawno — dodał — wyniesiono

papieża na ten plac wielki przed kościół św. Augustyna, patrzcie jak go lud okolił i płacze.

— Dlaczegoś ty jeden taki spokojny? — zapytaliśmy szwajcara.

— Bo wierzę w przeznaczenie — odpowiedział i zagadnął zaraz, czy śniadanie mieć chcemy. Bardzo się ono nam przydało.

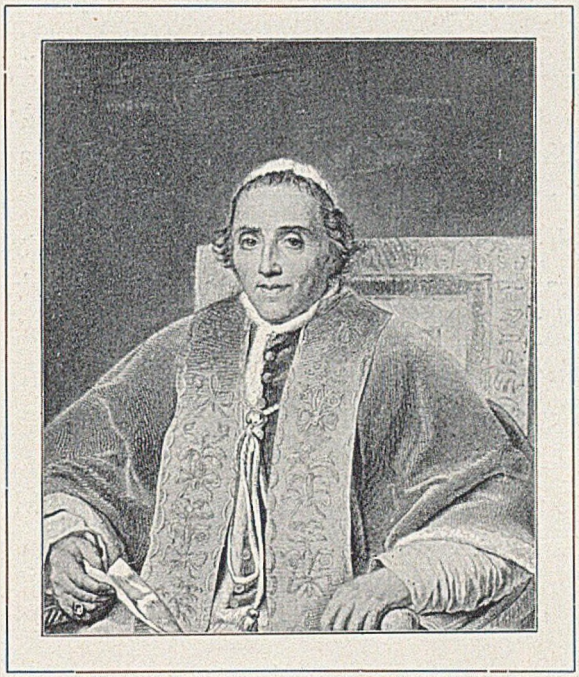

Papież Pius VII
(według portretu Davida)

Za czym poszliśmy na plac, gdzie na krześle siedział Ojciec święty, aby go z dala przynajmniej widzieć.

Lecz wtem nowy popłoch. Postrzeżono ogromną szczelinę, jaką zrządziło wstrząśnienie na bardzo wysokiej wieży, niegdyś, w czasie domowych zatargów, do obrony miejsca służącej.

Pobożni najprzód o papieżu pomyśleli, bo był w niedalekiej od wieży odległości; nie wiedziano, gdzieby go schronić. Ktoś zapewnił, że dom Galeranich nienaruszony i tam go mimo nas przenieśli.

Papież był wzrostu znacznego i dosyć otyły. Z trudnością obracał głowę, lud

jednak błogosławił ciągle. Twarz późny już wiek oznaczała, ale rysy jej były spokojne. Zapewne nie o przeznaczeniu dumał, ale w litości Najwyższego miał zaufanie.

Już też każdy ku domowi dążył ocenić straty i zobaczyć, czy w nim bezpiecznie przebywać może; myśmy też do oberży wrócili.

Trzeba wypadku, żeśmy właśnie listy polecające do Galeranich mieli, aby oni nam prezentację u Ojca świętego wyjednali. Odesłaliśmy je natychmiast. Jakoż ledwie mundury przywdziawszy, odebraliśmy odpowiedź, że nam papież dozwala się widzieć, ale się śpieszyć należy, bo natychmiast do Acertosa się wybiera. Korzystaliśmy z zezwolenia i zaraz nas do papieża wpuszczono.

Papież mówił do nas z żalem, iż tego przynajmniej nigdy pomyśleć nie mógł, aby Polacy, których ojcowie żyli w miłości Marii, co Jej tyle postawili świątyń, o których i teraz go zapewniano, że w wierze katolickiej żyją i władzę głowy Kościoła uznają, — mieli z tak daleka lecieć, o broń prosić i walczyć z Rzymem, który ich tyle razy wspierał.

Jakby urok jaki spadły słowa Ojca świętego na nas. Przez część podróży żaden nie przemówił i słowa te tylko powtarzały się w uszach naszych, bośmy nie wiedzieli, jak je tłumaczyć sobie, czy były klątwą czy błogosławieństwem, zawieszonym nad naszą głową?!

(Drzewiecki Józef, oficer Legii Włoskiej)

POD SARAGOSSĄ

(1808)

Dnia 2-go sierpnia otrzymali oblężeni posiłki z 2.000 ludzi gwardii hiszpańskiej, ochotników aragońskich i kilku armat się składające; lecz radość z przybycia tej pomocy przerwaną została wyleceniem w powietrze składu prochowego przy ulicy Coso. Przypadek ten powtórny, nieostrożnością zdziałany, zburzył kilka domów sąsiednich, a w ich gruzach wielu mieszkańców zagrzebał. Saragossę zaś pozbawił 12.000 funtów prochu i 2,000.000 ładunków.

W tym dniu przybyłe z Francji pułki, 14-ty i 44-ty piechoty liniowej, wzmocniły wojsko oblegające.

Gdy już baterie ukończone i uzbrojone zostały, dnia 3-go sierpnia rano zaczęto ciągłe bombardowanie miasta. Na ponowioną odezwę do układów względem poddania miasta, zamiast wyliczenia warunków, odpowiedział generał Palafox po spartańsku: „Walka na noże“. W nocy wycięto drzewa, które kryły baterie nasze, mające robić wyłomy przy Engracia. Od rana dnia 4-go zaczęto bicie wyłomów. Mury kastelu nie dały się kruszyć działami mniejszego kalibru, jakie oblegający w tym miejscu mieli, lecz wyłom przy klasztorze Engracia, na prawo od bramy tego nazwiska, a drugi na jej lewej stronie, w kilka

godzin były gotowe do przejścia. Około godziny 11-ej wojsko, przeznaczone do ataku, stanęło w przekopach, każdy oddział odebrał swoje przeznaczenie, a za danym znakiem wszystkie wypadły ku murom, gdy tymczasem, na lewym brzegu Ebra, kompanie pułku 3-go polskiego zrobiły fałszywy atak na przedmieście. Na wyłom klasztoru Engracia wpadł batalion pułku 70-go, za którym następował pułk 1-szy polski. Nieprzyjaciel osadził mocno tę ogromną budowlę i ani obalenie się ścian, ani zapadnięcie sufitów nie wstrzymały go od walki bagnetu na bagnet.

Na wyłom zaś lewy rzucił się kapitan Ball z kompaniami wyborczymi batalionu pierwszego, pułku drugiego polskiego. Nieprzyjaciel zmuszony odstąpił wyłomu i bliskiej uzbrojonej baterii, lecz te dwie kompanie spostrzegły, że są oddzielone wysokimi murami od reszty miasta i wystawione na ogień ręczny z okien i strzelnic, wykutych po domach. Tymczasem pułk 44-ty zaścielał swymi trupami wejście do bramy Engracia, którą wybić usiłował, aż póki oddział kapitana Balla nie przedarł się przez dalsze mury za bramę i nie poodciągał worów napełnionych ziemią, którymi ją zatarasowano. Cała wtenczas kolumna wyłomu lewego tłoczyła się bramą i murami do miasta.

Oprócz tych dwóch wyłomów saperzy mieli podczas szturmu wykuć otwór na prawej stronie bramy Carmen, dla batalionu 2-go pułku polskiego; jakoż wybili ją pod ogniem nieprzyjaciela. Wszedł nim podpułkownik Regulski z batalionem, ale na próżno ci waleczni dalej przedrzeć się usiłowali. Wszystkie domy opatrzone były w strzelnice i napełnione chłopstwem, które słało śmierć w nasze szeregi. Tu padli kapitan Rybiński, porucznicy Ojrzanowski i Skaliński, podporucznik Jackowski. Tu był ranny podporucznik Dobrzycki Mikołaj. Batalion ten, po ogromnej stracie, widział się na koniec w potrzebie wyjść na powrót wyłomem. Z 80-ciu grenadierów, którzy za mur dostali się, a teraz ostatni wychodzić stamtąd musieli, 27-miu tylko powróciło. Hiszpanie pokazali się za nimi tłumem, lecz dwa działa zmusiły ich do ukrycia się na powrót za mury. Batalion ten przyłączył się potem do kolumny lewego wyłomu. Kapitan Razowski, oddzielony od tego batalionu na lewo, nie mógł z nim odwodowego poruszenia razem wykonać. Chciał się złączyć z kolumną już znajdującą się w mieście, usiłował więc przedrzeć się do ulic, na których słyszał strzelanie, lecz ujrzał się odciętym z swoją kompanią; musiał zająć je-

Marszałek Moncey u rogatek Clichy
(według obrazu Hor. Verneta)

den domek i w nim od oblężonych oblężonym został. Później dopiero drugi oddział oswobodził go stamtąd.

Tymczasem zajęcie klasztoru Santa Engracia, napełnionego trupami, otworzyło zupełnie do miasta wnijście. Postępowała tedy kolumna prawego wyłomu, na której czele znajdowali się generałowie Verdier i Lacoste, ku środkowi miasta ulicą Engracia, którą nieprzyjaciel kilku rowami i poprzecznymi wałami uzbrojonymi w działa poprzecinał. Hiszpanie siali ogień z domów, z dachów i z wież kościelnych. Siła wojska postępującego coraz bardziej się zmniejszała. Każdy pojedyńczy dom wymagał oddzielnej walki; w nim jeszcze o każde piętro, o dach, o każdy zakątek walczyć potrzeba było. Wtenczas to wzięty był generał Mori i kilkunastu mieszkańców. Dla zapewnienia się od uliczek poprzecznych nową zwycięzcy byli zmuszeni prowadzić wojnę. Nakoniec pułk 1-szy polski i batalion 70-go, czyli raczej tylko oddziały ich, dostały

się na Coso, ulicę bardzo szeroką, na kształt rynku, w środku prawie miasta ogromnymi domami zabudowaną, do której ulice od bramy Engracia i od mostu prostopadle wychodzą. Wszystkie wychody na Coso miały przerwy i tamy, w większej części działami uzbrojone. Bateria, wysypana w środku Coso, miała kierunek przeciw ulicy Engracia, którą kolumna zwycięska nadciągała. Na wychód tej ulicy patrzyli Hiszpanie z kilkuset okien obszernego Coso, z bronią na przykładzie. Polacy rzucili się na baterię i odegnali od niej nieprzyjaciela, lecz Hiszpanie ze wszystkich stron niszczyli garstkę tych mężnych. Ranni kapitanowie Godlewski, Egersdorf, porucznicy Borowski, Chajęcki, Narwoń, podporucznik Grzymski umniejszyli liczbę oficerów.

Pułkownik Henriot z pułkiem 14-ym, który za pierwszym polskim już zajętą (oprócz wieży św. Franciszka) ulicą Santa Engracia postępował, pokazał się wtenczas w kolumnie w całej sile na ulicy Coso. Zjawienie się tej całej masy zdawało się zatrwożyć nieco obrońców, kiedy wtem wyszedł naprzeciw niej ksiądz z krzyżem w ręku wznoszonym ku niebu, i wśród głośno wymawianej modlitwy, prowadzący przy sobie panienkę ledwie 12-cie lat mającą, ubraną podług wizerunku Virgen del Pilar. Wśród ognia i mordów, widok ten dziecka i kapłana modlącego się, zajął wszystkich; cichość nastąpiła na chwilę. Żołnierze z zadziwieniem poglądali na to zjawisko, lecz na koniec zniecierpliwieni dali ognia do kapłana. Ten spokojnie i bez szwanku wśród strzałów ustąpił z Coso, a w tym momencie ze wszystkich dachów, okien i piwnic grad kul sypnął się wśród okropnego ognia, i nowy ten atak bezskutecznym uczynił.

Pułkownik Chłopicki zebrał jednak jeszcze ludzi pułku 1-go i koniecznie z nimi na drugą stronę ulicy Coso przejść postanowił. Jakoż, lubo nieliczny już wtenczas był ten oddział, przeszedł jednak na koniec tę tak trudną do przebycia ulicę, opanował uliczkę Arco de Cineja, przeciwległą ulicy Engracia, zdobył kilka w niej domów, lecz będąc rannym, zaledwie przez żołnierzy z tej uliczki wyniesionym został, a podpułkownik Fondzielski z trudnością uprowadził resztę oddziału. Uliczka ta wąska i kręta nie byłaby wprawdzie wiodła daleko, w bliskości bowiem dom zamykał jej drugi koniec, gdy tymczasem ulica św. Giliusza do poprzedzającej równoległa, idąca aż do mostu, o kilkanaście tylko kroków była od niej.

Zdobycie głównego szpitala wystawiało najokropniejszy, jaki może być, wi-

dok. Chorzy, uciekając z pożaru, wyskakiwali oknami na bagnety żołnierzy; ranni, przywdziawszy prześcieradła pokrwawione, ostatnich sił dobywali, aby wlec za sobą pokaleczone członki. Wśród tych scen, rozdzierających serce, wariaci, których komórki pootwierano, śpiewali, śmiali się, deklamowali, podług rodzaju pomieszania, jakie cierpieli. Tych, którzy uszli przed płomieniami i bagnetem żołnierzy, przez zaciętość walki także do pewnego rodzaju

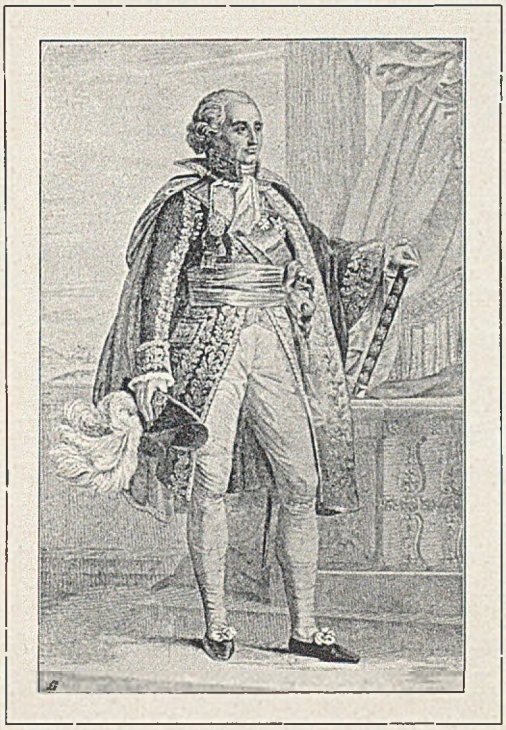

Moncey ks. Conegliano
(według portretu Walbonne'a)

szaleństwa przywiedzionych, zaprowadzono do Monte-Torero (skąd ich później odesłano). Podczas gdy ta straszna walka trwała o zajęcie ulicy Coso, kolumna lewego wyłomu, pod rozkazami generała Grandjean, rzucił się od bramy ku placowi Carmen. Nieprzyjaciel miał tam poprzecznią, w niej armatę i granatnik. Artylerzyści hiszpańscy nie dali się odpędzić, trzeba ich było na działach zakłuć; wtenczas dopiero postąpiono dalej.

Na plac Carmen wychodzą cztery ulice. Trzy z nich były jeszcze w mocy

nieprzyjaciela, który stamtąd słał śmierć i zniszczenie na atakujących. Pułk 44-ty i 2-gi polski jeszcze i tu okryły trupami ziemię. W ostatnim z liczby zabitych był kapitan Świerczyński, z rannych porucznicy Dłuski i Lewicki. I tu trzeba było wojować o każdy dom, o każdą ścianę. Nieprzyjaciel bronił zapalczywie klasztoru karmelitańskiego. Kilka razy brano go i zawsze ze stratą odstąpić musiano. Na koniec zajęto część jedną, ale w niej pozostać nie było podobieństwem. Rozkazano zapalić go i opuścić.

Starców, duchownych i kobiety, znajdywane po domach, oddawano pod straż, rannych opatrywano. Zakonnice, w których kościółku obie strony zacięcie się biły, radowały się bardzo, widząc, że oficerowie nieprzyjacielscy wielkie im okazywali względy. Dwie z nich były ranne od postrzałów. W tym to dniu kula zdruzgotała nogę sztabslekarzowi pułku 1-go polskiego, Kitzowi, na ulicy Coso. Noc przerwała ciąg bojów. Zatrzymano zdobyte domy, starano się tylko w nich ubezpieczyć. Kuto nowe strzelnice, robiono zapory. Pułk 3-ci polski sprowadzony został z przedmieścia do miasta, ten z pułkiem 19-tym zajął ulicę Engracia. Osadzono mocne poczty w klasztorze św. Franciszka, jednej z najogromniejszych budowli miasta, narożnej ulic Engracia i Coso. Wieżę jednak tego kościoła zajmował jeszcze nieprzyjaciel, i stamtąd chylił strzały na obie te ulice.

Zaraz ze dniem dnia 5-go sierpnia rozpoczęto na nowo atak. Pułki 14-ty i 3-ci polski po kilkakroć usiłowały wydobyć się na Coso, i zawsze ze stratą wracały. Znowu to samo męstwo i tą samą zaciętość pokazały obie strony co dniem wprzódy. Po długiej i krwawej walce o tę nieszczęsną ulicę pokazali Hiszpanie chustę białą na żerdzi. Oficer pułku 3-go, mniemając, że już się myślą poddać, wysłał ku nim sierżanta z podobnymże znakiem. Ustał w tym miejscu ogień. Tłumy Hiszpanów zaczęły się cisnąć do konwentu św. Franciszka w naszym zostającego ręku. Żołnierz jeden polski spostrzegł, że pod płaszczami mają ukryte karabinki. Dano zaraz do nich ognia. W tym zamieszaniu porucznik Pągowski, skłuty bagnetami, dostał się wraz z kilkudziesiąt ludźmi do niewoli. Zaczęto na nowo walkę; niszczyły się obie strony. Między zabitymi pułku 3-go w dniu tym byli: kapitan Laskaris i podporucznik Ciszewski, między rannymi porucznik Lipiński, podporucznicy Cieślicki i Sobucki. W dniu tym także zginął z pułku 1-go podporucznik Zawadzki.

Z wściekłością, że tak powiem, patrzył żołnierz na ulicę Coso, która już tyle krwi kosztowała. Utworzono na nowo oddział i wszczęto jeszcze raz o nią atak. Porucznik Ginter z pułku 3-go polskiego dostał się z nim na drugą stronę Coso, do tej samej uliczki Arco de Cineja, która wczoraj już była zajęta, lecz zaraz kulą tam ugodzony poległ. Trzydziestu rannych dostało się w ręce Hiszpanów. Szczątki tylko powróciły z tego oddziału.

W ataku lewym zmuszono nieprzyjaciela na koniec opuścić bramę Carmen; dopiero od strony tej bramy, atakując, wzięto klasztor tego nazwiska. Znaleziono w nim czterech polskich żołnierzy spalonych, a jednego jeszcze żyjącego: byli to ranni pozostali z ataku wczorajszego. Po zajęciu klasztoru karmelitańskiego przedzierano się ulicą ku klasztorowi Santa-Fé. Tam jeszcze byli ranni pułku 2-go porucznik Surmacki, podporucznicy Niechcielski i Piątkowski. Przy tej z obu stron zaciętości i walce osobistej pojedyńczych po domach ludzi, klęski wojny przybrać musiały z obu stron postać najszkaradniejszą; zapominano niekiedy o odwiecznych zasadach, przez ludzkość uświęconych, a do złagodzenia nieszczęść wojny zmierzających.

(Józef Mroziński, generał)

WAGRAM

(1809)

BITWA POD WAGRAM (1809)
(według obrazu Hor. Verneta)

W powtarzanych kilkakrotnie wycieczkach do głównej kwatery cesarskiej w Schönbrunie pamiętam, że raz Berthier dał mi list do wicekróla włoskiego z poleceniem, bym go do rąk własnych księciu doręczył, jako pochodzący od samego cesarza. Adres tego listu zwrócił moją uwagę. Opiewał jak następuje: *A monsieur mon fils, prince Eugène, viceroi d'Italie.* Przypominam sobie również, iż, w czasie tej naszej pozornej bezczynności, Davoust kazał do swego sztabu sprowadzić kilku możnych obywateli z nadgranicznej szlachty węgierskiej, a że ci po francusku bynajmniej a po niemiecku niewiele co mówić mogli, więc kazał mi z nimi rozmawiać po łacinie, w którym to języku, szczególniej w rozmowie, niewiele posiadałem łatwości. Szło wówczas o to, aby zachęcić Węgrów do powstania przeciw Austriakom, w czym Francuzi mieli im pomagać (a pewno niekoniecznie skuteczniej — pomyślałem sobie — jak poprzednio i później dopomagali nam, Polakom). Węgrzy, z którymi wtedy mówiłem, tłumacząc im myśli marszałka, ciągle mi odpowiadali: „Nasz komitat jest nadto mały, aby mógł rozpoczynać sam powstanie. Idźcie w głąb Węgier, panowie, tam powtórzycie wasze propozycje i odezwy, a tam z pewnością dużo szlachty, poświęcając się sprawie węgierskiej, będzie wam

nieść pomoc skuteczną..." Na tym też bez żadnego rezultatu zakończyła się negocjacja węgierska i już jej dalej, o ile mi się zdaje, nie tentowano.

Nadszedł wreszcie czas, w którym Napoleon postanowił przejść Dunaj i wydać na lewym brzegu tej rzeki stanowczą Austriakom batalię. Między innymi otrzymał też Davoust rozkaz, by, zostawiwszy jedną brygadę piechoty celem obserwacji Preszburga, z resztą swego korpusu pomaszerował ku Lobau. Gdyśmy w wigilię przeprawy stanęli nad Dunajem i zobaczyli na lewym brzegu znaczną liczbę dział nieprzyjacielskich, naprzeciw których czoło w czoło stanęliśmy, tośmy między sobą pytali, kto z nas jutra doczeka i na pół żartem, pół serio żegnaliśmy jeden drugiego. A przecież tej samej nocy, przechodząc po moście, ostrzeliwanym ogniem kartaczowym, mniej doznaliśmy straty, osobliwie w zabitych, aniżeli się spodziewano. Od chwili dostania się za Dunaj, w miarę ustępowania armii austriackiej, posuwaliśmy się za nią powoli, ciągle ucierając się z nieprzyjacielem aż do miejsca, w którym Austriacy usadowili się na mocnej w okolicy Wagramu, dość górzystej pozycji. O ile pamiętam, to nazajutrz po przejściu Dunaju, to jest przez cały dzień piąty lipca, manewrowano, ucierano się, ale nic stanowczego nie zaszło między obiema stronami walczącymi. W czasie batalii pod Wagram, w dniu szóstym lipca stoczonej, w której działały już i armia włoska oraz korpusy księcia Ponte-Corvo i Regniera, korpus trzeci wraz z dywizją jazdy generała Montbruna, dzielnego kawalerzysty, zajmował prawe skrzydło ku mostom, rzuconym na Dunaju. Napoleon ciągle trzymał się centrum tudzież lewego skrzydła, gdzie atak nieprzyjaciół był silniejszy. Tymczasem mój marszałek, widząc, iż centrum całej armii wraz z lewym skrzydłem, acz w porządku, ustępują, polecił mi zawiezienie rozkazu generałowi Montbrunowi, by starał się swą dywizją oskrzydlić Austriaków, a równocześnie kazał mi w przejeździe koło pieszych dywizyj generałów Gudina i Moranda oświadczyć im, że jest wolą jego, aby jak najsilniej poparli manewr jazdy. Dopełniwszy z wszelką akuratnością zlecenia, przybyłem do Montbruna w chwili, gdy nie było przy nim żadnego z jego adiutantów, a ten mi powiada: — Marszałek nie wie zapewne, bo mój adiutant jeszcze nie dojechał do niego z raportem, iż dywizja moja strasznie została przerzedzona od ognia dział austriackich, naprzeciw których stoimy, ale skoro tak każe, więc idź, proszę, na moje prawe skrzydło do generała Jeacquineta... i po-

wiedz mu, aby natychmiast szarżował z całą swoją brygadą na tych, co przed nim stoją.

Przybywam do generała i przynoszę mu rozkaz szarżowania, lecz słyszę to samo, co mi Montbrun przed chwilą powiedział:

— Od rana dużo bardzo ludzi i koni straciłem skutkiem ognia działowego, a więc za rezultat ataku nie ręczę — rzekł Jeacquinet i zaraz dał rozkaz do

Massena książę Essling
(według portr. Grosa)

szarży, którą właśnie i Austriacy ze swej strony zaczynali. Dzień był suchy i każdy ruch jazdy wywoływał tumany kurzu. Wracając przeto w cwał do Montbruna, widzę, obejrzawszy się raz i drugi, że kurz miasto oddalać się od miejsca, w którym się szarża zaczynała, coraz bardziej zbliżał się ku nam. Przybywszy więc do Montbruna, mówię mu:

— Widzisz, generale, co się dzieje...

Ten mi w pasji odpowiedział:

— O, tak, widzę tych tchórzów! — i ze złości zaczął targać za uszy swego spokojnego wierzchowca. Widzieliśmy z kierunku kurzu, że nasza jazda ustępuje, lecz nie mogliśmy rozpoznać, że równocześnie i kawaleria nieprzyjacielska ma się ku rejteradzie, co się często przy szarży jazdy na jazdę zdarza. Dlatego mówi do mnie Montbrun:

— Jedź do pułku kawalerii, który widzisz przede mną, i powiedz komendantowi jedenastego pułku strzelców, by bądź co bądź atakował stojącą naprzeciw niego jazdę austriacką!

Zawiozłem rozkaz strzelcom, aż tu pułkownik powtarza mi słowo w słowo to samo, co poprzednio generał Jeacquinet i proponuje mi udział w tej szarży, a na moją uwagę, że konia mam bardzo zmęczonego, dodaje z ironią:

— Ach, tak, pański koń bardzo zmęczony...

Dotknięty tą uwagą, rzekłem pułkownikowi:

— Atakuj tylko pułkowniku, a ujrzysz mnie koło siebie!

Szarżowaliśmy na pułk dragonów Orellego, któremu przewodził pułkownik Sardagna. Ten, widząc nas szarżujących, natychmiast ze swej strony szarżę zakomenderował. I tu pierwszy raz w życiu nie tylko widziałem, ale i brałem udział w starciu dwóch oddziałów kawalerii, a w którą bądź stronę obejrzałem się, wszędzie widziałem białe mundury, a potem gromadki kawalerzystów, rąbiących się pałaszami. Francuzi brali górę nad przeciwnikiem, więc zbliżywszy się do jednej z gromad walczących, dostrzegłem broniącego się jeszcze starszego oficera austriackiego, siedzącego na koniu szeregowca. Dopadłszy go, wołam, by się poddał, a gdy to uczynił, szaser francuski zaczął obdzierać jeńca, którym był pułkownik Sardagna. Stracił on podczas bitwy wszystkie swoje konie wierzchowe i dlatego przesiadł się na pierwszego lepszego konia, wziętego z szeregu. Pułkownik, zoczywszy mnie, uderzył w prośby:

— Panie oficerze, nie daj mnie obdzierać. Oto mi zabrano i pulares z bankocetlami i sakiewkę. Ale mniejsza o to wszystko, byle mi został zegarek, rodzinna pamiątka, z którą nie radbym się rozstawać.

Targować się zacząłem z szaserem, który jął wywodzić swe prawa do zdobyczy, ale go przekonałem, dowodząc, że pułkownik jest wspólnym naszym jeńcem, oraz obietnicą, iż go podam do krzyża Legii Honorowej. Wtedy dopiero udobruchał się szaser i zostawił jeńcowi zegarek. Widząc dragonów zu-

pełnie rozbitych, odprowadziłem pułkownika do generała Montbruna, któremu przedstawiwszy jeńca, poleciłem do nagrody owego szasera. Montbrun, zadawszy pułkownikowi kilka pytań, kazał go odstawić do marszałka i na pożegnanie dodał:

— Powiedz pan marszałkowi, że byłem z ciebie bardzo zadowolony...

Na co odpowiedziałem:

— Przy sposobności niech mu generał sam o tym powie, bo ja mu tego nie powtórzę.

(Generał Józef Szymanowski, oficer ordynansu marszałka Davousta)

CZYN CHWALEBNY KOMPANII GRENADIERSKIEJ WOJSKA FRANCUSKIEGO Z KORPUSU MARSZAŁKA DAVOUSTA

(1812)

GRENADIER
(według obrazu Charleta)

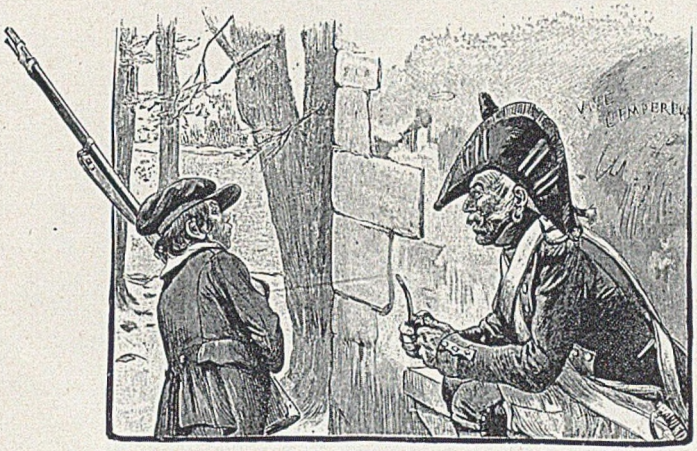

Dnia 24-go października 1912 r. pierwszy korpus wojska francuskiego, otrzymawszy rozkaz opuszczenia miasta Moskwy, na czas przybył pod Małojarosławiec, aby mógł być czynnym w sławnej batalii, stoczonej przez księcia Eugeniusza, wicekróla włoskiego, na czele 4-go korpusu przeciw skoncentrowanym siłom armii nieprzyjacielskiej. Pułkownik Kobyliński, adiutant marszałka Davousta, wysłany z rozkazem, przejeżdżając linię bojową, ugodzony był kulą i pozostał na placu między zabitymi.

Wieczorem tego pamiętnego dnia małe to miasto Małojarosławiec kilka razy odbierane, znów opuszczone, dostało się na koniec w ręce nasze.

Gdy marszałek Davoust objeżdżał plac boju po bitwie, człowiek oblany krwią, podnosząc się spod kupy trupów, odezwał się tymi słowy:

— Moi kochani koledzy, czy mi bez żadnej pomocy dacie umierać?

Był to pułkownik Kobyliński, o którym sądzono, że w zamieszaniu bojowym dostał się w niewolę nieprzyjacielską. Natychmiast eskorta marszałka z broni, leżącej na pobojowisku, zrobiła nosze i oddano rannego staraniom lekarzy wojskowych. Niestety, chirurg, obejrzawszy ranę, wzrokiem dał poznać marszałkowi grożące wielkie niebezpieczeństwo. Po odbytej naradzie zebranych lekarzy zdecydowano, że pułkownik Kobyliński nie mógł być inaczej uratowany jak przez amputację nogi, którą kula armatnia do kolana już urwała. Co żywo wzięto się zatem do tej bolesnej operacji, a pułkownik bie-

dny powtórnie stracił w rękach lekarskich zmysły, przyciskając do swego serca w dowód wdzięczności z ostatnim pożegnaniem rękę swojego wodza.

Nazajutrz odebrał marszałek rozkaz opuścić jak najspieszniej drogę idącą do Kaługi, a cofać się drogą do Wilna, którą cała armia się udała. Już wojsko marszałka zaczęło marsz odwrotny, gdy oficer, wysłany dla dowiedzenia się o zdrowiu pułkownika Kobylińskiego, przyniósł tę pocieszającą wiadomość, że tenże, wytrzymawszy wszelkie bóle, żyje. Ponieważ ambulanse korpusowe, zostawione poza korpusem, inną zupełnie drogą ku Wilnu szły, a bagaże wszelkie, z rozkazu cesarskiego, dla ułatwienia marszu zostały spalone, cóż więc było robić z nieszczęśliwym Kobylińskim? Los jego mocno zajmował marszałka. Zatrzymawszy się w marszu przed jedną kompanią grenadierską, tymi słowy przemówił:

— Żołnierze! mój adiutant-pułkownik, Kobyliński, od kuli armatniej utracił nogę. Wam go oddaję i polecam waszym staraniom; pilnujcie go, jak pilnujecie waszej chorągwi!

W kilka minut pułkownik Kobyliński, umieszczony na noszach, znajdował się pośrodku tej kompanii, a ciągłe staranie i przychylność żołnierzy, w ciągu całego marszu, karmiły go nadzieją, że jeszcze przyjdzie do zdrowia.

Przez kilka dni pochód szedł w dobrym porządku, lecz w miarę wzrastającego zimna, głodu i braku wszystkiego pokazywały się już początki strasznej dezorganizacji i nędzy. Kompania grenadierska szła zwolna i prawie sama jedna zachowując porządek, otoczona niedobitkami armii. Co chwila musiała się zatrzymywać i formować około rannego kółko dla odpędzenia kawalerii nieprzyjacielskiej, napastującej ją śród okrzyków hurra! lub też zaczepnie działając, szybkim atakiem przebijać się przez kupy nieprzyjacielskie, zawsze z należytym spokojem, męstwem i odwagą. Czuły był to widok dla każdego to poświęcenie się heroiczne i tysiączne dowody odwagi nieustraszonej. Czemuż to przypisać? Wtenczas gdy w całej armii największy panował nieład nieporządek, ta kompania okazywała się wyższą nad wszelkie nieszczęścia i wypadki! Zapewne z tej po części przyczyny, że już nie szło im o własne życie, ale pamiętne były każdemu słowa, wyrzeczone przez marszałka francuskiego:

— Polecam mego adiutanta Kobylińskiego waszemu honorowi i pewny jestem, że mi go obronicie.

Jeszcze w wojsku francuskim dość wówczas było siły moralnej i odwagi heroicznej. Nawet po kilkutygodniowym marszu w największej biedzie i nędzy poczciwi grenadierowie nie chcieli słuchać próśb samego pułkownika, który, widząc tyle ich poświęcenia, a nie mając nadziei wyzdrowienia, sprzykrzywszy sobie nareszcie życie, błagał ich ze złożonymi rękami, ażeby go na drodze zostawili.

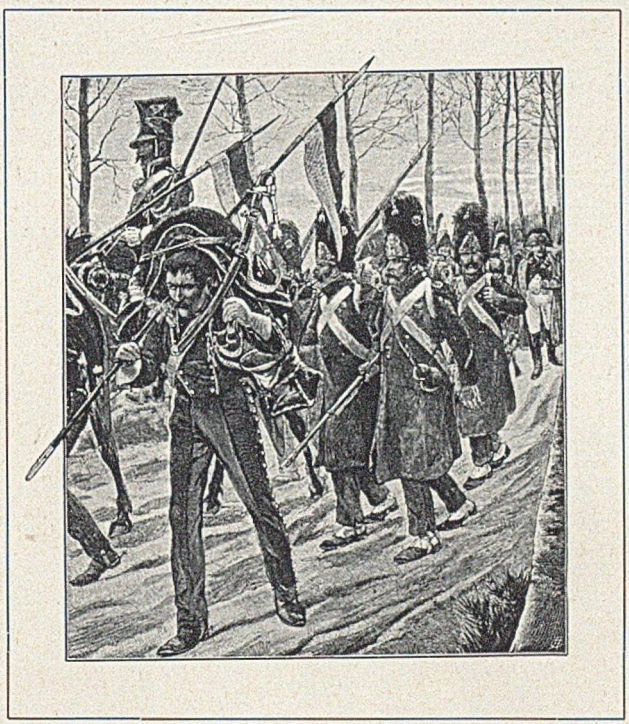

— Mój pułkowniku — odpowiadali starzy wąsacze — żywego lub umarłego musimy cię jemu oddać; taki bowiem mamy rozkaz marszałka, resztę oddajemy woli i opiece Najwyższego.

Tymczasem coraz większe mrozy, śniegi i nędza z niedostatkiem wszelkiego rodzaju, jakiej nawet trudno sobie wyobrazić, tak umniejszyły tę bohaterską kompanię, że, przybliżając się do Wilna, ledwie pięciu grenadierów z niej zostało, którzy kolejno nieśli nieszczęśliwego pułkownika. Nareszcie wyszedłszy na górę, ujrzeli z niej szeregi murowanych domów. To było Wilno, ta ziemia obiecana, druga Kapua, z swymi rozkoszami tyle pożądanymi, nadzieja dosta-

nia garści słomy i kawałka chleba. Radość potęgowała siły tych ostatnich pięciu grenadierów. Lecz próżna nadzieja! Tak byli osłabieni, że trzech padło zaraz bez zmysłów, później jeszcze jeden. Ostatni tylko z nich walczył z największym wysiłkiem i nie odstępując nieszczęśliwego pułkownika, a nie mogąc go sam jeden nieść, z góry ciągnął nosze za sobą, na których ranny leżał, i tak wciągnął drogi ciężar do miasta! Tutaj dopomogli mu nadchodzący żołnierze podźwignąć nosze i zanieść do małego domku, gdzie była główna kwatera marszałka Davousta. Z jakąż dumą kazali donieść marszałkowi, że kompania grenadierska, której powierzył pułkownika Kobylińskiego, uczyniwszy zadość jego rozkazom, uprasza, żeby mogła mu go przedstawić. Marszałek, usłyszawszy tę wiadomość, wyszedł natychmiast do nich.

— Gdzie jest mój adiutant? — pyta.

— Tu — odpowiadają.

— A kompania?

— Tu, mój marszałku.

— Pytam się o kompanię? — powtarza marszałek.

— Tutaj — odpowiada grenadier, wskazując na siebie.

— A twoi koledzy?

— Tam, leżą w śniegach!

Marszałek ze łzami w oczach uściskał grenadiera, którego nazwiska historia nam nie przechowała.

*

* *

Ten wypis zrobiłem z gazety francuskiej, do czego głównie to mię skłoniło, że znajdując się sam w tej nieszczęśliwej i okropnej kampanii, byłem naocznym świadkiem jak owego nieszczęśliwego pułkownika niosła w marszu całym kompania grenadierska francuska; przy niej kapitan, dwóch oficerów, doktór i felczer. Pułkownik leżał na noszach, zrobionych na kształt mar, otulony piernatami, sześciu żołnierzy go niosło, odmieniając się często między sobą. Nieraz tę karawanę w marszu spotykałem i dziwiłem się ich heroicznemu poświęceniu, tym bardziej, że to nie dla Francuza, lecz dla naszego rodaka.

Często ustępowaliśmy im naszego miejsca w obozach i przy ognisku, o co

się wówczas nawet zabijano. Powróciwszy w r. 1814 z Francji do Polski, zastałem tego samego pułkownika Kobylińskiego zamianowanym przez cesarza Aleksandra prezesem województwa płockiego z rangą generała brygady.

W r. 1820, stojąc garnizonem w Płocku, często go widywałem i bywałem w jego domu. Sławny był z żywości temperamentu i z prędkiego chodzenia na szczudle. Wówczas właśnie utracił był żonę, która mu zostawiła córkę. Córka tę samą nogę miała krótszą, której ojciec nie miał. Ile wiem, umarł z żalem przyjaciół w r. 1834, zostawiwszy córce znaczny majątek.

(Generał Roman Wybranowski)

LIBERADZKI

(1797)

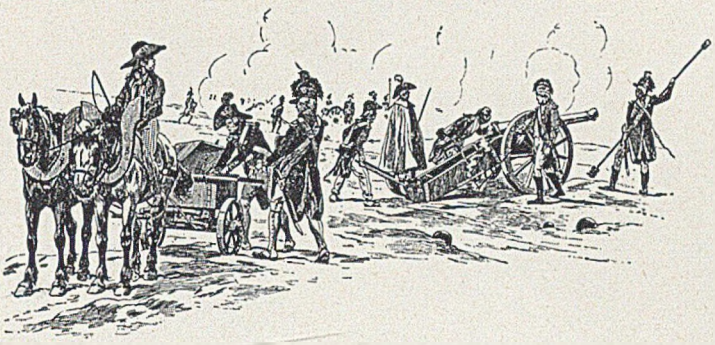

Liberadzki był rodem z Podola i miał przez całą młodość stosunki z domem Grabianki, człeka możnego, który się osiedzieć nie mógł i całe życie podróżował. Mistycyzm naprzód opanował mu głowę, a później do illuministów się wcielił. Że wtenczas Avignon był ich ogniskiem, i on tam z nimi przebywał, mając wiarę a szczególną ufność w marzeniach jednego z ich proroków, o którym mówiono, że przepowiedział, jakoby Francuzi do pewnego doszedłszy punktu, z Avignonu się cofną i więcej w nim nie postaną, co się przy pokoju tolentyńskim zupełnie miało sprawdzić.

Czy Liberadzki równie wiarę przykładał do tego, czy tylko przy możnym przyjacielu zabawić pragnął czas dłuższy, nie wiem, ale w Avignonie siedział.

Liberadzki był dawniej majorem kawalerii, użyty nawet do prowadzenia wyprawy, po której się spodziewano stanowczych skutków. Słowem, oficer, o którym mówiono wiele, żołnierz, którego imię brzmiało za życia i pamięć po nim została. Nie był on skorym do wzięcia na się nowych obowiązków, ale go korciło przecież zobaczyć dawnych towarzyszów broni, widzieć formujący się korpus, a może i potentować szczęścia dla otrzymania wyższego stopnia.

Lecz prorok złowieszczył i przepowiadał mu, że od pierwszej zginie kuli, a pan Grabianka nie chciał puszczać przyjaciela. Stanęło na tym nareszcie, że Liberadzki tylko jako podróżny zwiedzi Włochy i powróci do Avignonu.

Bitwa pod Zurichem
(według obrazu F. Bouchota)

Przyjechał więc Liberadzki do Mediolanu i wtedy właśnie, gdy Bonaparte był już pod Wiedniem, a dla utrudzenia czynności jego, generał austriacki, Laudon, puścił się z Tyrolu, ku Włochom i do Werony się zbliżał. Mieli tam Austriacy swoich stronników; Werona się podniosła, a za nią i po całych Włoszech poruszeń się obawiano.

Generał, komenderujący w Mantui, obmyślił środek, udając się do Mediolanu, gdzie się zbierali oficerowie, którzy pragnęli w legionach służyć, aby ci, których imiona wyższy za sobą miały odgłos w zasłudze wojskowej, przybyli do niego.

Polscy żołnierze, zabrani przez Austriaków w czasie rozwiązania się, w znacznej liczbie byli między niewolnikami; tych, jako już sposobnych żołnierzy, zawerbować i do tej nagłej wyprawy użyć można było. Lecz co imion w wojsku znajomych nie było w Mediolanie, bo je Dąbrowski ze sobą pozabierał. Liberadzki był najgłośniejszy, tedy do niego się udano. Aż ten miał właśnie list z Avignonu od swego proroka, który, spodziewając się, że go ostrzeżenie zawczasu dojdzie, powtarzał mu, jaki go los czeka i od służby odstręczał.

Ale że potrzeba była nagła, a postrach bez zasady, tedy Liberadzki kapituluje i zgadza się z generałem, że jeno dla werbunku stanie.

Werbunek był skuteczny, wiarusi się znaleźli i znajomi. Liberadzki nie chce jednak gwałtownie do służby brać — więc ruch między dwudziestu czterema tysiącami niewolnika i dwa tysiące sześćset naszych staje na ochotnika. Dają im broń z arsenału, a komendę Liberadzkiemu z rozkazem, aby Weronę atakował.

Chciał się wzbraniać Liberadzki, ale mu się ufność żołnierza spodobała. Wzniósł się nad pogróżki proroka, wszedł do Werony i tam zabity zarobił na pomnik, który mu w Mantui postawiono na tymże placu, na którym stoi pamiątka rzymskiego niegdyś wieszcza.

Chwała pamięci, która nam przysporzyła sławy.

(Drzewiecki Józef, oficer Legii Włoskiej)

SCHOENBRUNN

(1809)

Napoleon, powróciwszy do Schoenbrunn, zaraz się zajął przeglądem swych wojsk, tak przybywających ciągle, jako też tych, które zbierały dla niego wawrzyny na polach włoskich, węgierskich, austriackich i morawskich. Codziennie dziedziniec pałacu schoenbruńskiego był napełniony wojskiem i różnymi oddziałami artylerii, pociągów różnego rodzaju, oraz takimi pułkami, które Napoleon chciał wynagradzać za bitwy odbyte. Przyszła kolej i na nasz pułk. Mieliśmy rozkaz wystąpienia w zupełnym komplecie ludzi i koni obecnych przy pułku, jak do lustracji inspektora.

Oficerowie ranni, lecz mogący chodzić, jak to: szef Kozietulski i kapitan 1-ej kompanii Franciszek Łubieński, oraz inni, pełni nadziei łask i nagród, przybyli z Wiednia. Kapitan Łubieński, którego ja zastępowałem, prosił mię, żebym mu napisał jak najdokładniej sytuację kompanii, wiedząc, że Napoleon od niej, jako od prawego skrzydła, zacznie swoją lustrację. Pułk nasz ciągnął w całej paradzie, podzielony na dwa regimenty po 4 szwadrony bojowe;

pierwszym dowodził major Delaitre, drugim Dautancourt, oboma, niby brygadą, pułkownik Krasiński. Szliśmy upojeni tryumfem, marząc tylko o pomyślnościach; tymczasem, żadnemu z tylu dowódców nie przyszło na myśl, posłać adiutanta pułkowego naprzód, żeby się zapytał o miejsce szyku i zaprowadził pułk na nie. Weterani majorowie sądzili, że ktoś ze sztabu cesarskiego w tym celu do nas przybędzie, po prostu stracili głowę, mając po raz pierwszy popisywać się z bliska przed samą osobą Napoleona... To niech młodym oficerom służy za naukę, że musi to nie tak łatwo być dowodzić armiami, kiedy ludzie tacy, jak generałowie Delaitre i Dautancourt, nie umieli dać rady, każdy tylko czterem i to małym bardzo szwadronom.

Przybyliśmy więc poza prawą oficynę pałacu i, po rozgłośnej pretensjonalnej komendzie panów majorów, zaczynamy się szykować z tyłu, za oficyną. Wtem na głos donośny Dautancourta przybiega generał Durosnel, adiutant cesarski, i woła na gwałt: — Dla Boga! co panowie robicie? gdzie się kryjecie! nie tu wasze miejsce, ale w pierwszej linii, przed pałacem... — Zmieszani jeszcze bardziej nasi dowódcy tym naglącym rozkazem, prowadzą nas do bramy dziedzińca, mijamy owe lwy u wnijścia spoczywające i zastajemy cały dziedziniec przepełniony wojskami rozmaitymi, artylerią, pociągami; na koniec czoło kolumny trafia na jakieś zapasy cegieł i wapna i rusztowania, przysposobione do jakiejś reparacji; majorowie i szef Łubieński wydają różne komendy, chcąc wybrnąć z tego labiryntu; istotnie poruszenia nasze w tym tumulcie były trudne, i mogło się zdawać cesarzowi, że to skutek naszej nieznajomości obrotów wojskowych; wtem nadbiega generał Durosnel i woła: „Kto tu dowodzi 1-szą kompanią?“ Odpowiadam: Ja, Wmp.! — Jedź do cesarza, on wmp. żąda. — Ja kieruję konia ku cesarzowi, aż tu przypadają do mnie pułkownik Krasiński i Delaitre, wołając: — Co ty robisz, gdzie jedziesz?! Ja odpowiadam: że cesarz kazał mnie wołać — milczenie, zadziwienie, — a ja stoję na koniu przed cesarzem i salutuję go pałaszem; on spogląda z dołu do góry na mnie, i głosem surowym pyta: *Qui êtes Vous?* (Kto jesteś?) Odpowiadam: — Dowódca 1-szej kompanii regimentu szwoleżerów. — Na to cesarz: — A, dobrze! — i dotykając się ziemi palcami prawej ręki, mówi do mnie: — Pan tu, tu, uszykuj swoją kompanię przede mną. — Ja wracam do pułku i komenderuję mojej kompanii: — czwórkami marsz! — Przypadają do mnie sze-

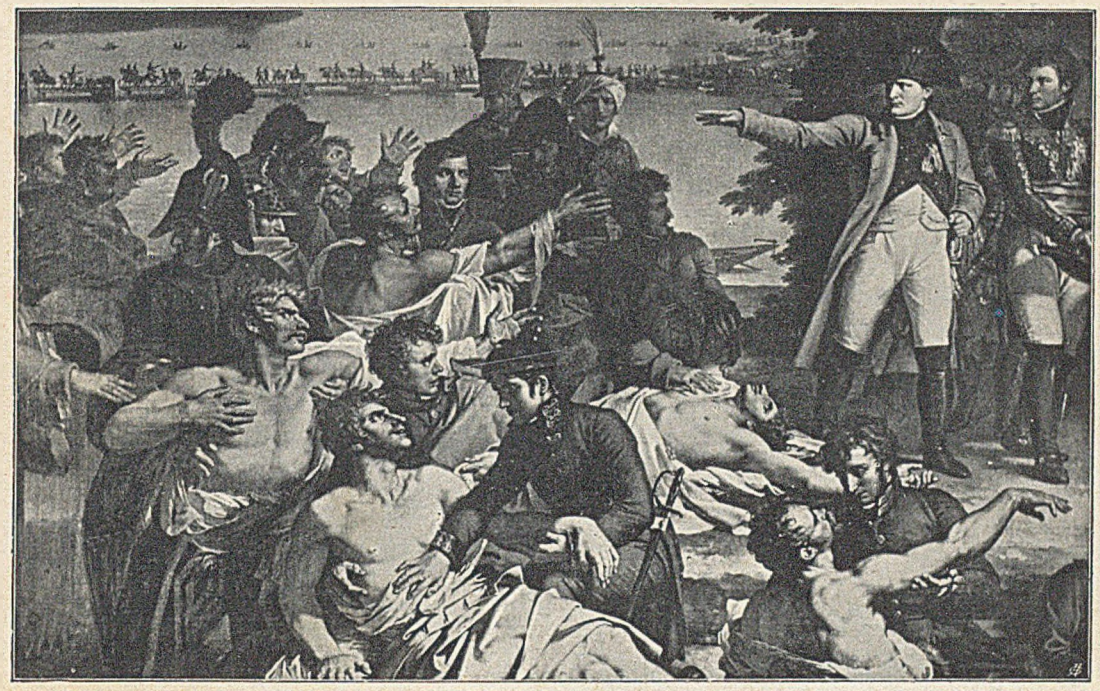

Powrót Napoleona na wyspę Lobau
(według obrazu Meynier)

fowie szwadronu, Łubieński, Pac, myśląc, żem dostał pomieszania zmysłów. — Co ty robisz? — wołają. Ja do nich: — Pełnię rozkaz cesarza. — Znowu milczenie i zadziwienie. Ja przyprowadzam kompanię i szykuję ją nie bez migów cesarza, gdzie mam stanąć, i wyrównywam ją przyzwoicie; gdym uszykował kompanią 1-szą, posyła znowu cesarz generała Durosnel po Szeptyckiego, dowódcę 5-ej kompanii, od śmierci Gorajskiego. Gdy ten przybywa przed cesarza, wskazuje mu Napoleon na nas i mówi: — Widzisz kompanię pierwszą; uszykujże się przy niej w linii; — co gdy Szeptycki uskutecznił, dał rozkaz przez generała-adiutanta, żeby cały pułk stosownie do stanowiska 1-go szwadronu się uszykował.

Siedzieliśmy na koniach oczywiście z dobytymi pałaszami; wtem Napoleon woła na pułkownika Krasińskiego: — Każ, pułkowniku, z koni zsiąść. — Krasiński komenderuje pospiesznie: — Z koni! — nie kazawszy wprzód pochować pałaszy, co jest uchybieniem krzyczącym w regulaminie; dopiero my,

podwładni, musieliśmy każdy osobno komenderować do schowania pałaszy, a potem do zsiadania z koni. Ale nie dość na tym... gdyśmy zsiedli z koni, pokazało, że nie jesteśmy w szyku lustracyjnym, ale w bojowym... znowu gniew cesarza, znowu zwłoka... a Kozietulski, Franciszek Łubieński, mój kapitan i inni ranni oficerowie, widząc, że się zanosi na burzę... gdzieś pochowali się i znikli. Ustawiłem więc kompanię czym prędzej w szyku lustracyjnym i stanąłem na samym onej prawym skrzydle, pieszo, trzymając za sobą konia w szeregu o cuglach przez lewe ramię na piersiach w lewej ręce, według regulaminu, a prawę rękę przykładając do czapki.

Nadchodzi Napoleon, za nim generałowie, pułkownik Krasiński, major Delaitre, szef szwadronu Łubieński, zaś z gradusów przed pałacowych przypatruje się świetny orszak sztabowy i mnóstwo generałów zagranicznych, bo było zawieszenie broni.

Napoleon idzie prosto na mnie i, stanąwszy przede mną, pyta surowo: — To wmp. dowodzisz kompanią? — Tak jest najjaśniejszy panie! — Wielu ludzi przytomnych? — Osiemdziesięciu czterech. — Wielu zabitych? — Wskazałem liczbę. — Wielu rannych? — Tyle. — Wielu w marszu pozostałych? — Tyle. — Wielu w zakładzie we Francji? — Tyle. — Jaki ogół ludzi i koni? — Tyle. — Te pytania następowały tak prędko jedno za drugim, że trzeba było być dobrze przygotowanym, i posiadać język francuski, ażeby cesarza nie zniecierpliwić. Istotnie nie wiem, coby się było stało, gdyby Franciszek Łubieński, który się jąkał i nie był koniecznie mocny we francuszczyźnie, był tak naglące nagabany... Zdaje się, że cesarz był zadowolony moim sposobem odpowiadania, równie prędkim jak jego pytania, bo spozierał na mnie z natężeniem, i jakimś upodobaniem, z którego wynikło, że w dobrym wcale humorze rzecze do mnie: — *C'est bien, voyons les livretes!* (To dobrze, zobaczymy teraz książki). Na to ja: — Nie ma ich najjaśniejszy panie! — Jak to, nie ma ich? — Nigdy ich nie było, najjaśniejszy panie! — Jak to Lubinski (Łubieński) to twój szwadron, a nie ma książeczek?! — Na to Łubieński, którego Napoleon znał bliżej, a który nie był przyjacielem Krasińskiego, odpowiada: — Najjaśniejszy panie! nie ja dowodzę regimentem. — Tu Napoleon, domyślając się, że chciano szkodzić Krasińskiemu, którego on lubił, przywołuje majora Delaitre i, już pełen gniewu, krzyczy na niego: — Cóż to pułkowniku

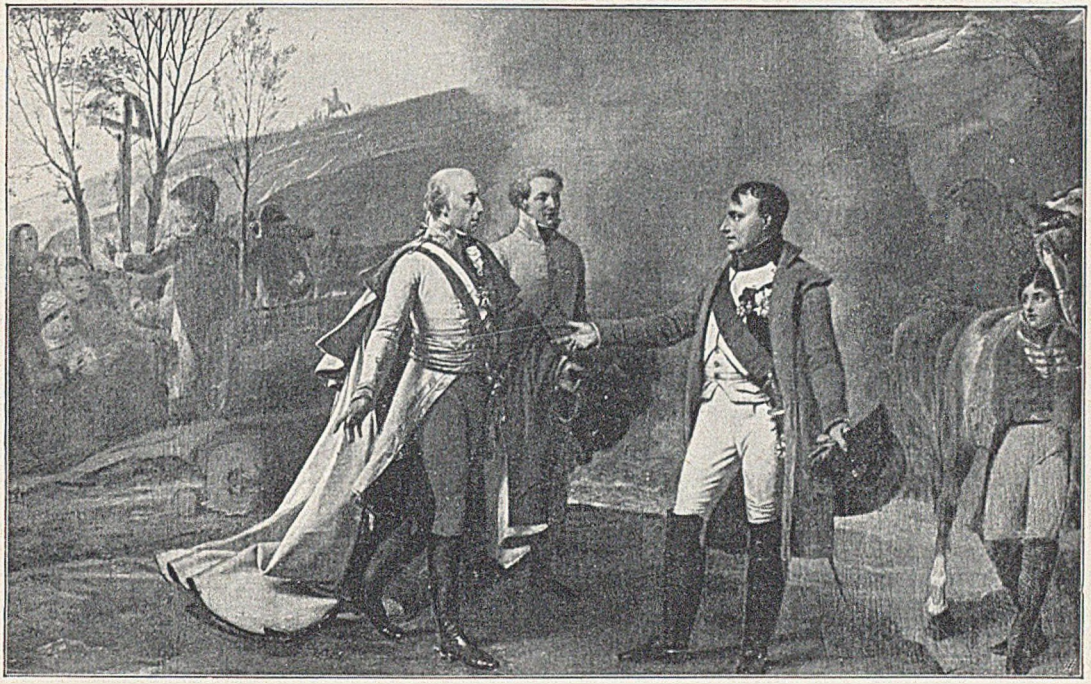

Spotkanie Napoleona z Franciszkiem II
(według barona Grosa)

Delaitre! ja wmpanu poruczyłem formację tego regimentu i zostawiasz go bez książeczek?... Cóż to wmpan sobie myślisz, że to ja chciałem mieć pułk Arabów? *(un poulk d'Arabes?)* — To powiedział Napoleon, mieszając wyobrażenia kozackie z egipskimi, dlatego, że znał Delaitra adiutantem Klebera, i poruczył mu był dowództwo mameluków, nim go awansował na majora do naszego pułku. Delaitre coś przebąknął na uniewinnienie się ze strony kosztów formacji pułku i t. p. tak, że Napoleon, opuściwszy go, zwrócił swój podwójny gniew na intendenta Daru, który był inspektorem generalnym gwardii. Tego więc kazawszy w oka mgnieniu do siebie przywołać, a był to pan orderowy z gwiazdą na piersiach, Napoleon, tupiąc nogą, krzyknął na niego: Czy to tak administruje jego wojskami, żeby regiment jego gwardii był bez książeczek? i t. d. Daru chciał coś odpowiedzieć, ale uniesienie się Napoleona wzrastało coraz bardziej i krzyknął: — Odprowadzić tego nędznika z oczu moich! Niech go nie widzę! *(Qu'il disparaisse! que je ne le voie plus!)*, — a odwra-

cając się rozgniewany ku naszemu pułkowi, te same słowa powtórzył: — Precz z nimi, niech się na nich nie patrzę!... — Ale wtem, kiedyśmy dosiedli koni i czwórkami w prawo galopem przez pierwszą boczną bramę wylecieli w oka mgnieniu, Napoleon, ten dopiero tak srogi Napoleon, czyli raczej pan swoich zmysłów, widząc, że wielu zagranicznych mężów patrzyło się z bliska na tę scenę, powraca ku pałacowi, uśmiechając się cały, i odzywa się do zagranicznych generałów: — *Ces gens là, ne savent que se battre!* (Ci ludzie tylko się bić umieją). — Otóż to pochwała do zanotowania sobie każdemu potomkowi tych ochotników, co służyli w gwardii Napoleona, a którego słowa pamięci przekazuję czytelnikom moich żołnierskich wspomnień.

Napoleon istotnie sądził, czyli nikt mu wystawić nie śmiał, że nasze opóźnienie i nieforemne wystąpienie nie pochodziło z niewyćwiczenia w mustrze, ale z natłoku i ciasnoty na dziedzińcu schoenbruńskim; dlatego zaraz nazajutrz, czy drugiego dnia zesłał do nas generała Durosnela, jako inspektora i nauczyciela manewrów. Tenże z zadziwieniem postrzegł, że my pod względem manewrów nie mniej umiemy, co każdy pułk inny gwardii konnej. Zaś co się tyczy książeczek, rzecz się tak miała: Krasiński, gdy Napoleon w kampanii pruskiej, za protekcją księcia Aleksandra Sapiehy, przeznaczył go na pułkownika mającego się tworzyć pułku gwardii konnej polskiej, z chełpliwości jemu, a prawdę powiedziawszy, nadto wielu z nas właściwej, oświadczył, że ta formacja będzie kosztowała nic, albo bardzo mało, bo młodzież polska, wezwana do gwardii Napoleona, będzie ze wszech stron dawnej Polski garnęła się na wyścigi o swoim koszcie... Stosownie do tego, damy warszawskie zajęły się wzorami haftów dla naszych mundurów, jak to już opisaliśmy w pierwszym oddziale naszych wspomnień, i w skutku tej chełpliwości powiedział Napoleon w dekrecie z dnia 6-go kwietnia 1807 r., w Finkenstein wydanym, w artykule szóstym, że szwoleżerowie polscy będą mieć tę samą płacę co strzelcy konni gwardii, to jest 25 soldów francuskich dziennie, zaś w artykule siódmym dodał, że koszt pierwszego ekwipowania tym, co nie mieli dostatecznych funduszów własnych, potrącony będzie aż do umorzenia z żołdu, licząc po 15 soldów dziennie.

Z tego powodu więc majorowie organizatorowie pułku, Delaitre i Dautancourt, nie zaprowadzili książeczek z przyczyny, że żołnierzom nie 25 soldów,

jak gaża powinna była wynosić, ale tylko 15-cie soldów wypłacali; a że od samego zawiązku organizacji oddziały pułku ciągle były w ruchu wojennym, tak dalece, że dopiero pod Wagram cały pułk wystąpił po raz pierwszy razem, i to jeszcze nie zupełnie, bo ś. p. kolega Niegolewski pisał do nas, że dopiero pod Wagram przybył i że zakład pułku był w Chantilly, więc major Delaitre

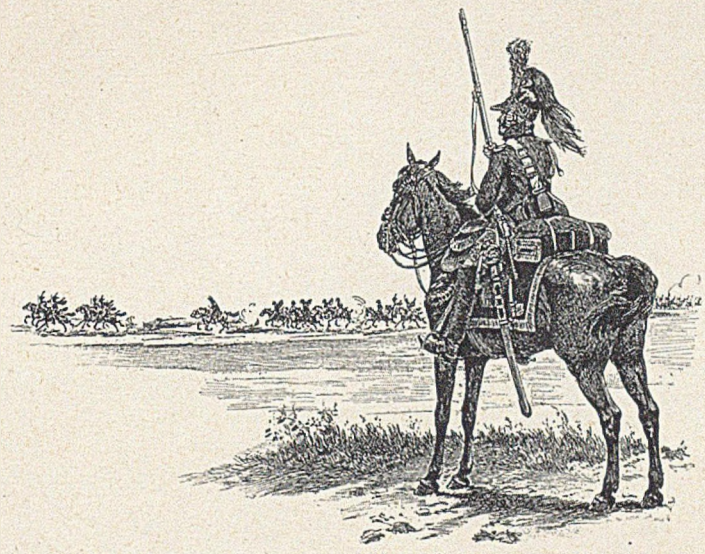

słusznie się wytłumaczył, dlaczego cesarz nie znalazł książeczek na rewii. Musieliśmy zatem w stanowiskach w Lanzensdorf pisać książeczki dzień i noc, w czym mnie w kompanii 1-ej dopomagał mój naówczas wachmistrz — szef Malinowski, późniejszy kapitan adiutant-major pułku.

Gdy na koniec generał Durosnel zdał raport cesarzowi najpochlebniejszy o pułku, że w nim znalazł ducha najlepszego, umiejętność manewrów i porządek, nic nie zostawujący do życzenia, Napoleon kazał znowu całemu pułkowi wystąpić przed siebie na paradzie w Schoenbrunn wobec tych samych widzów swoich i zagranicznych, którzy byli świadkami naszego niby upokorzenia na poprzedniej rewii. Wystąpiliśmy więc w okazałej postawie. Napoleon wyszedł do nas, uśmiechając się i, nie wdając się już w żadną inspekcję, kazał nam

przed sobą defilować plutonami i dawał oznaki swego zupełnego zadowolenia. Jakoż wkrótce otrzymaliśmy różne nagrody: krzyże Legii Honorowej i dotacje wieczyste; ja sam dostałem dotację 500 franków wieczystą na Monte di Milano, która mi, skutkiem wypadków późniejszych, przepadła; inni podostawali je na kanałach francuskich, i te dotacje po dziś dzień istnieją *).

(Józef Załuski, generał)

*) Były wypłacane pierworodnym rodzin napoleończyków jeszcze w roku 1911. *W. G.*

WJAZD LUDWIKA XVIII DO PARYŻA

(1814)

PAŁACYK NAPOLEONA NA SAN MARTINO
(wyspa Elba)

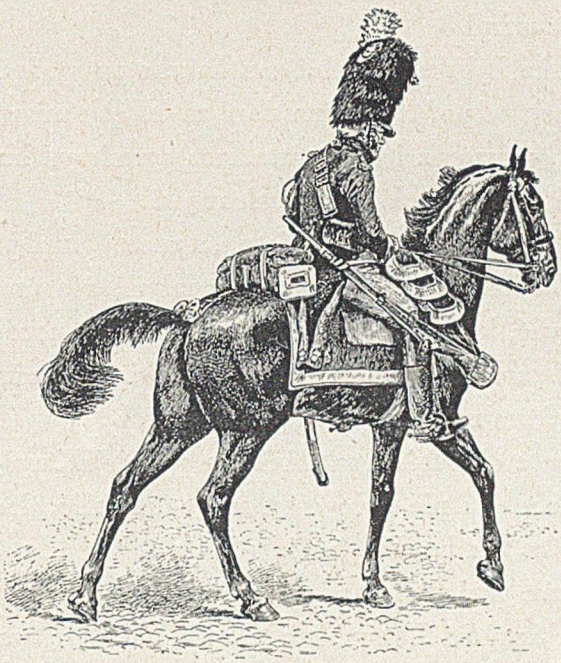

Przypatrywałem się wjazdowi króla Ludwika XVIII do Paryża. Nic nie było pocieszniejszego nad ten wjazd.

Proklamacje króla do ludu były wprawdzie napisane z godnością, lecz co w nich raziło Francuzów i ubliżało ich miłości własnej, to to, że datowane były jako w roku 18-ym swego panowania, czyli od śmierci syna Ludwika XVI. A więc tym samym te czasy pełne chwały i tryumfów wojennych, całą świetną epokę konsulatu i cesarstwa uważał za nic albo za czasy *interregnum* (bezkrólewia), nieładu, anarchii, które to czasy iść miały w zapomnienie. Cesarza on i cała jego rodzina wraz z otoczeniem nazywali: *le général Buonaparte.*

A dalej, powierzchowność króla Ludwika XVIII! Okropna! Głowa bardzo wielka, łysa, w peruce upudrowanej i ufryzowanej jak w r. 1790. Brzuch potężny, wiszący, na którym mundur gwardii narodowej paryskiej jak miech wisiał. Nogi krótkie, grube, opuchłe, schorzałe, a na nich czarne kamasze. Nie mogąc wcale chodzić, ledwie nogi wlókł za sobą, wsparty na dwóch silnych lu-

dziach, co go musieli prawie nieść. Oto człowiek, który po cesarzu Napoleonie miał rządzić Francuzami.

Familia królewska była nadto zbiorem karykatur podobnych jemu. Więc księżna Angoulême, święta, szanowna pani ze wszech miar, była bardzo szpetna. Twarz wielka, czerwona i trędowata, nos ogromny, burboński, nieprzyjemne wejrzenie i głos chrapliwy, prawie męski.

Książę Angoulême miał postać obojętną, a raczej głupią. Ani w twarzy, ani w ruchach nic szlachetnego. Był jakoby ospałym, nie umiał ani odpowiedzieć, ani przemówić, które to zdolności bardzo u Francuzów popłacają. Słowem, jak mówią Francuzi, *un homme nul.* Mówiono o nim, że miał kobiece skłonności, a jego żona męskie.

Monsieur le comte d'Artois, brat króla, a później Karol X, najlepiej jeszcze wyglądał, bo chociaż nie było co u niego chwalić, lecz, porównując go z bratem, nie było co tak bardzo ganić.

Książę Berry miał być perłą rodziny. Rojaliści porównywali go z Henrykiem IV, Franciszkiem I i Ludwikiem XIV! Miał książę twarz Burbonów, lecz dosyć przystojną, żwawy sam, ale przy tym grubiańsko rubaszny. Przynajmniej ten umiał siedzieć na koniu i mógł pokazać się wojsku, choć wojska nie znał, ani musztry, ani nie posiadał nauk wojskowych.

Wjazd króla do Paryża odbył się w następującym porządku.

Przed powozami maszerował oddział gwardii rosyjskiej konnej, jakby dla przekonania Francuzów, że nie oni króla swego przyjmowali, lecz dają go im sprzymierzeni monarchowie. Za gwardią tą maszerował batalion grenadierów starej gwardii cesarskiej, wybrany niby to z ludzi mniej nieprzyjaznych nowemu porządkowi pod dowództwem generała Frianta. Bermyce grenadierów obnażone były z blachy pozłacanej, którą za Cesarza mieli i na której był herb Cesarstwa i jego cyfra — wskutek czego widać było podszewkę i watę z bermycy. Zamiast blach dano im białe kokardy, lecz te nie osłaniały całkowicie śladów po blachach. Wszystko to wyglądało szkaradnie.

Grenadierzy maszerowali ponuro z oczyma w dół spuszczonymi.

Za tym batalionem szło dwanaście karet, każda w sześć koni oprzęgnięta. A były to karety cesarskie, zielone ze złotymi brązami, z herbami Cesarza na szorach. U drzwiczek karet herby były także Cesarza, lecz naprędce zalepiono

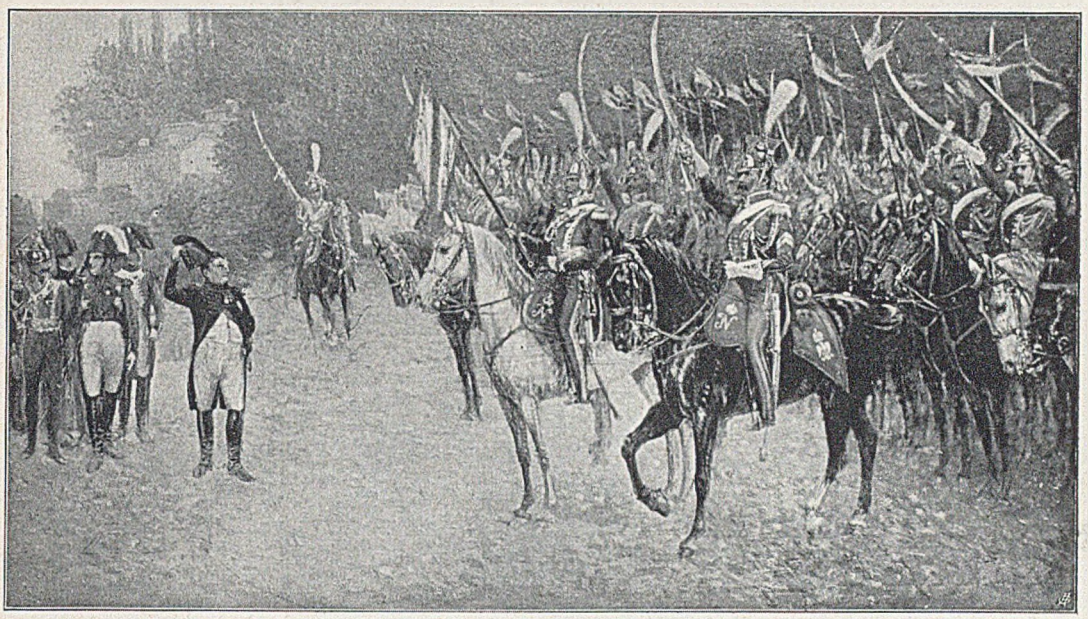

Przegląd na wyspie Elbie
(według obrazu Jana Chełmińskiego)

je herbami Burbonów, liliami, wydrukowanymi na papierze. Ulicznicy doskakiwali, jak tylko mogli, do karet i papier ten herbowy zrywali tak, że „herby“ królewskie albo zupełnie poodpadały, albo wisiały na pół odklejone.

Za tymi karetami szła kareta, w której siedział Król, mając po prawej stronie księżnę Angoulême, a przed sobą brata, księcia Angoulême. Ta kareta była cała wyzłacana i już z herbami Króla — był to dar regenta angielskiego, Jerzego, jak również i szory na osiem koni.

Za karetą stało trzech ludzi w liberii Burbonów. Dalej szło znów dwanaście karet cesarskich, zielonych, jak poprzednie — a za każdą stało po dwóch ludzi w liberii zielonej, cesarskiej.

U drzwiczek karety królewskiej jechał konno, zda mi się, prefekt i inni jacyś urzędnicy.

Za tymi karetami szedł oddział gwardii narodowej paryskiej.

Szpaler od bramy Saint-Denis aż do Notre-Dame i stamtąd do Tuileries formowała także gwardia narodowa, paryska. Na drodze stało dużo ludu, lecz w postawie smutnej. Policja do okrzyków *vive le roi* namawiała. Uważałem,

że ci, co krzyczeli, szli z powozami i powtarzali okrzyki. W oknach domów widać jednak było białe chorągwie i kobiety w bieli, z ogromnymi bukietami białych lilij w ręku, z białymi kokardami u boku, wydające okrzyki i machające chustkami.

Król się kłaniał ręką i kapelusz swój stosowany, *en bataille* na pudrowanej głowie siedzący, zdejmował.

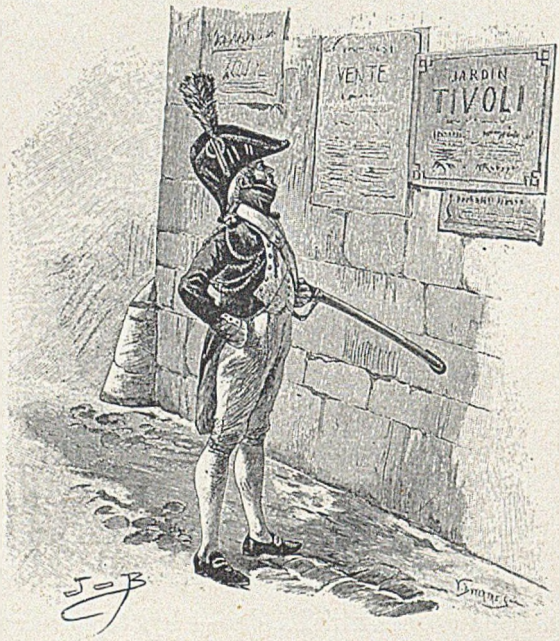

Muzyka i bębny były jednak głośniejsze od okrzyków. Muzyki były rosyjskie, pruskie i austriackie.

Postępowałem i ja również z karetami i przyglądałem się temu.

Generał Friant z białą kokardą odzywał się do grenadierów.

— *Allons, mes amis, il faut crier vive le roi!*

Lecz grenadierzy nic — nic, ani słowa.

Wtem, major gwardii narodowej, nazwiskiem Desnager, znany, bogaty kupiec wina na przedmieściu, *à la courtille*, u którego grenadierzy pijali często, mija ich na galopującym koniu. Tu ktoś zawołał: *Vive Desnager*! i cały ba-

talion powtórzył ten okrzyk kilka razy. A gruby winiarz, kontent, że go grenadierzy poznali, dziękuje uprzejmie: *Merci, messieurs, infiniment obligé!* Stąd śmiech w całym batalionie i na ulicy.

Generał Friant widząc, że nie namówi swego batalionu do wołania *vive le roi!* kazał mu w prawo skręcić i do koszar pomaszerował.

Król tymczasem do kościoła Notre-Dame pojechał, tam wysiadł z karety, a raczej go wynieśli, pomodlił się i w tym samym porządku do Tuileries się udał.

(Grabowski Józef, oficer sztabu Napoleona I)

SAINT-GEORGES

(15 WRZEŚNIA 1796)

BITWA POD RIVOLI (1797)
(według obrazu Philippoteaux)

Jan Jourdan
(według portretu Viena)

Nareszcie generał Cherin, adiutant ministra wojny Pétiét'a, doręczył Sułkowskiemu patent na kapitana, dający mu przeznaczenie do armii, do której pragnął się dostać.

Ach! z jakimiż trudnościami bywały połączone pierwsze kroki ludzi przy rozpoczęciu kariery życia, w której się mieli później najznakomiciej odznaczyć. J. J. Rousseau mówi, że pierwszy talar daleko trudniej zarobić, niż ostatni milion.

W podróżach, które Sułkowski musiał odbywać, nie miał już ani sukien, ani pieniędzy. Ubiór polski, który mu pozostał, kazał więc przerobić na francuski. Jeden z jego przyjaciół, ojciec licznej rodziny, podzielił się z nim szczupłym swoim mieniem; dał mu swój zegarek srebrny i odprowadził do dyliżansu.

Minister wojny, Pétiét, listem, do szefa sztabu wystosowanym, polecał na-

szego kapitana ze względu na jego wieloliczną znajomość języków i bardzo rozległe wiadomości polityczne i wojskowe.

Za przybyciem Sułkowskiego do armii, generał Berthier przyjął go jako adiunkta. Odtąd widziano tego młodego, lecz zimnego i poważnego człowieka, zasiadającego spokojnie za stołem, piszącego ważne rozkazy, a w wolnych chwilach zatopionego w przeglądzie kart wojennych.

Sułkowski w pierwszych chwilach swego umieszczenia zdawał się być zdziwionym ową prostotą i szybkością wykonań, które Bonaparte zaprowadził w administracji i wydawaniu dyspozycji obrotów wojennych swej armii. Kilku adiutantów-generałów, kilku adiutantów przy generałach-adiutantach, działających zawsze ile możności w najmniejszej liczbie i nie siedzących prawie nigdy, wystarczało pracom, które gdzie indziej zajęłyby były dziesięć razy większą liczbę pospolitych współpracowników cywilnych lub wojskowych.

W taki to sposób (jak później opowiadał Sułkowski) dawał Bonaparte sam z siebie przykład działalności swoim własnym postępowaniem, a nawet swoją osobistą postawą. Najczęściej, stojąc, zajęty przeglądem karty geograficznej, dyktował on generałowi Berthier swoje rozkazy, słuchając aż do ostatniej chwili wszystkich uwag, jakie mu czyniono; za czym zalecał wykonanie i już więcej do tego przedmiotu nie wracał.

W kilka dni po przybyciu Sułkowskiego do armii włoskiej, naczelny wódz, Bonaparte, wskutek planu, jaki ułożył do bitwy pod Saint-Georges, potrzebował znieść baterię tego nazwiska, która mogłaby była zasłaniać cofanie się Niemców. Zażądał więc jakiego walecznego oficera, któryby w tym celu wziął dowództwo nad dwustu sześćdziesięcioma grenadierami. Młody adiunkt, który dotąd milczał, wysuwa się, prosząc o ten zaszczyt; jego postawa pełna determinacji zjednywa mu go.

Sułkowski prowadzi dwustu sześćdziesięciu grenadierów na baterię, która miota przeciw nim najstraszliwszy ogień; część grenadierów pada pod gradem kartaczy, reszta, zachwiana tym ogniem, cofa się. Sułkowski zostaje sam jeden na drodze... Na to żołnierze, zawstydzeni opuszczeniem swego dowódcy i wzmocnieni jego nieustraszoną walecznością, przychodzą do przytomności i, szczęściem dla wszystkich, wróciwszy do swego dowódcy, skupiają się około

niego; tymczasem Sułkowski, opuszczony wprzód od żołnierzy, miał czas ze wszech stron obejrzeć się uważnie i przypomnieć sobie swoje spostrzeżenia, które w poprzednich podróżach uczynił był właśnie nad tą pozycją militarną.

Otóż, zdaniem jego, nie z tej strony, z której następował, trzeba było iść do ataku. Sułkowski prowadzi więc swoich grenadierów tyłami; napotyka tam nie zajęty cmentarz, panujący nad baterią nieprzyjacielską; dzieli swoich grenadierów na dwie części, jedną z nich prowadzi tyłami na cmentarz i tam ją umieszcza i wówczas uderza na kanonierów nieprzyjacielskich z frontu i z boku.

Wskutek tego manewru, bateria wziętą została bez potrzeby zagwożdżenia dział, które, skierowane natychmiast przeciw wojsku niemieckiemu, wprowadziły je w nieład.

W taki to sposób zdołał Sułkowski dopiąć celu, zdobywając baterię Saint-Georges w dniu 15-go września 1796 r. (29-go Fructidor roku V).

Ta świetna korzyść dała nie tylko wyobrażenie o odwadze i zimnej krwi młodego kapitana-adiunkta, lecz świadczyła o jego niepospolitych zdolnościach.

Naczelny wódz, Bonaparte i szef sztabu głównego, Berthier chcieli zaraz nazajutrz wziąć młodego Polaka na adiutanta. Sułkowski przyjął ten obowiązek przy Bonapartem i odtąd zdaje się rozpoczynać jego świetna kariera wojskowa. Od owego czasu Bonaparte zaczął powierzać Sułkowskiemu najważniejsze zlecenia.

(H. de St. Albin) Pamiętniki Sułkowskiego

FRANCUZI W POZNANIU

(1806)

W listopadzie r. 1806 przymaszerowały wojska francuskie do Poznania. Pierwszy regiment strzelców konnych pod dowództwem pułkownika Exelmans, wsławionego później generała, nasamprzód wszedł, pod wieczór, do miasta. Szwadrony pierwsze pospieszyły kłusem przez całe miasto, z dobytymi pałaszami, zaraz za Wartą rozstawić placówki na drodze warszawskiej i toruńskiej, drugie spokojnie stanęły na rynku, gdzie część ludności się zbiegła i wiwatami ich witała; dlatego mówię, że część ludności, ponieważ i wtedy połowa była złożona z obcych. Przodkowie nasi podczas prześladowań religijnych w Niemczech przyjmowali ze zwykłą tolerancją naszą przybyszów stamtąd, a po rozbiorze kraju napłynęło ich jeszcze daleko więcej. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego wyniosło ich się znów dużo, zwłaszcza urzędników, ale w r. 1806 stanowili oni wraz z żydami, jak i teraz, prawie połowę ludności Poznania.

Szwadrony francuskie na rynku zsiadły z koni, i, po rozmowach z mieszkańcami cisnącymi się do nich, pomiarkowali, że są w przyjaznym kraju, o czym już po kilkudniowym marszu po Wielkopolsce przekonali się byli;

Bitwa pod Jeną
(według obrazu Horacego Verneta)

rozkwaterowali się tedy spokojnie. Generał Dąbrowski przybył w dwa dni potem, zastał w mieście już wielu obywateli przybyłych ze wsi, uformował zaraz gwardię honorową dla przyjęcia cesarza Napoleona, złożoną ze stu koni, i oddał komendę nad nią Umińskiemu, którego znał z wojny kościuszkowskiej, był on bowiem, mając 15-cie lat, adiutantem przy generale Madalińskim.

Przed przybyciem cesarza gwardia honorowa musztrowała się codziennie na polu, od strony Buku, za wiatrakami, ćwiczyła się w obrotach plutonowych i szwadronowych. Umiński zrobił mnie adiutantem szwadronu i instruktorem, wiedział bowiem, że cztery lata służyłem był w dragonach, którzy naówczas pełnili służbę jazdy i piechoty. Była to formacja pierwiastkowa dragonów, skąd też ich nazwa, później zmieniono ich w Prusach na lekką jazdę.

Będąc w służbie pruskiej, tylko sześć tygodni na rok, podczas manewrów jesiennych, bywałem przy regimencie, resztę czasu odbywałem nauki w Ber-

linie w szkole wojennej, udzielane wtedy przez oficerów artylerii i inżynierii, z których kilku później się wsławiło, jako to generał Schanhorst, wówczas kapitan i nasz profesor, a później twórca obrony krajowej (Landwehr); moim zaś nauczycielem, czyli raczej korepetytorem, był porucznik Perlitz — z nim powtarzałem to, co na kursie było wykładane. Służyłem od r. 1801 do 1805. W tym ostatnim roku, gdy ów regiment dostał rozkaz marszu nad Ren, ojciec mój, nie chcąc, żebym przerywał nauki, wyrobił u komenderującego nim generała Brüsewitza wymazanie moje z kontroli i pozostałem w Berlinie aż do wejścia tam Francuzów 1806 r.

Stąd to Umiński użył mnie, najmłodszego może z gwardii honorowej, do uczenia musztry, której sam wtedy nie umiał, ponieważ, chociaż był adiutantem przy Madalińskim, w liniowym pułku żadnym nie służył, nauczył jej się dopiero później. Piesza służba bardzo dobrze poszła z tak chętnymi obywa-

Bitwa pod Iławą
(według obrazu barona Grosa)

telami, z jakich była złożona gwardia honorowa, ale konna była bardzo trudna, gdyż wszyscy mieli konie za żywe do szeregu, i równania się zawsze psuły. Do szeregu należy unikać za żywych koni, zawsze one się dosyć ożywiają połączone razem. Przyjemne to wspomnienie, że w tej gwardii służyli: Suchorzewski, Morawski, Tomicki, Ziemecki, późniejsi generałowie. Zjeżdżali się

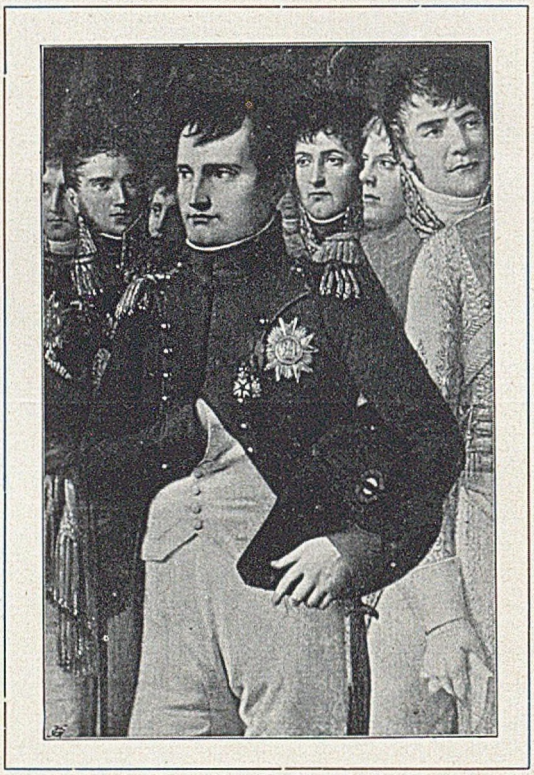

Napoleon w Berlinie (1806)
(według obrazu Berthona)

także jeden po drugim z Włoch, nasi legioniści, generał Kosiński, Sokolnicki, Downarowicz, Sierawski, Muchowski, Hauke, Cedrowski etc. etc. Serdeczne były ich powitania z nami.

Pierwsza dywizja piechoty francuskiej z korpusu Davousta, która przymaszerowała, dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Wyjechało nas naprzeciw niej kilkunastu, spostrzegliśmy o milę od miasta całe pola pokryte pojedyńczymi

żołnierzami, w surdutach różnej barwy, nieśli wszyscy broń kolbą do góry i szukali suchych przepraw po polach, na drodze bowiem było błoto po kolana.

Przed samym miastem obok wiatraków uderzono w bębny, zbiegli się wszyscy i stanęli w kolumnie szeregami, w mgnieniu oka pozwijali płaszcze, popoprawiali kapelusze na głowie (cała liniowa piechota jeszcze wtedy nosiła kapelusze trójrogate), wojsko jak najregularniejsze się zjawiło, maszerując z muzyką na czele, krokiem żywym, podwójnym do miasta. Stanęli około rynku, broń w kozły złożyli, dobyli szczoteczek, trzewiki pochędożyli z błota i żwawo bawić się pomiędzy sobą zaczęli, jak gdyby zamiast 150-ciu mil jedną tylko milę marszu byli odbyli.

Przypatrywałem się ze zdumieniem tej piechocie, złożonej z tak ochoczych ludzi, dotąd niezwyciężonych. Wszyscy jakby do tańca gotowi. Nie taką kilka tygodni temu widziałem wychodzącą piechotę z garnizonu, w tej każdy żołnierz wyższy o głowę od tamtych, barczysty, daleko silniejszym być się wydawał, ale sztywny, nieruchawy, uszedłszy pół mili, skoro kolumna stawała, pokładał się do spoczynku. Z historii wojen wiedziałem, że piechota bitwy wygrywa, a najczęściej ona je rozstrzyga, a lubo niekiedy jazda je także decyduje, to zazwyczaj, po wygranej dopiero, korzyści odnosi. Przypatrując się tej dzielnej i tak lekkiej francuskiej piechocie, zrozumiałem to lepiej, i utwierdziłem się w myśli zaczęcia służby mojej na wojnie w piechocie.

(Chłapowski Dezydery, generał)

BAŚKA MARKIETANKA

(1812)

EPIZOD Z ROKU 1812
(według obrazu Philippoteaux)

W sławnych wyprawach Napoleona, za każdym maszerującym pułkiem na kampanię, widziałeś zwykle przy bagażach pułkowych kilka kobiet, pod nazwiskiem markietanek; przy wymarszu z garnizonu, każda z nich musiała uzyskać upoważnienie od dowódcy pułkowego do dzielenia trudów wyprawy, bez tego bowiem z pierwszych stacyj wrócona była do domu, i z tej przyczyny, kiedy żołnierze przysposabiali się do marszu, mnóstwo zachodziło intryg między kobietami garnizonu o uzyskanie tak dla nich pożądanego pozwolenia; zwykle jednak dowódcy pułkowi, nie zważając ani na wiek, ani na urodę, dawali pierwszeństwo tym, które, dzieląc poprzednie wyprawy pułku, dobrze się sprawowały i trudno było zaiste wymówić się ostrzelanym amazonkom, kiedy z ognistą wymową stawały w obronie swych praw, wyliczając strawione lata na usługach całego pułku.

Postać, ubiór i umysł tych kobiet różniły ich zupełnie od innej płci niewieściej, zahartowane w obozach, ogorzałe od słońca i niewywczasów, naśladujące zwyczaj i mowy prostych żołnierzy, szczególny częstokroć przedstawiały widok; dzieliły się one na stopnie; i tak widziałeś najzasłużeńsze, a przeto w lepszym bycie, jadące w małych wózkach okrytych ceratą, z biczem

w ręku mając na głowie czepek z wielkimi kokardami; drugie konno przy ostrogach w pantalonach obcisłych, w damskim kapeluszu; inne zaś, świeżo przybyłe, przykrywszy lekką sukienkę dolmanem huzarskim lub wielkim spencerem grenadiera, z utrefionymi lokami biegły piechotą, niosąc baryłkę wódki na plecach, z pewną nadzieją, że po pierwszej bitwie czeka je rumak z całym rynsztunkiem; przybierały one do swego imienia zwykle nazwisko swojego pułku, do którego trzeba wyznać, zawsze szczerze były przywiązane; dlatego o honor pułkowy częstokroć w obozach, do krwawych między nimi przychodziło sprzeczek; nie będąc rozwiązłe, zdradzały często swych kochanków i mężów, gdyż miłość liczyły między ogólne potrzeby żołnierza; wytrwałe na wszelkie trudy i marsze, nad podziw odważne, na kwaterach kłótliwe, te miały cnoty, iż mało dbając o własne zyski, całą myśl zwracały na potrzeby pułkowe, rannym i chorym niosły troskliwą pomoc, a w głodnych chwilach, nawet pod ogniem armatnim, przebiegały szeregi z żywnością i napojem, i wtenczas za żadne pieniądze nie udzieliły kieliszka wódki żołnierzowi z innej broni.

Taką była markietanka Baśka z pułku ułanów polskich gwardii Napoleona; odbywszy szczęśliwie kampanię w Hiszpanii i Niemczech, gdzie zawsze wózek jej był licznie otoczony wesołym żołnierstwem, roku 1812 poszła za pułkiem w kampanię do Rosji, lecz tam tak, jak tysiące innych, doznała srogiego losu; w mieście Moskwie, po krótkiej chorobie, straciła męża, który był piekarzem pułkowym, w kilka dni po urodzeniu pierwszego syna, którego z niewymowną radością awansowała na wachmistrza ułanów gwardii; w nieszczęsnym odwrocie armii francuskiej zdołała stanąć szczęśliwie z swym wózkiem nad brzegami Berezyny, lecz tu, nie mogąc się dostać na most, z przyczyny strasznego natłoku bezbronnej zgrai maruderów, stała czas długi, tuląc swe dziecko do piersi w największej rozpaczy, a kiedy granaty rosyjskie zaczęły padać śród tych nieszczęśliwych, Baśka odcina konia od wózka, (bez żalu opuszcza wózek z całym majątkiem) porywa dziecko, a dosiadłszy konia, rzuca się na nim w nurty Berezyny. Już miała szczęśliwie dostać się na przeciwny brzeg rzeki, kiedy koń zmęczony w wodzie, pod nią upada i w tej chwili nieszczęśliwa Baśka traci swego małego wachmistrza; w takim stanie niedoli skostniała od zimna, przyszła wieczorem do pułku ułanów, lecz wszystkie starania żołnierzy nie zdołały jej przynieść pociechy.

A tak, kiedy Baśka codziennie patrzyła na krwią zbroczonych rycerzy, na płonące pożarem grody i na okrytych nędzą mieszkańców obojętnym okiem, jedno uczucie matki wstrząsnęło jej duszę uśpioną, zrosiło lice rzewnymi łzami i na całe życie wyryło w jej sercu smutne wspomnienie!

(Ze wspomnień wojskowych nieznanego autora „5. H" drukowanych w roku 1839 w Tygodniku Literackim „Rozmaitości", wydawanym we Lwowie)

WŁOSY CESARZA

(1814)

WIZJA NAPOLEONA W PRZEDEDNIU UPADKU
(według obrazu E. Dupain'a)

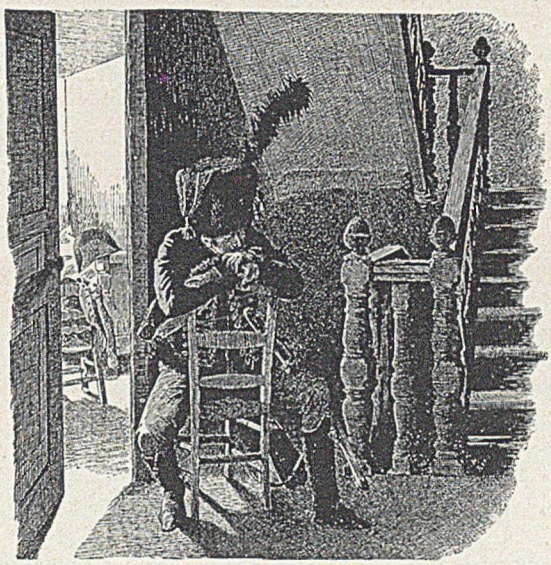

Cały prawie dzień nie ustępowałem z pokojów pałacowych w Fontainebleau. Co chwila coś nowego się działo i coraz to smutniejszego. Dezercje oficerów, otaczających Cesarza, wzgardą i gniewem mię przejmowały.

Szukałem sposobności w pałacu, abym mógł jeszcze raz widzieć Napoleona i w tym celu nazajutrz znów do przedpokoju służbowego poszedłem. Gdy tam się znajduję, patrzę, iż z pokojów cesarskich wychodzi dobrze mi znajomy kamerdyner Cesarza, Constant, i trzyma w lewym ręku nożyczki i snopek mały włosów. Pytam się skwapliwie Constanta, czy to nie są włosy Cesarza. Powiada, że istotnie tak. Daj mi je pan! — mówię. — Weź je pan! — Wziąłem. Włosy te mam dotychczas, oprawione nad miniaturą Cesarza, którą mi mój przyjaciel, H. S., darował i która jest pędzla sławnego malarza Isabey.

Miałem tych drogich włosów więcej, lecz gdy się moi koledzy dowiedzieli, że je mam, nie mogłem odmówić i musiałem podział zrobić, że mi się mało zostało, dosyć jednak na pamiątkę.

Francuzi znajomi napierali mi się ich także, ale tym dałem bez skrupułu fałszywe włosy. Może te włosy dziś są gdzie w obserwie wielkiej i w złoto oprawne, a to są realnie włosy jednej ładnej panienki, która, w Fontainebleau, w kwaterze mojej była.

Był przy Cesarzu generał Kossakowski, jak już wyżej wspomniałem. Nie miał żadnej czynności, lecz się trzymał ciągle głównej kwatery. Był to człowiek nader godny, już w pewnym wieku i bogaty. Całe życie strawił na zbieraniu starożytności i pamiątek po osobach znakomitych. Podczas rewolucji francuskiej bawił w Paryżu i skupywał pamiątki po królach francuskich

Napoleon na wyspie Elbie
(według portretu Delarocha)

i sławnych ludziach, więc autografy, meble, tabakierki, portrety różne etc. Przez znajomość swą ścisłą z hrabią Turenne, szambelanem Cesarza, dostał kompletny mundur wraz ze szpadą i kapeluszem, które Cesarz nosił. Miał nawet szklankę, z której Cesarz pił poraz ostatni przed swym wyjazdem na wyspę Elbę, a co kazał wyryć na tej szklance.

Dałem także generałowi odrobinę prawdziwych włosów Cesarza.

(Grabowski Józef, oficer sztabu Napoleona)

U PASZY WIDDYŃSKIEGO PASWAN-OGLU

(1795)

SZARŻA ODPARTA (ARMIA REŃSKA 1796)
(według obrazu L. Sergenta)

Za przybyciem do Konstantynopola, do pałacu ambasadora francuskiego w Pera, byłem od tego łaskawie bardzo przyjęty, — dał mi w swym domu mieszkanie, i o różnych szczegółach msji mojej obszernie rozmawiał, wypytując mnie się szczególniej o wszystkich Polakach, jaką grali w Polsce rolę, do jakich partyj należeli, i o ich związki z magnatami polskimi.

W tym czasie zobaczyłem tam Michała Ogińskiego. Ten panek był mi dobrze znany, po przywitaniu się z nim, dziwiłem się jego bytności, — oświadczył mi, iż był w Konstantynopolu w charakterze agenta od deputacji polskiej, w Paryżu egzystującej. Ja, jakbym nie wiedział o tej deputacji, zapytałem go się o tęż, — on zakomunikował mi aktualne zlecenia od tej deputacji. Czytając podpisy tej deputacji, spostrzegłem pomiędzy nimi i naszego Dąbrowskiego *). Podziękowawszy za ufność, poszedłem do ambasadora i oświadczyłem mu, jak znajdował się w Polsce Ogiński, jakim tchnie duchem, jak był przez króla Stanisława za partyzanta obcej monarchii uważany, — wyjaśni-

*) Ksawery Dąbrowski, pułkownik, partyzant na Wołoszczyźnie.

łem wszystkie szczegóły tak dalece, że ambasador dziwił się deputacji polskiej, że mogła go wysłać, — wreszcie rzekł: „Wszakże i wasz Dąbrowski podpisał się na upoważnieniu, które Ogińskiemu dano?“ Wytłumaczyłem mu, że Dąbrowski wówczas był jeszcze w bardzo młodym wieku, kiedy Ogiński już grał rolę na sejmie, i był litewskim podskarbim; że on go znać dobrze nie mógł, bo nie miał wpływu do interesów politycznych, a te osoby, które składają teraz deputację w Paryżu, jedne są albo Litwini z nim połączeni, uważający go jako magnata, drudzy, którzy żadnego wpływu do ówczesnych politycznych obrad nie mieli, przyzwyczajeni są wysoko cenić magnatów, z których liczby był Ogiński. Ambasador, po przekonaniu się później od rozmaitych osób, chciał się grzecznie pozbyć Ogińskiego, i mniejszy mu dawał do siebie przystęp.

Tymczasem odprawił mnie z Konstantynopola z poleceniami następującymi: 1. że co się tyczy negocjacyj z paszą Widdyna, daje zupełną moc Dąbrowskiemu, o czym osobną drogą uwiadomi tegoż paszę; 2. że wyrobi broń i konie dla nas. Powróciłem do Bukaresztu, gdzie uwiadomiwszy o wszystkim tak Dąbrowskiego, jako i konsula francuskiego, odpoczywałem kilka dni, po których wyjechaliśmy: ja, pułkownik Jabłonowski, pułk. Krynicki, Melford kapitan, Żurawski porucznik, Bogdanowicz i Krystodolo tłumacze orientalnych języków, z czterema żołnierzami do Widdynia, do Paswan-Oglu.

Trzeba tu wiedzieć, co był ten pasza, czyli rządca rozległych prowincyj; był on podobno z rodu francuskiego, bogaty, nadzwyczajnie mężny, dobry wojownik i polityk, umiał do siebie przywiązywać swych poddanych, i tych tak ujął, że uchylił się spod władzy sułtana, wszędzie zwyciężał wojska jego, tak, że sułtan nie śmiał go więcej zaczepiać, ani haraczu od niego żądać.

Miał on piękną artylerię i armaty nowego kalibru, których sułtan nie miał, a przy tym kilkudziesięciu doskonałych oficerów, złożonych z Francuzów, Niemców i Włochów. To mając, uważał jednak, że jego panowanie jest tylko czasowe, chciał był coś więcej i pewnego, lecz nie miał pory; ta właśnie wydarzyła mu się, kiedy robiąc przysługę Francji, mógł od niej silnego oczekiwać wsparcia.

Dąbrowski, korzystając z wiadomości, jaką miał o tym paszy, przygotował plan, przez który Paswan-Oglu mógł, pomagając Francji i Polakom, stać się

dziedzicem obszernych prowincyj: a ten był taki: 1) profitując z wojny, w jakiej ościenne państwa znajdowały się przeciwko Francji, a mając dostateczną siłę oparcia się sułtanowi, ażeby ogłosił się dziedzicznym książęciem swych prowincyj; 2) ażeby zajął księstwa Wołoszczyznę, Transylwanię, Bośnię, uwiadomiwszy wprzód o tym Francję i otrzymawszy od niej zapewnienie, że przy generalnym pokoju wymagać będzie Francja potwierdzenia tych zaborów; 3) aby zaś uczynił sobie wstęp do przyjaźni i protekcji Francji, winien dla tejże dać dowód w wojnie, toczącej się przeciwko niej, a ten będzie najmocniejszy, kiedy pasza da swego wojska 15.000, z którym pójdzie na pomoc Francuzom, robiąc dywersję w krajach nieprzyjaciół Francji. Gdyby to uczynione było, wojska nieprzyjaciół Francji musiałyby rozdwoić się, widząc kraj swój opanowany przez Polaków i Turków, a w ten sposób Francja prędzej i skuteczniej ukończyłaby wojnę.

W takim duchu wyjechaliśmy; aż tuż prawie na granicy prowincji Widdynia zatrzymały nas forpoczty tegoż paszy; wytłumaczyliśmy, że jedziemy do Widdynia, zatrzymano nas, a paszy znać dano; trzeciego dnia przyszło zalecenie konwojować nas, stanęliśmy w dwa dni przed miastem, które było fortyfikowane, zatrzymaliśmy się i posłaliśmy oficera z tłumaczem, prosząc paszy o pozwolenie wjechania do miasta, dla złożenia mu uszanowania.

W osiem godzin dopiero powrócili nasi delegowani; już był wieczór. Nocowaliśmy w domu zajezdnym za miastem, bo przyjęcie nas do następnego dnia odłożone zostało. Nazajutrz, o godzinie piątej rano, przybył tłumacz paszy, a z nim dwudziestu konnicy, oświadczył, że tenże przyjmuje nas, i honorowy konwój przysyła. Ta konnica była jego przyboczna, na dzielnych koniach i bogato ubrana.

Wjechaliśmy do miasta, potem do pałacu paszy, w którym był dziedziniec obszerny, obstawiony żołnierzami, a wokoło stały armaty, zsiedliśmy z koni, wprowadzono nas do trzeciego pokoju, przy drzwiach którego stało dwóch Turków w pąsowych sukniach, bogato szamerowanych, w białych zawojach, z frędzlami złotymi, miał każdy pistolet za pasem w złoto oprawny. Ci, za posunięciem się naszym ku drzwiom, otworzyli drzwi, w których stał tłumacz, ten sam, co nas prowadził.

Wszedł Dąbrowski marszałek najprzód, a tłumacz szedł obok niego; wten-

czas pasza, który z obydwóch stron był otoczony kilkudziesiąt najpiękniej i najbogaciej ubranymi Turkami, podniósł się z sofy, kiwnął głową, przyłożył rękę do serca i podał ją Dąbrowskiemu, kazawszy powiedzieć tłumaczowi, że kocha szczerze Francuzów i Polaków — potem prosił nas siedzieć; myśmy byli kolejno prezentowani, a tłumacz rangi nasze powiedział paszy; po czym przyniesiono mały taborecik, bo Turcy zwykle na sofach i na ziemi siadają, i ten podano Dąbrowskiemu marszałkowi, który, usiadłszy, miał krótką mowę, wyrażając, że wielkie dzieła i talenty paszy sprowadzają go na to miejsce dla poznania osoby jego i zrobienia mu w imieniu narodu polskiego uszanowania, dodając, że się spodziewa, iż pasza, uwiadomiony przez ambasadora francuskiego o jego tu przybyciu, zechce pozwolić mu później sekretnej audiencji; na co odpowiedział pasza, że poprzednio będąc o przybyciu naszym zawiadomiony, oczekiwał momentu, żeby mógł przez swoją grzeczność okazać, jak daleko jest przyjacielem Francuza i Polaka.

Po czym przyniesiono sorbety w maleńkich srebrnych, pozłacanych kubkach, a zaraz za tym kawę czarną w filiżankach z chińskiej porcelany i lulki zapalone; przy czym pasza przez tłumacza zapytał się o wzięciu Kościuszki i dziwił się, że król polski poddał się. Kiedy mu na to odpowiedział Dąbrowski marszałek, że wielka przemoc była, on wyrzekł z uniesieniem: „czemu tak nie zrobił, jak Karol XII, byłby u nas lepszą jeszcze znalazł protekcję, bo my umiemy szanować traktaty“.

Po krótkich jeszcze rozmowach o zwycięstwach Francji, o których widać, że pasza był doskonale zawiadomiony, kazał oświadczyć Dąbrowskiemu marszałkowi, że w jego pałacu mamy przygotowane pokoje, do których dla odpoczynku nas zaprosił, i przez tłumacza, po pożegnaniu zwyczajnym, odprowadzić kazał; tam przybywszy, zastaliśmy wszelkie wygody, we dwie godziny potem jedliśmy u stołu paszy obiad, który prawie cały był z baraniny i kapłonów, a chociaż Turcy wina, ani żadnego trunku nie piją, przecież dla nas dawano wina. Po obiedzie zwyczajnie Turcy śpią, i my też na spoczynek udaliśmy się.

Wieczorem mieliśmy satysfakcję z jednym oficerem, który był rodowitym Francuzem; ten nam różne opowiedział rzeczy o tym paszy, i kiedy mówiliśmy temu oficerowi, nazwiskiem La Port, że dziwno jest nam, iż pasza może tak

opierać się sułtanowi, daleko mocniejszemu od niego, powiedział nam, że oprócz tego, że ten pasza ma wiele rozumu i geniusz wojenny, umiał jeszcze, szczególnym sposobem, przywiązać sobie Turków, oświadczając przed zaczęciem wojny przeciwko sułtanowi w manifeście swym, który rozesłał po całym kraju tureckim, że pochodzi z linii bocznej Mahometa.

Ten odgłos takie zrobił na Turkach wrażenie, że wcale przeciwko niemu bić się potem nie chcieli i na jego stronę przechodzili.

Życie tego paszy było prawdziwie wojskowe. Nie zachowywał on azjatyckiej pompy, oprócz wtenczas, kiedy przyjmował u siebie jakie znakomite osoby. Wojsko jego tym się od tureckiego różniło, że przy szerokich rajtuzach, nosiło buciki, oraz kurtki długie, na których był pas szeroki, w którym było dwa pistolety na smyczy, zawoje zaś mieli niskie koloru czerwonego z białym. Potem pasza zaprosił nas na manewry. 3.000 konnicy, 10 batalionów piechoty i park artylerii robiły ewolucje, którymi sam pasza dowodził. Postawa i zręczność tego wojska zadziwiła nas; manewry były zupełnie podług francuskiej taktyki.

Gdyby takich było 300.000 żołnierza, możnaby obawiać się o los całej Europy.

Po skończonych manewrach zapytywał się nas pasza o opinię, oddawaliśmy sprawiedliwość jego staraniu i talentom, po czym pokazywał nam artylerię lekką, która była tak dobrze urządzona, jak francuska, oprócz tego w samym Widdyniu miał 200 armat.

(Kosmowski Stanisław, podpułkownik)

O SIŁACZACH

(1807)

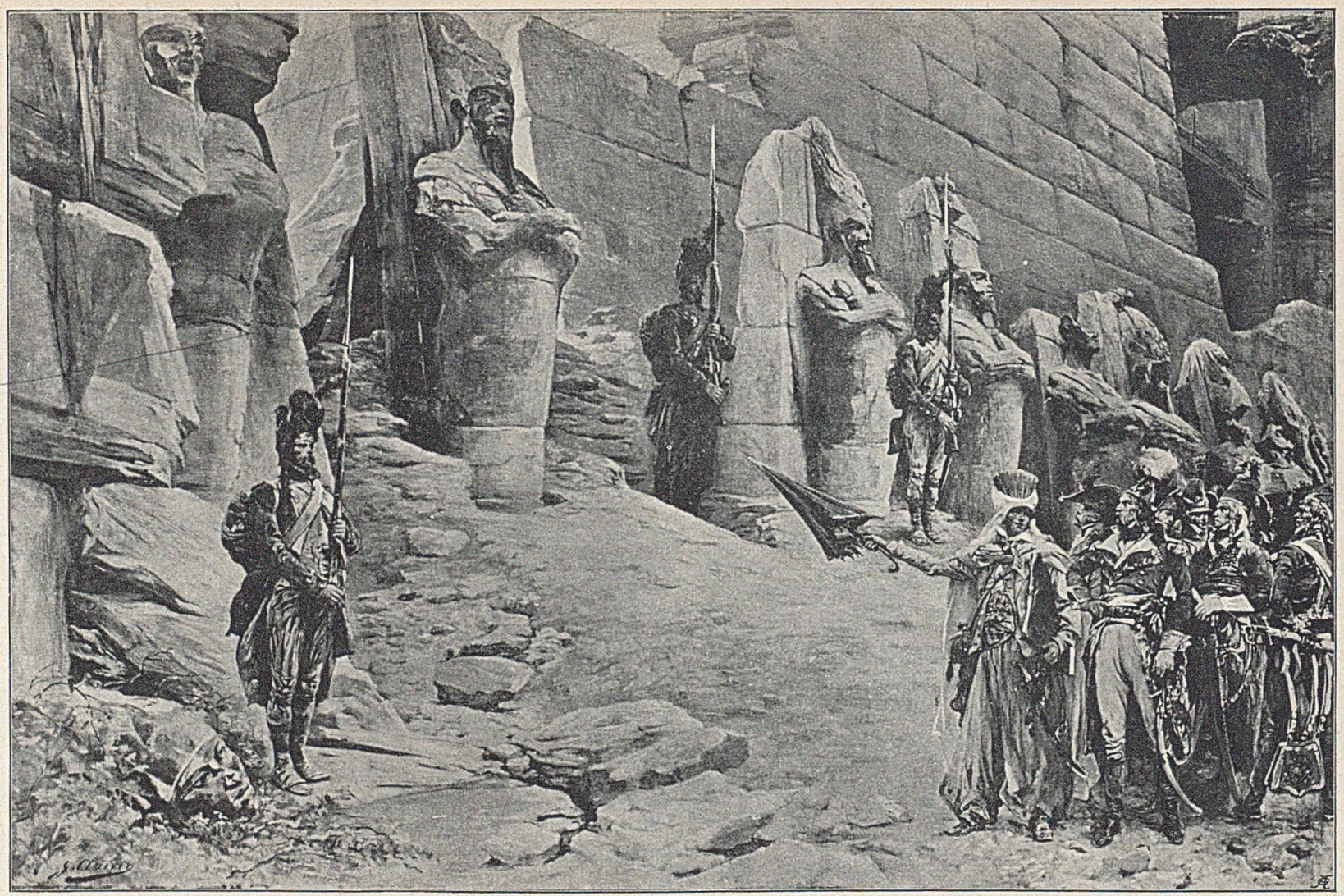

ŻOŁNIERZE FRANCUSCY W ŚWIĄTYNI KARNAKA
(według obrazu G. Clairin)

Józef Stadnicki, brat rodzony Jana hrabiego Stadnickiego, prezesa stanów galicyjskich, będąc szeregowym, a potem brygadierem w gwardii, jedną ręką podnosił zad każdego konia; a gdy się koń nie dawał kuć, to jak go ujął za ucho, obalał konia na ziemię. Te dwie czynności były u niego codzienne, nie robił tego dla chwalby, albo jakby co szczególnego, on to sobie miał za nic. Był nadzwyczajnej siły i zręczności, przy tym postać i uroda, które niezawodnie mogły stanąć obok owego husarza Krajewskiego, co to na wieczerzy imponował wodzom szwedzkim przed rozprawą kircholmską. Zdarzyło się w r. 1807, że w Frankfurcie nad Menem mieszczanin tameczny obraził szwoleżera, szkalując go jako Polaka; wskutek tego dom jego w oka mgnieniu stał się ofiarą... mieszkańcy ledwie pouciekali, a lekko-konna jazda polska potłukła i powyrzucała przez okna na ulicę wszystko... aż do pieców — (Uwaga: nie był to rabunek chciwości, było to uniesienie gniewu, za znieważenie imienia polskiego) przyszła kolej na małe dzieci w kolebkach... Brygadier Stadnicki, słysząc hałas, nadbiegł, nie dopuścił okrucieństwa, skarcił i uspokoił towarzyszów, lecz wtem nadchodzi silny patrol żołnierzy arcybiskupa księcia würzburskiego, a zastawszy tam Stadnickiego, chce go areszto-

wać... Stadnicki się tłumaczy, że nie on był sprawcą zgiełku, ale, że go owszem uśmierzył... gdy to nie pomagało — chociaż Stadnicki doskonale po niemiecku mówił — wyrwał następującym na niego żołnierzom dwa karabiny, a uchwyciwszy każdy jedną ręką za koniec lufy, tak zaczął gromić kolbami, zamiatając ulicę od muru do muru, że cały patrol liczny pędził przed sobą. Jednakże, gdy dwóch żandarmów francuskich wystąpiło, by go aresztować: „A to co innego!“ rzekł do nich: „was uznaję za moich kolegów, i słucham prawa“ i udał się z nimi najspokojniej do aresztu. Nazajutrz marszałek Kellerman, co był służył w Konfederacji Barskiej i znał nazwisko Stadnickiego, kazał go uwolnić; śmiał się bardzo z tej przygody, gdzie jeden pędził dwudziestu i przepowiedział: że to będzie dzielny oficer jazdy... Jakoż wkrótce jeszcze znacznie przed bitwą pod Somosierra przeszedł Stadnicki na oficera do sławnego pułku ułanów nadwiślańskich; tam miał sobie za przyjemną powinność przyprowadzać obce placówki za kark, obraniać i odbijać generałów, komendantów, kolegów z rąk nieprzyjaciół — jakoż postępował w awansie, został kapitanem, i byłby wyszedł niezawodnie nierównie wyżej, gdyby wojna była potrwała. Gdy po zapadłym pokoju wrócił do kraju, okryty ranami i zwątlony na zdrowiu, był jeszcze takiej siły, że był w stanie zgruchotać rękę nieproszenie mu podaną jednym ściśnieniem.

Podobnie jak Stadnicki z karabinami, postępował sobie Piotr Wasilewski z proporcami czyli lancami. Był on jako brygadier jednym z bohaterów Somosierry, cudownym sposobem ani tknięty w tej szarży — był później oficerem w pułku i kapitanem strzelców konnych gwardii Królestwa Kongresowego, i wystąpił jako podpułkownik. On kładł dwie lance na ziemi. — Lance te były z drzewa twardego, podwójnie okute od grotu aż do połowy drzewca, którego tylec był także grubo okuty. Wasilewski ujmował każdą ręką po jednej lancy za tylec, podnosił obienaraz i wywijał obiema z największą łatwością. Można sobie z tego wystawić, jakiej był siły. Postawy był wysokiej, wysmukłej, twarzy męskiej, oficer wzorowy w służbie, męstwa jak Francuzi mówią: „à toute epreuve“, to jest niezawodnego, skromności panieńskiej.

Ambroży Skarzyński, od porucznika pierwszej klasy, aż do szefa szwadronu w pułku, później generał brygady w wojsku polskim, był podobnie nadzwyczajnej siły i zręczności... między innymi miał dar rzucania proporcem, jak

Turcy rzucają dzirytem — trafiał w cel i był w stanie przeszyć tym sposobem nieprzyjaciela, czego nie widziałem na własne oczy, ale słyszałem, że tego dawał dowody nawet już będąc generałem; żyje jeszcze, i w dobrym zdrowiu. Seweryn Fredro, oficer, później szef szwadronu, był także niepospolitej zręczności i lekkości, a każdego konia przeskakiwał z największą łatwością;

Lefebvre książę Gdański
(według portretu Mirvaulte'a)

przy tym był postaci wspaniałej; mało kto, albo raczej nikt nie mógł się odważyć iść z nim w zapasy na siłę. Gdy dowodził szwadronem strzelców konnych gwardii francuskiej i polskim, przy boku króla neapolitańskiego pod Połockiem, gdzie Napoleon był się z Wilna obiecał, ale w inny kierunek się udał, oficerowie francuscy, obiadując u stołu szefa Fredry, według możności czasu i miejsca, ganili chleb żytni razowy litewski, jakiego nam obywatele

z gościnności do obozu dostarczali, i twierdzili ci oficerowie, że chleb żytni sprawia w żołądku kwasy, że pszenny jest o wiele zdrowszy, że oni wychowali się na pszennym pieczywie, — a byli to oficerowie nie z markizów i vicomtów, ale z prostych guidów Bonapartego awansowani, okazałych postaci, jak to mówią „chłop w chłopa". Znudzony Fredro tym kazaniem cudzoziemskim, odezwał się z wrodzoną sobie żywością: „No, moi panowie! kiedyście wychowani na białym chlebie pszennym, to ja wam powiadam, żem się wychował na żytnim, a jak mnie widzicie, nie jestem ułomek... więc spróbujmy się; kto z nas mocniejszy? a który chleb daje więcej siły? — a... Francuzi, znając olbrzymią siłę pułkownika i przeważną jego postać, przy której oni schodzili na miarę zwyczajną... ustąpili z uśmiechem i przyznali — bez próby — że i chleb żytni może tak dobrze, i lepiej nawet wychować, jak pszenny.

Benedykt Zielonka, pułkownik, był nadzwyczajnej siły i postawy, lecz tu wzmianka się o nim czyni z powodu, że nigdy nic nie pijał prócz wody, co zaprzecza owej miękkości i zbytkom, jakiem nam wydawca „Obrazów starodawnych" zarzuca.

Dominik książę Radziwiłł, ordynat kilku ordynacji, najmajętniejszy z Polaków, urodzony z księżniczki Turn-Taxis, a zatem panicz delikatnej postaci, tak jeździł na koniu przesadzając najszersze rowy i najwyższe płoty, i tak się rzucał na nieprzyjaciela, wyprzedzając swój pułk 8-my ułanów, że ściągnął podziwienie samego Napoleona, a nawet Murata; podobnież postępował będąc majorem gwardii, z podziwem Drezna, króla i królewskiej familii; o nim można było powiedzieć, że nie znał przeszkód.

W roku 1810 poznałem w Hiszpanii szeregowego z pułku naszego nazwiskiem Kłoczewskiego, który miał około 20 lat mniej więcej; atletycznej postaci, był tak silny, że przy pobieraniu obroku, jeden wór jęczmienia brał i zarzucał na jedno, a inny na drugie ramię — trzeba wiedzieć, że w Hiszpanii nie karmią koni owsem i sianem, ale jęczmieniem i słomą na grubą sieczkę w młóceniu mułami startą. Kiedy była budowla stajen dla jazdy w Castroxeriz, brał belki na ramię i niósł z łatwością; zdarzyło się, że go mamelucy wyzwali na różne próby siły; on wyszedł na belkę wysoko umieszczoną, i spuścił im linę, kazał im czepiać się tej liny, a że on będzie ich podnosił; mameluków przeciwnie chwyciło się jedenastu liny, i usiłowali go

z tamtego miejsca ściągnąć, co gdy im się nie udało, wezwał ich, żeby się teraz mocno liny trzymali, i wszystkich jedenastu podniósł. Ten Herkules miał te wady na wojskowego, że dużo jadł i musiano mu dostarczać podwójne racje mięsa i chleba, a był tak ciężki, że nie można było dobrać pod niego konia, każdego odpsuł, jakoż — o ile pamiętam — w jakiejś potyczce przewrócił się pod nim koń i Hiszpany zakłuły tego mocarza.

(Józef Załuski, generał)

PIĄTY PUŁK W ROKU 1811

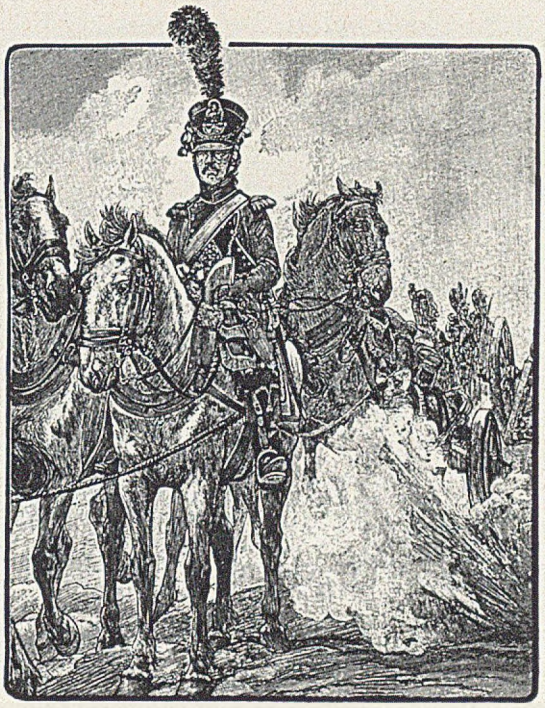

W późnej jesieni r. 1811 dostał nasz pułk rozkaz udania się do Warszawy. Nastąpiło to szczególniej z powodu, że pułk nasz nadzwyczajnie regularny w służbie, miał przy tym mundur strojny, a spodziewany zjazd króla saskiego, a księcia warszawskiego, na sejm odbywać się mający, wymagał porządnego wojska. W marszu tym nastąpił wypadek w pułku, który mię na czas niejaki z pułkownikiem Kurnatowskim poróżnił. Oficer ze służby saskiej pan G. przez protekcję generałowej Fiszerowej, której był krewnym, przysłanym był do pułku w stopniu porucznika, co już niechęć ku niemu wzbudziło, lecz im bardziej dał się poznać, tym mocniej ta niechęć ku niemu rosła; i miał zwyczaje niegodne oficera, gdzie mógł tylko co zarwać u kogo z cywilnych, tego się bezczelnie dopuszczał. Już nie pamiętam powodu, lecz z magazynierem jednym tak mocno się pokłócił, że aż do razów ręcznych przyszło, a że tego pojedynkiem nie zamazał, zdecydował korpus oficerów, że z nim służby robić nie można. Trwał ten gwar w pułku parę miesięcy; nie chcieli oficerowie lekce występować, lecz on chciał mieć dowody do skargi;

ja się w to bynajmniej nie wdawałem, bo oficerowie pułku byli po największej części Poznańczyki i Kujawiaki; ja zaś, jako z Krakowskiego, nieco obcy w pułku byłem; jednakże gdy korpus oficerów już wyraźną determinację wyprowadzenia rzeczy na jaw przedsięwziął, zażądał, abym ja, jako porucznik, z dodanym podporucznikiem, jako delegowany pułku oświadczył pułkownikowi służbowo tę stanowczą decyzję korpusu oficerów. Na placu więc Saskim, po odbytej paradzie i zaciągu warty, przystąpiliśmy do pułkownika Kurnatowskiego i służbowo tę wolę pułku oświadczyliśmy. Przyjął to z dużą nieprzyjemnością, jednakże bez gniewu, oświadczając, że się nad tym zastanowi. Że pan G. podobno był także krewnym pułkownika, a przynajmniej w dobrej żył z nim zażyłości, bo do jednej z pierwszych rodzin należał, chciał pułkownik pana G. wyratować i nazajutrz do kwatery jego zostałem powołany. Tam chciał mnie koniecznie nakłonić, abym tę rzecz zatarł, lecz oświadczyłem, że to nie w mojej mocy, bo jedynie wolą jednomyślności oficerów wyznaczony do tego oświadczenia, tej nieprzyjemnej podjąłem się misji, lecz że zarazem dzielę ich przekonanie, iż czyn pana G. mundur nasz plami; przypominał mi, że mnie świeżo, pomimo kolei, awansował, lecz i to nie pomogło, owszem posłużyło mi za dowód, że żaden interes osobisty mną nie powoduje, gdy jeden i ten sam stopień co pan G. posiadam.

Pan G. chciał niejako wybiegiem wyjść z tego położenia i wyzwał oficera pana Edwarda Potworowskiego, który, jako świadek czynu oburzającego, o nim korpus oficerów był uwiadomił. Potworowski mnie za sekundanta wybrał, poszedłem więc do pana G. i oświadczyłem mu, że oficerowie zdecydowali, iż pan Potworowski bić się z nim nie może, dopóki pułku nie opuści. Pan G. obruszył się na moje oświadczenie i przypominam sobie nawet, że się porwał z łóżka i za pałasz uchwycił, lecz z zimną krwią odkryłem płaszcz kolisty i pokazałem mu, że i ja mam pałasz przy boku i że napaść odepchnąć potrafię, lecz że tego za pojedynek nikt uważać nie będzie. Nie wiem, jakby się rzecz była skończyła, gdyby nie silne protekcje, jakie miał pan G. Te zrobiły, że cała ta sprawa, przedstawiona została naturalnie z jak najlepszej strony dla pana G. księciu Poniatowskiemu i książę kazał nam oświadczyć, że wolą jego jest, aby pan Potworowski dał satysfakcję panu G., a ten tym sposobem w służbie pozostał. Głęboki szacunek i miłość, jakąśmy mieli dla na-

Bitwa pod Austerlitz
(według obrazu Gérarda)

szego naczelnego wodza, sprawiły, żeśmy się bez najmniejszego oporu do decyzji jego zastosowali. Bił się pan G. z Potworowskim, i ten ostatni został lekko ranny. Żeby już o tym panu G. nie wspominać i zarazem przekonać, jak słuszne było nasze żądanie wydalenia go z pułku, co zarazem i sprawiedliwość pułkownika Kurnatowskiego wykryje, przerwę tok opisu życia mego, by karierę pana G. opisać. Na początku 1812 r., gdyśmy na prawy brzeg Wisły całą jazdą przeszli, był brak furażu i żywności wielki. Kraj wyniszczony ciągłymi datkami, nie był w stanie nie tylko wojska opłacić, ale nawet i wyżywić. Książę Poniatowski wydał rozkaz arbitralny, upoważniający pułkowników do wysłania w okrąg stanowisk swoich oficerów z oddziałami wojska, którzy mieli prawo wszystko to, co do żywności lub furażu służyć mogło, zabierać. Pan G. między innymi oficerami w okolicach Mińska, gdzie stał pułk, podobną misję otrzymał, a zajechawszy do bogatego młynarza, kilkadziesiąt korcy kaszy jaglanej wziął mu sposobem rekwizycyjnym. A że produkt ten nadzwyczajnie drogo sprzedawał się w Warszawie, młynarz 80 dukatów, sposobem łapowego dał panu G., aby mu kaszę zostawił, co ten przyjął, lecz dodawszy drugie łajdactwo, po odmaszerowaniu, posłał oficera z cztere-

ma żołnierzami, aby tę kaszę zabrać. Młynarz oczywiście skargę do pułkownika podał i ten we 24-ch godzinach pana G. z pułku wyprawił. Przy pierwszym spotkaniu się ze mną mówi Kurnatowski: „Patrzajno, ktoby się był po G. tego spodziewał“, odpowiedziałem z westchnieniem, że może widzieć, żeśmy wszyscy w pułku to przewidywali. Widocznie była niemiłą Kurnatowskiemu ta moja odpowiedź, jednakże czyn G. tak mu utkwił w pamięci, że 1814 r. po abdykacji Napoleona, pan G. (który się był przy jakimś sztabie generała francuskiego zawiesił, przy nim kampanię 1812 r. odbył, i stopnia szefa szwadronu się dochrapał, przeniósłszy się do sztabu generała Wincentego Krasińskiego, który komendę Polaków był już z woli cesarza Aleksandra objął), gdy razu jednego do Kurnatowskiego, wówczas generała brygady, z rozkazem generała W. Krasińskiego przybył, napisał Kurnatowski służbowo, że imieniem Polaków prosi, aby pan G. nigdy z rozkazami nie przyjeżdżał, bo te będą zmuszeni za niebyłe uważać. Co oczywiście jego karierę wojskową zakończyło. W czasie bytności naszej w Warszawie, pomimo służby, jakąśmy odbywali przy królu saskim, organizacja pułku szybko postępowała, t. j. że zamiast sześciu kompanij (półszwadrony) zostało ich osiem utworzonych, każda po 120 koni. Wtedy nastąpiła wielka zmiana w dowódcach szwadronów i kompanij. Pomimo niedawnego żalu prywatnego, jaki Kurnatowski z powodu pana G. miał do mnie, przeznaczył mnie, chociaż tylko porucznika, na dowódcę wyborczej kompanii, t. j. grenadierów pułku, bo jazda wtedy miała grenadierów tak jak piechota; lecz przez zbytnią skromność odrzuciłem tę tak podchlebną ofiarę i prosiłem, aby mnie przy dowództwie kompanii 6-tej, którą już byłem sobie uorganizował, zostawiono. Była to skromność prawdziwie przesadzona, bo kompanie 5-ta i 6-ta były sformowane z ludzi, których inne kompanie z liczby swoich wysunęły; kto więc miał pijaka, złodzieja, niechluja lub rekruta, ten się go pozbył. Kurnatowski mocno na mnie nalegał, abym grenadierów wziął w komendę i, po długich oporach moich przysłał do mnie kapitana adiutanta, majora Stanisława Jezierskiego, aby raz jeszcze do przyjęcia komendy skłonić mię. Poczciwy Jezierski sumiennie polecenia dopełnił; wszystko, co mógł przytoczył, aby mię przekonać, nawet argument, że będąc u grenadierów, mniej na cel kul nieprzyjacielskich będę wystawiony, mając bermycę tak jak moi żołnierze, lecz wszystko było na pró-

żno. Im bardziej widziałem trudność utrzymania porządku w kompanii, którą dowodziłem, tym mocniejsze było moje przekonanie, że w ręku innego, ta kompania pójdzie w poniewierkę. Gdy już Jezierski widział, że stanowczo komendy tamtej kompanii nie przyjmę, dopiero wtenczas zapytał mię, czy nie będę miał za złe, jeżeli on to dowództwo obejmie i z największą ra-

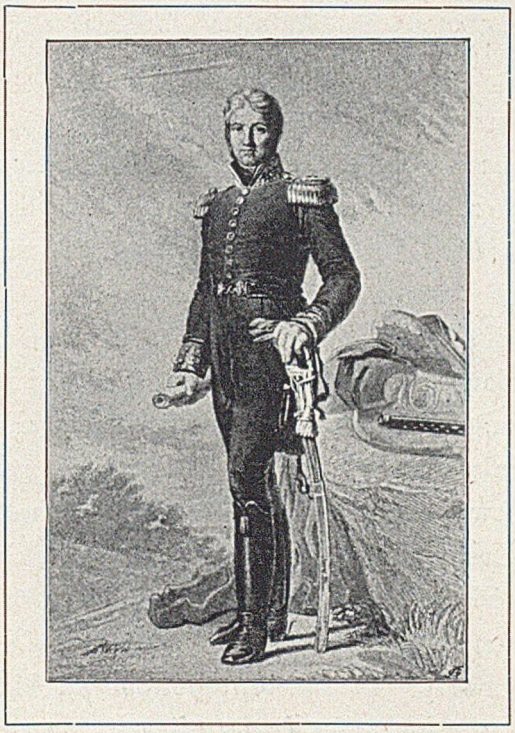

Jan Moreau
(według rysunku Girardeta)

dością mię uściskał, gdym mu powiedział, że to najchętniej widzieć będę. Że miłe są wspomnienia młodości, wyliczę tu dowódców niektórych szwadronów i kompanij: grenadierami dowodził kapitan Jezierski; kompanią 2-gą kapitan Sosenkowski; 3-cią kapitan Jagmin; 4-tą, — nie pamiętam; 5-tą porucznik Ignacy Mieroszewski, kapitan; 6-tą ja; 7-mą kapitan Wyderowski; 8-mą kapitan Augustyn Brzeżański (później pułkownik Poznańczyków t. j. 1831 r.). Szwadronem 1-szym dowodził szef szwadronu Siemiątkowski (później generarał); 2-gim kapitan Kornecki; 3-cim kapitan Jaskulski; 4-tym, ile mi się

zdaje, szef szwadronu Konarski; grosmajorem pułku był Fredro (później generał), pułkownikiem Kurnatowski.

Służba w Warszawie była dość męcząca, bo patrole nocne musiały co noc wszystkie rogatki miasta i główne odwachy zwiedzać, co przy mało brukowanej naówczas Warszawie na przedmieściach, a błotnistej zimie było uciążliwym, tym bardziej, że tę służbę trzeba było zmieniać na służbę w pałacu, gdzie oczywiście czystość całego rynsztunku musiała być wielka. Pułk nasz odbywał służbę jakoby gwardii. Szedł co dzień na służbę; kapitan jeden, porucznik lub podporucznik z 30-tu grenadierami, trzymającymi odwach w przedpokoju królewskim na 1-szym piętrze, oprócz tego porucznik lub podporucznik w 30 koni dla tworzenia eskorty powozów króla, który codziennie na spacer wyjeżdżał. Oprócz tej służby jazdy zaciągał zawsze na służbę batalion piechoty, który warty trzymał na dole w pałacu.

Oficerowie tak jazdy jak piechoty jadali zawsze u stołu marszałkowskiego, gdzie i adiutanci królewscy, którymi wtedy byli Pakosz i Paszkowski, pułkownicy i, o ile pamiętam, damy honorowe siadały. Oznaka służby oficerów jazdy, pieszo służbę odbywających, była czarna laska z białą gałką; tę kapitan oddawał do rąk kapitanowi, schodzący zaś z warty komendant 30 grenadierów pałasza z pochwy nie dobywał, lecz trzymając laskę w ręku, broń schodzącej warcie zaprezentować kazał; zaciągający zaś na wartę z pałaszem dobytym wchodził do salonu przedpokojowego, a uszykowawszy się naprzeciw schodzącej warty, po komendzie prezentuj broń, postępował kilka kroków naprzód dla spotkania się ze schodzącym ze służby oficerem, tam dopiero pałasz chował do pochwy, laskę jako znak służby do rąk odbierał i cichym głosem zdanie służby, t. j. obowiązki, jakie były do wykonania, odbierał. Słowa te zdawania służby były zwykle następujące: „Nie pij białego wina, tylko czerwone, bo lepsze, bierz dużo na talerze, abyś wszystkiego nie zjadł, służba dworska to lubi, kieliszek pełny, jak będziesz wstawał od stołu, zostawiaj, a wtedy z ochotą liberia służyć ci będzie“. Kto tę aryngę pierwszy zaprowadził, nie wiem, ale się szybko upowszechniła.

(Henryk Dembiński, generał)

OSIEMNASTY BRUMAIRE'A

(9 LISTOPAD 1799 R.)

OSIEMNASTY BRUMMAIRE'A (9 LISTOPAD 1799)
(według obrazu Fr. Bouchota)

Źle szły rzeczy we Włoszech, gdzie się koalicja zgromadziła. Dąbrowski widział niknące legie, lecz ani energii nie stracił, ani nadziei ich odbudowania. W Marsylii, uformowawszy „depo“, zgromadził co pozostało i co zgromadzić się dało i odnowił je znakomicie, bo miast sześciu tysięcy, dziewięć na nowo sformował.

Ważna epoka, bo zbliżał się powrót Bonapartego. Chociaż zostawił w Egipcie Klebera i Desaixa, sam wystarczał na odrodzenie pomyślności. Co do nas, mając o wszystko do traktowania, co do zaczęcia legii było nieodbicie potrzebne, wysławszy po zakładach, gdzie niewolników wojennych mieszczono, by między nimi wyszukiwać rodaków, sami bawiliśmy w Paryżu, przypatrując się pilnie miejscowym wypadkom.

Przybycie generała Berthier uprzedził o niewiele powrót Bonapartego. Ci, co widzieli Berthiera u pani Visconti, z którą miał bliższe stosunki, zapewniali, że wieść o powrocie Bonapartego nie jest czczą pogłoską tylko.

Na koniec Bonaparte jest już w Paryżu. Biegną najcelniejsi generałowie, co później nosili buławy marszałkowskie, na walną z nim naradę. Wielki militarny obiad przez radę pięciuset ma być dany. Na niego Kościuszkę i Kniaziewicza wezwano. Tymczasem Bonaparte Dyrektoriat odwiedza. Jedzie potem na zgromadzenie rady pięciuset, a stamtąd prosto do Kościuszki wieźć się każe.

Była to godzina, gdyśmy właśnie u niego byli. Wszedł bohater do Naczelnika naszego, a pierwszym jego słowem było: — Chciałem usilnie poznać bo-

hatera północy. — Kościuszko odpowiedział mu skromnie, że jest szczęśliwy z widzenia zwycięzcy Europy, bohatera Wschodu.

Niedługo zapewne Bonaparte bawić miał tu potrzebę, a powiódłszy po nas oczyma, witał Kniaziewicza jako znajomego sobie. Stąd dopiero do rady starszych i do ministra wojny pojechał.

Zwyczajem znanym w Paryżu, przekupki od składów żywności, korporacją całą wizytować zwykłe, przyszły i do Bonapartego. Naczelnicy frakcji powszechnie je przyjmowali z uprzejmością, bo one w tłumnych zaburzeniach Paryża wielką grały rolę; tu pierwszy raz zapewne zawiedzione zostały. Bonaparte odparł je niespodziewanie, mówiąc: — Wyście witały z poklaskami Robespierra i przed Burbonami równie ochotnie płaszczyć się będziecie.

Krótko potem, Bonaparte mianowany został komendantem Paryża; skarb był wyniszczony, wojsko w upadku. On, co znał nadużycia w nieporządku popełniane i bogactwo krajowe w ręku administratorów zagrzęzłe, ścisłe ich dostatków uczynił u siebie obliczenie i wyznaczył proporcję, wedle której na ratunek kraju udzielić się byli powinni. Zapowiedział, że zażąda obwołania niebezpieczeństwa ojczyzny, które doszło prawie do dyktatury, a ta do majątku i życia każdego. Tą drogą wycisnął przecie ogromne sumy, a na uzbrojenie nieodbicie potrzebne i tymi zaraz rozporządził dla armii, co pod Marengo zwyciężyć miała.

Tymczasem, posiadłszy radę starszych, miał Bonaparte rozporządzenie od niej, aby rada pięciuset, od której doznawał oporu, do Saint-Cloud przeniosła posiedzenia swoje.

Wigilią przeniesienia tego, które się tajemnicą jeszcze być zdawało, kazano garnizonowi stanąć pod bronią i każdemu wojskowemu, co się znajdował w Paryżu, być tam przytomnym. Garnizon nie był wielki, ale oficerów liczba znaczna bardzo. Większej części tych generałów, których imiona świetnie błyszczały, zdawało się, że Jourdan był frakcji przeciwnej dowódcą. Na tę myśl naprowadzony zostałem z tego, co nam, jako dowódca w Turynie, później mówił.

Garnizon pod bronią. Gdy cały Paryż był zwykłym domowym swym codziennym zajęciom oddany, samo tylko wojsko w ogrodzie Tuileries żadnej nie zapowiadało niespokojności.

Patrzyliśmy na zwycięzcę, co się spokojnie przed szeregami przechodził, nie przeglądając jego przyszłości. Pierwszy Sieyès, jeden z dyrektorów, jak prywatny człowiek przechadzał się z Bonapartem, naradzając się z godzinę może.

Dopiero adiutant wielkim głosem zawołał: — Barras w drodze do Belgii aresztowany na wyjeździe z Paryża, jak z nim dalej postąpić należy?! — Zdało się, iż rzecz poszła już w układy. — Puścić! — odpowiedział Bonaparte, tak, żeśmy to nawet słyszeć mogli.

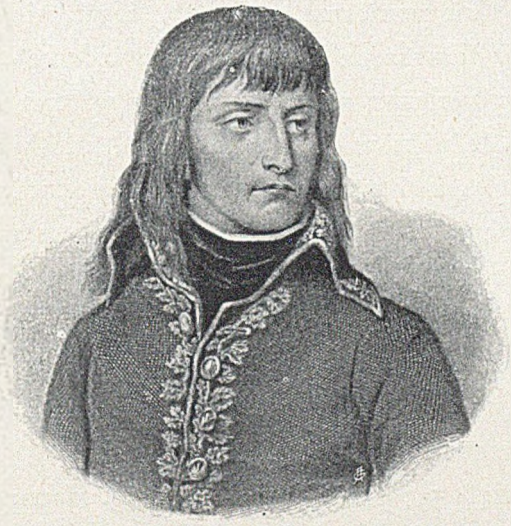

Generał Bonaparte
(według portretu Guérina)

Potem rozkaz dzienny, że armia ma natychmiast do Saint-Cloud maszerować i że obecni oficerowie są wezwani.

Więceśmy ruszyli, pytając się wzajemnie, coby to znaczyć miało; gazeta wieczorna doniosła każdemu, że się tam władze prawodawcze na dzień następny przenoszą.

Nazajutrz, z rana, pałac Saint-Cloud był otoczony obozem; sala rady pięciuset miała i nas spokojnymi widzami. Lucjan Bonaparte był naówczas jej prezesem.

Przed dyskusją nawet już wrzawa i niepokój panowały między członkami.

Bonaparte był na radzie starszych, gdzie rozwiązanie rady pięciuset i nową konstytucję konsularną układano. Po jej ukończeniu, Bonaparte z papierem w ręku szedł już jako pierwszy konsul do sali. Wrzawa tymczasem w sali aż do rozruchu dochodziła. Lucjan, dla uspokojenia, raz po raz, wedle formy, nakładał kapelusz, bo gdy prezes się nakrył, podług prawa, nikt ani mówić ani się ruszyć z miejsca legalnie nie mógł.

Nasze oczy ku drzwiom zwrócone, oczekiwały sceny.

Wszedł Bonaparte. Lecą ku niemu z wściekłością deputowani i Arena z puginałem w ręku.

I tu się biedny Polak zamieszał. Bawił w Paryżu niejaki pan Szalcer, Polak, utrzymywany w Warszawie hojnością niewiadomej nam osoby. On tu właśnie najbliżej się znalazł i piersią swoją Napoleona zasłonił.

Bonaparte wchodził, pieniąc się na ten napad, nie był krwi zimnej wcale, ale bębny już do szturmu biły i Murat na czele grenadierów z bagnetami do sali leciał. Był to napad legalny; prezes bowiem, nakrywszy głowę, widząc izbę w takim rozruchu, zszedł dobrowolnie z krzesła do wchodzącej warty i z nią się połączył.

Deputowani łamali okna, wychodzące na otaczający izbę ogród. Każdy z nich swój płaszcz, ubranie obrzędowe i piórami ozdobioną czapkę ciskał, a sam szukał schronienia.

Wojsko pod bronią stojące nie ścigało nikogo. Rozrzucono tysiącami biuletyn, opowiadający o zmianie rządu przez radę starszych ogłoszoną.

W Paryżu spokojnie to przyjęto. A nas powracających pytano tylko o część dramatyczną tej politycznej sceny. O poświęceniu się Szalcera żadne opisanie urzędowe nie wspomniało, choć o puginałach pisano wiele.

(Drzewiecki Józef, oficer Legii Włoskiej)

ZA TREMONA

(1799)

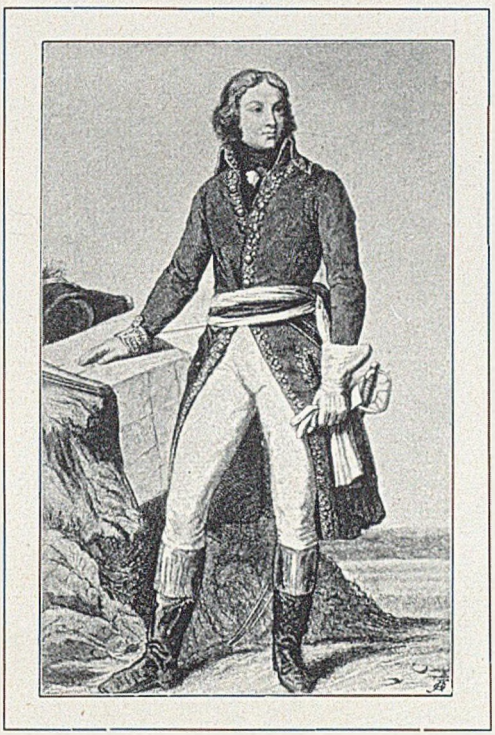

Łazarz Hoche
(według portretu Schöffera)

W sam dzień Nowego Roku 1799 zdobył Kniaziewicz Traettę, a idąc nieustannie w przedniej straży, zagarnął w Mandragone stadninę królewską. Zdobycz ta, w połączeniu z końmi, pozostałymi po kawalerii w Gaecie, spowodowała Eliasza Tremona do podniesienia od dawna już życzonego projektu sformowania legionu kawalerii. Myśl ta trafiła do przekonania Dąbrowskiego oraz Kniaziewicza, którzy, za zgodą Championeta, przystąpili niezwłocznie do formacji pułku jazdy. Broni tudzież rzędów na konie dostarczyły magazyny w Gaecie, a z nadliczbowych oficerów oraz z legionistów, którzy dawniej służyli w kawalerii, utworzono pierwsze kadry pułkowe. Szefami szwadronu mianowano Eliasza Tremona i Biernackiego, w liczbie zaś kapitanów znalazł się głośny Berek Joselewicz, dzielny żołnierz, który poległ jako szef szwadronu w kampanii austriackiej pod Kockiem. Dowództwo świeżo utworzonego pułku jazdy, po dopełnieniu szeregów do cyfry tysiąca dwustu żołnierzy, poruczono generałowi Karwowskiemu.

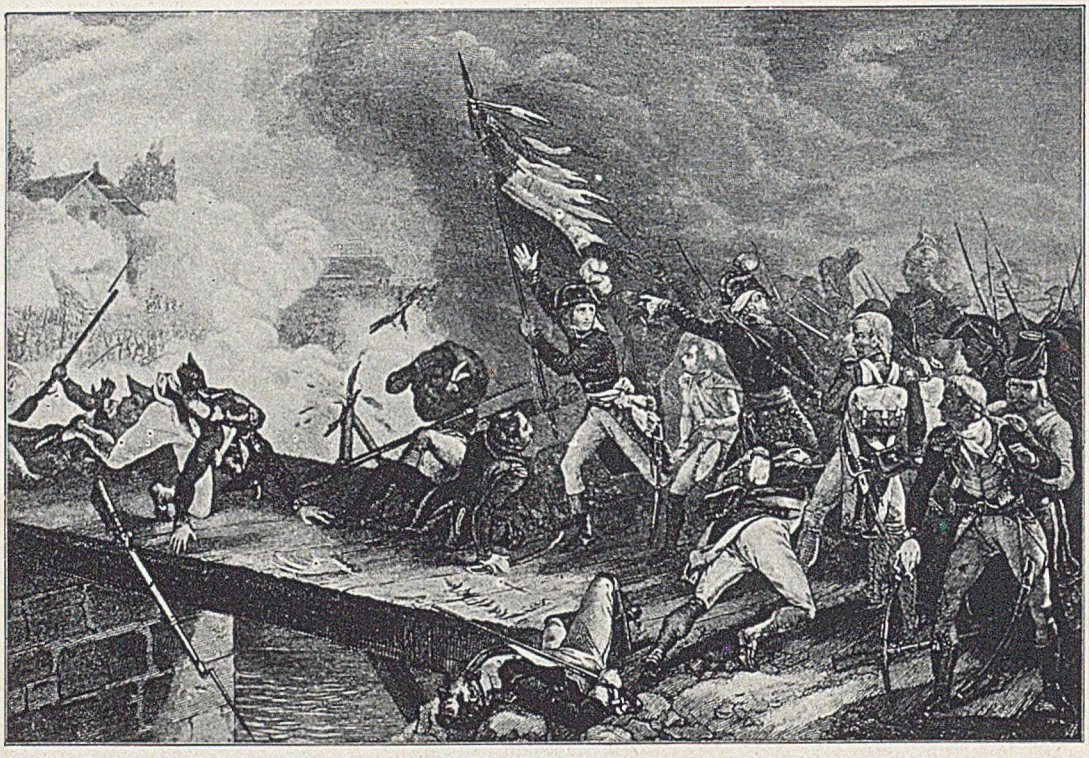

Most Arcôle.
(według obrazu H. Verneta)

Formacja jazdy nie przeszkadzała bynajmniej legionowi w uczestniczeniu w blokadzie Kapuy, a jakkolwiek dwór neapolitański umknął na angielskich okrętach do Palermo, zdając stolicę swą na los Opatrzności, to jednak Championet przyjął zaofiarowany mu przez generała angielskiego Macka w dniu 11 stycznia rozejm, gdyż na tyłach jego armii poczęło znów szerzyć się powstanie górali, posiłkowane przez maruderów i rozbitków armii neapolitańskiej. Powstańcy niszczyli mosty, przecinali dowóz żywności i prowadzili wojnę podjazdową przeciw Francuzom z powodzeniem, mając w swych szeregach doświadczonych bandytów i przemytników, obeznanych jak najdokładniej z miejscowością. Natomiast w otwartym polu nie zdołali stawić czoła wojskom francuskim, które kolejno zajmowały Sezzę, Itri, Castiglione, Cascano i Castelforte, wypierając powstańców z tych miejscowości.

Właśnie legion stał w Sezzi, gdy nadeszła wiadomość, iż powstańcy opano-

wali Traettę, gdzie niedawno nasi stali załogą i przychylnego doznali przyjęcia. Wówczas Tremo, zaufawszy zbytnio legalności włoskiej, wybrał się w kilkanaście koni do tego miasta, gdyż sądził, że perswazją zdoła mieszkańców nakłonić do złożenia broni. Ufność swą przypłacił jednak męczeńską śmiercią. Udając bowiem chęć poddania, zwabili go powstańcy między domy miasta, gdzie pochwyconego znienacka upiekli żywcem na wolnym ogniu, zawiesiwszy go na sznurze nad płonącym stosem szuwaru. Zginął również od kuli towarzyszący mu porucznik Vareli, a z dwudziestu legionistów sześciu tylko zdołało się przebić przez tłum buntowników, by przynieść swoim wieść hiobową o zgonie jednego z najgorętszych pomocników Dąbrowskiego w dziele tworzenia legionów. Zginął waleczny Tremo w dniu 9-go stycznia 1799 roku. Dopiero w dwa miesiące później dosięgła buntowników zasłużona kara. W drugiej połowie marca dwa pułki piechoty francuskiej wraz z pierwszym batalionem legionu podstąpiły pod Traettę. Mieszkańcy chcieli się zdać na łaskę i niełaskę, ale komendant wyprawy, generał Vactin, trzymając się ściśle otrzymanych rozkazów, zdobył miasto szturmem i w pień wyciął ludność wraz z buntownikami. Na gruzach zburzonych domostw umieszczono z jego rozkazu napis: „Tu była Traetta. Zbuntowała się przeciw wojsku francuskiemu i nie ma jej".

(Według opracowania Stanisława Pepłowskiego)

OBRONA GDAŃSKA

(1813)

BONAPARTE W TULONIE
(według obrazu A. Le Dru)

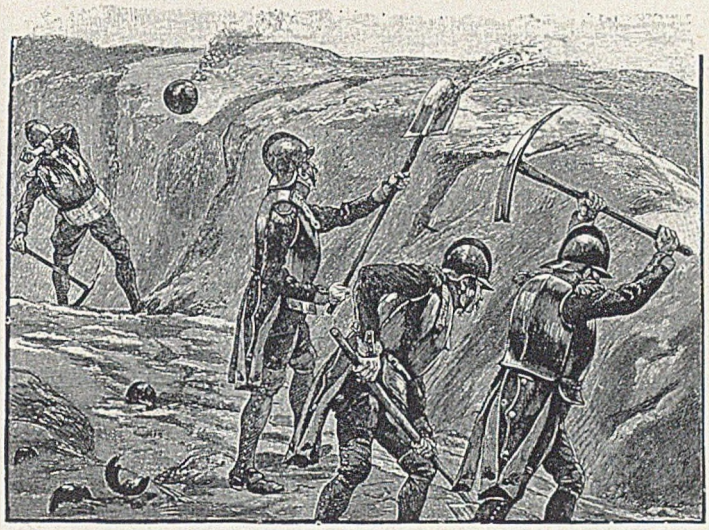

Napoleon, uderzony pozycją Gdańska, przez naturę samą wzmocnioną, oblaną rzekami Wisłą, Radaun i Motlau, opasaną górami obronnymi, uznał potrzebę wznieść to miejsce do pierwszego rzędu fortec i nakazał był dzieła, których wykonanie potrzebowało większego czasu, a które zaledwie rozpoczęte były.

Garnizon złożony był z tłumu żołnierzy różnych wojsk i broni, którzy, jako niedobitki wielkiej armii, tamże się schronili. Było ich, jak się rzekło, 38.000 Francuzów, Niemców, Polaków, Włochów, Hiszpanów i innych, lecz ledwo 10.000 zdatnych do boju. Wszystkie rowy, fosy zasypane śniegiem, a wylewy rzek pokryte lodem na stóp kilka głębokim, który koniecznie ruszyć trzeba było, żeby ochronić twierdzę od pierwszego napadu. Roboty te przy nieustających mrozach, 28 stopni przenoszących, były na wszelki opis mozolne i prawie niepodobne. Musiano użyć sił nadzwyczajnych, brać się do sposobów różnych, rozpalania ogniów, utrzymywania ustawicznej cyrkulacji wody, lecz najbardziej energii wodza samego, generała Rappa, trzeba było, żeby przezwyciężyć tak niezwykłe trudności.

Lubo nieprzyjaciel kroków oblężenia jeszcze był nie rozpoczął, większy wróg, bo choroby epidemiczne, wskutku tylu trudów i niewygód, nie tylko pomiędzy garnizonem, ale nawet i pomiędzy mieszkańcami, okropne wyrzą-

dzały zniszczenia. Pomimo starań najusilniejszych gubernatora, nie można było zaradzić temu nieszczęściu, gdyż i lekarstwa i świeże pożywienie z największą przychodziły trudnością.

Wkrótce też nastąpiła odwilż i nowe przygody. Nagle wezbrane rzeki niesłychany wyrządziły wylew. Wszystkie bardziej oddalone twierdze i dzieła, zalane i po części zniszczone zostały.

Wojska tymczasem nieprzyjacielskie nie umiały lub nie śmiały korzystać z naszego położenia i starały się bardziej intrygami podburzać wojska cudzoziemskie, składające garnizon. Robili wprawdzie przygotowania do szturmu, przysposabiali drabiny i nimi się odgrażali.

Generał Rapp przedsięwziął silnie nań odpowiedzieć i sam zacząć kroki nieprzyjacielskie. Dnia 29 stycznia zatem gen. Grandjean ze czterema batalionami i dwoma działami artylerii lekkiej, polskiej, wyruszył ze Stries, i rozproszył otaczających to miejsce nieprzyjaciół; posunął się potem ku Nehrung i Bohusach, gdzie były świeże wojska nieprzyjacielskie zgromadzone.

Generał Detrées, dowodzący przednią strażą, wraz z pułkownikiem Heringiem zapuścił się nieco gwałtownie za nieprzyjacielem, w przemagającej sile ustawionym, i o mało otoczonym nie został; lecz generał Grandjean, ujrzawszy jego położenie, z 8-ma batalionami 5-go, 10-go i 11-go pułku piechoty polskiej i 4-ma działami, wyprowadził go z niebezpieczeństwa i rozproszył nieprzyjaciół. Lecz w tejże samej chwili, oddział Neapolitańczyków, zostawiony w Langfuhr, obskoczony został przez chmurę kozaków, popartych liczną piechotą. Niechybnie by poddać się musiał, gdyby go była odwaga podpułkownika Szembeka, na czele batalionu polskiego, z niebezpieczeństwa nie wyratowała.

Takowe utarczki zawsze ze stratą oblęgających kończące się, odjęły im ochotę ich ponawiania.

Lecz tymczasem choroby, niewygody, brak zdrowej żywności umniejszały siły oblężonych. Korzystając z tego położenia, nieprzyjaciel 5 marca ze świtem, ze znaczną siłą napadł na przednie straże. Pod Langfuhr dwa bataliony francuskie rozproszyły kolumny daleko mocniejsze i nawet trzy działa im zabrały.

Pod Altschotland mniej dobrze się powiodło generałowi Franceschi. Nie-

przyjaciel, po trzykrotnym ataku, opanował Stolzenberg, i już mieli brać flank kolumny naszych, gdy wtem generał Detrées i pułkownik Degenerro śmiałym atakiem przymusili nieprzyjaciela do odwrotu.

Wtem generał Bachelu z 4 batalionami i artylerią konną polską, pod dowództwem kapitana Władysława Ostrowskiego, postępuje na wzgórza Schid-

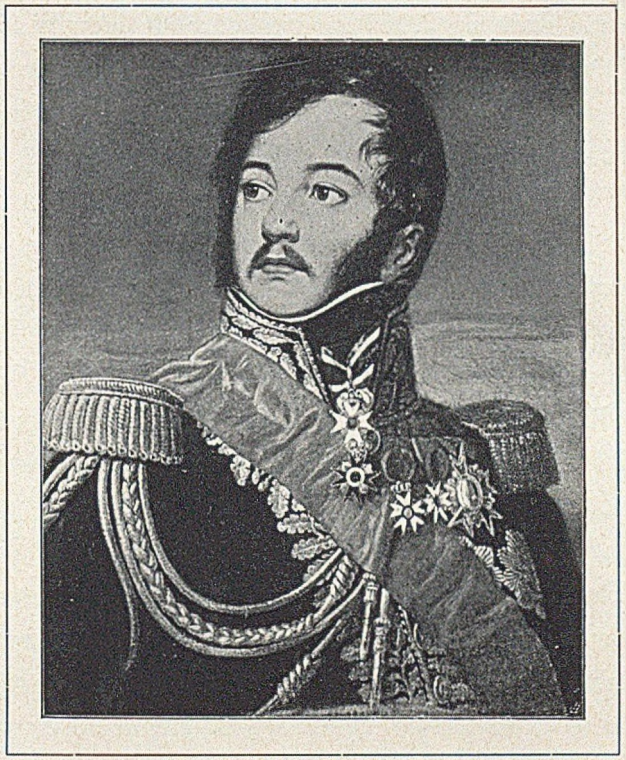

Generał Rapp
(według portretu Cibot'a)

litz, napada z boku na kolumny nieprzyjacielskie, łamie je i przymusza do schronienia się pomiędzy domostwa, lecz i stamtąd wyruszone ze stratą jednej armaty zdemontowanej, i przez sierżanta artylerii konnej polskiej, Szaszkiewicza, uprowadzonej, cofają się. Już była godzina trzecia z południa, a sprzymierzone wojska jeszcze opanowywały Schottland i Ochrę. Generał Rapp, nie mogąc ich z frontu atakować, przedsięwziął wziąć im tył, fałszywym napadem. Jakoż generał Bachelu z 5 batalionami polskimi, ze 150 kon-

nicy i baterią polską Wł. Ostrowskiego uskutecznił ten manewr jak najpomyślniej.

Tenże kapitan Ostrowski, na pół strzału armatniego posunąwszy swe działa, postępujące kolumny piechoty przymusił do odwrotu. Uciekający do miasta nieprzyjaciel na próżno w nim szukał schronienia. Walka przemogła na stronę naszą. Wszystkie dawne pozycje zdobyte na nowo zostały. Nieprzyjaciel stracił w tym dniu do 2.000 zabitych, 1.200 niewolników i jedno działo. Oblężeni mieli do 600 ludzi zabitych i rannych, pomiędzy którymi generał Devilliers, pułkownik Eglofstein. Dzień ten był jednym z najchlubniejszych z całego oblężenia.

Pomimo tych korzyści, spostrzegł generał Rapp, ile potrzeba wymagała użyć nadal środków ostrożności, dotkliwych dla mieszkańców. I tak klasztor kapucynów, który nieprzyjacielowi ułatwił przystęp do Bischofsbergu musiał być zniesiony; podobnież wiele domów w Schottland, którego zdobycie tylu ludzi kosztowało. Choroby tymczasem nie ustawały, 6.000 ludzi padło ich ofiarą, a 18.000 leżało po szpitalach; między pierwszymi był generał francuski. Żywności brakować zaczęło, nie było ani bydła, ani nawet słomy dla posłania chorym.

Wycieczka dla znalezienia tych niezbędnych potrzeb była jedynym środkiem. Generał Rapp przedsięwziął jej tentować, biorąc za cel Quadendorf, który miał obfitować we wszystko. Generał zatem Devilliers wyprawiony został, żeby zająć wzgórza Wonneberg i Pitzkendorf, mając prawe skrzydło oparte o Ziganenberg, a lewe poparte brygadą generała Husson. W czasie gdy nieprzyjaciel odpowiadał na ten atak, generał Heudelet opanował dolinę Malzklau.

I tu generał Bachelu szedł na czele z Polakami; w drugiej linii postępował generał Gault i formował rezerwę. Na próżno starali się sprzymierzeni wstrzymać kolumny, nim się formować zaczęli, napadnięci, rozsypani, ledwo iż w ucieczce ratunku szukać mogli. Polacy osobliwie ze wściekłością walczyli, nie dając im czasu do odwrotu. Zajadłość ich była taka, iż dobosz Matuzalik, w braku oręża, pałeczkami dobijał uciekających, którzy opuścili swe stanowiska, zostawiwszy w naszym ręku lazarety, zapasy w Schweiskopf i St. Albrecht.

Położenie garnizonu codziennie stawało się przykrzejszym przez brak wiadomości o głównych operacjach wojennych wielkiej armii, przez niedostatek żywności, a osobliwie choroby, które, rozciągając się i do okolic, porwały do 12.000 wojskowych i 5.000 mieszkańców. Wojska sprzymierzone, korzystając z tego nieszczęścia, oczekując od chorób i nędzy, naszej zagłady, same wahały się stanowczo działać i poprzestawały na ustawicznych nocnych alarmach. Gubernator chcąc im dać odwet, wyprawił porą nocną szefa batalionu Szembeka i Potockiego. Ci, udając się do Brentan, gdzie nieprzyjaciel utrzymywał sygnały nocne i redutę uzbrojoną, podstąpili pod nią; szturmem zdobyli, a pędząc nieprzyjaciela pod samą Oliwę, alarm w całym ich obozie wzniecili i sami bez wielkiej straty wrócili do miasta, zrządziwszy pomieszania niemałego w szykach nieprzyjacielskich, które przez 28 godzin stały pod bronią.

Nie tylko takimi wycieczkami umiał gubernator imponować oblegającym, lecz częstokroć na widok tychże występował garnizon z bronią nie nabitą, odbywał lustracje i rewie, i nigdy napadanym nie był.

Gdy jednakowoż żywności coraz bardziej brakowało, gdyż nieprzyjaciel ją z pobliskich miejsc zabierał, generał Rapp przedsięwziął wyprawę na Nehrung. 1.200 ludzi wyborowych, po większej części Polaków, 350 koni i 6 armat artylerii konnej polskiej, zawsze Wł. Ostrowskiego, pod rozkazami generała Bachelu podstąpiło pod Heubude.

Pięć tysięcy wojska nieprzyjacielskiego broniło tego punktu, lecz z taką natarczywością napadnięci zostali, iż czasu nie mając, zostawili swoje działa; kartaczami zaś w nieład wprawieni utracili całą linię tyralierów i wielu rannych, między którymi był dowódca ich kawalerii, reszta w rozsypkę poszła aż do Wolden.

(Ostrowski Antoni)

SZWOLEŻERZY W HISZPANII

(1810)

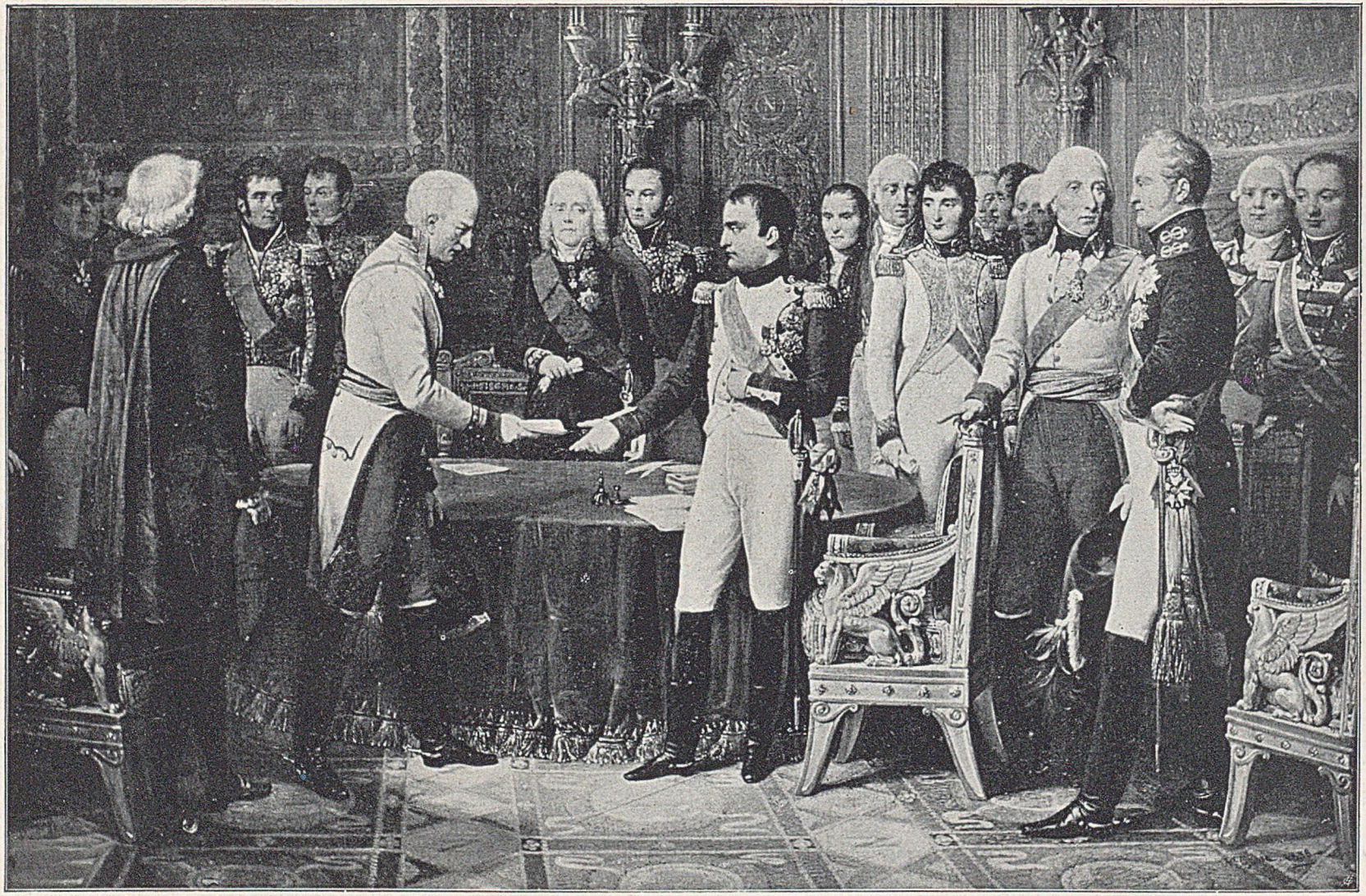

NAPOLEON NA ZJEŹDZIE ERFURCKIM (1808) PRZYJMUJE POSŁA AUSTRIACKIEGO BARONA VINCENT
(według obrazu N. Gove)

Weszliśmy zatem do Hiszpanii mniej więcej z początkiem r. 1810, staliśmy znowu niejaki czas w Salvatierra, w górzystym położeniu, na drodze z Vitorii do Pampeluny, zawsze pod komendą szefa szwadronu mameluków, pułkownika Kirmann. Kapitan Szeptycki, który był dostąpił tego stopnia i dowództwa kompanii 5-tej po Stanisławie Gorajskim pod Wiedniem, oznajmił mi, że ja istotnie byłem przedstawiony cesarzowi na kapitana, ale że to przedstawienie wiele nominacyj obejmujące, jeszcze podpisane nie zostało. Konsystencja nasza w Salvatierra przedłużyła się, bo istotnie w górach Pirenejskich trudno było o tej porze roku jakie ruchy przedsiębrać. Śniegi zalegały całą przestrzeń naokoło, konie musiały być szeroko rozkwaterowane, bo nie było innych stajen, tylko szczupłe po domach pojedyńczych, które, chociaż po większej części piętrowe i z ciosowego kamienia, nie dostarczały jednak wygody w zimie ani dla koni, ani dla ludzi — były to albowiem budynki okazalsze nad zwykłe wiejskie, opatrzone herbami nad wchodowymi drzwiami, ale bez okien, okiennicami tylko zaopatrzone, a jeżeli gdzieniegdzie były okna, to w nich zamiast szkła, szyby z papieru oliwą napuszczanego. Urządzenie takie może być bardzo stosowne w czasie lata, ale w zimie okiennice za-

wiane śniegiem, a domy bez kominów, tym mniej pieców dostarczają bardzo niepociesznych kwater, do tego jednak dodać wypada, że w krajach tamtejszych, na cały dom, bywa tylko jedno ognisko, to jest obszerna kuchnia na poziemiu, nad którą wisi kocioł na ciepłą wodę na łańcuchu; ognisko to otoczone jest z trzech stron ławkami, na których cała rodzina z gośćmi przesiaduje naokoło ognia czyli kuchni, przed którą się jakie takie pieczyste na mechanicznym przyrządzeniu rożna obraca. Ognisko domowe jest patriarchalnym środkiem zebrania rodziny, nie różniącej się od prostoty wieśniaków, pomimo herbu i tytułu hidalgo (szlachcic), który w północnej Hiszpanii w prowincjach: Asturia, Alava, Guipuscoa, Biskaja, jest niemal powszechny; w czasach albowiem, kiedy Maurowie zawojowali większą część Hiszpanii, nie mogli się nigdy dostać w te północne strony, dlatego te prowincje mają swoje właściwe przywileje i mnóstwo dawnego rycerstwa uszlachconego, jak u nas w Polsce, tak, że niemal nad każdym domem jest herb wyryty.

W Salvatierra staliśmy ciągle pod bezpośrednim dowództwem pułkownika Kirmann, i z tego miejsca mniej więcej z nim jak i bez niego, odbywaliśmy różne wyprawy na poskromienie, snujących się coraz więcej po kraju guerillasów, których my nazwaliśmy brygantami. Nim się rozstanę na długo z szefem Kirmannem i z jego mamelukami, nie mogę pominąć anegdoty, którą miałem w jednej ekspedycji odbytej pod tym komendantem Alzatczykiem z jego podwładnymi z Orientu. Przenocowawszy w jakiejś wsi hiszpańskiej wspólnie, gdy zbieraliśmy się do wymarszu, nadbiegło kilku Hiszpanów zdesperowanych do siedzącego już na koniu szefa Kirmanna, żaląc się z płaczem, że zostali od Polaków zrabowani; oficerowie mameluków, Abdala i Soliman, podburzyli swego dowódcę przeciwko szwoleżerom polskim; ten kazał mnie przywołać i, pokazując mi skarżących Hiszpanów, rzekł do mnie: „*zest les Bulinais foyez pien!*“ — ja na to zapytuję się Hiszpanów, po czym poznają, że to Polacy ich zrabowali?... — „Bo ciągle nawoływali się: Polaco! Polaco! — A jakże byli ubrani? odrzekłem ja — „*Tenian calzones muy largos encarnados*“ — mieli szarawary bardzo szerokie, czerwone. — Tu sam Kirmann nie mógł się wstrzymać od śmiechu, i obracając się do swoich Solimana i Abdali, rzekł do nich po swojemu: „*zest les mamelik foyez pien!*“ — a czytelnicy, którym tę przygodę z Hiszpanami przekazuję, poznają, że

i Turcy i Egipcjanie umieją dyplomatyzować przeciwko Polakom, kiedy im samolubny interes tak każe.

Z początkiem wiosny, to jest kiedy śniegi ustępując, uwalniały komunikację w Pirenejach, oddzieliliśmy się od strzelców konnych i od bezpośredniego dowództwa szefa mameluków Kirmanna; cały oddział dotąd, jak wyżej powiedziałem, nie więcej jak 105 koni wynoszący, udał się pod komendą kapi-

Jan Junot, książę Brabantu
(według obrazu Raverota)

tana Wincentego Szeptyckiego do wsi Grannon (Granion), na drodze z Vitorii do S. Domingo de la Calzada, tam czekaliśmy na przybycie pułkownika Delaitre, ćwicząc się przez ten czas w manewrach i mustrze z proporcami.

Nie mogę wyraźnie oznaczyć w jakiej liczbie i pod którymi datami oddziały naszego pułku z Francji przybywały. Kolega Mikułowski podaje mi, że on dopiero z Saint Quentin wyprawiony był przez marszałka Bessiéres do Paryża i Chantilly z rozkazem wysłania nowego oddziału naszego do Hiszpa-

nii; ale że cesarz dopiero 27-go kwietnia 1810 roku udał się z cesarzową Marią Ludwiką do Saint-Quentin, a kolega Mikułowski podaje, że udał się do Hiszpanii pod komendą kapitana Jerzmanowskiego, i zastał już w Hiszpanii pułkownika Delaitra, więc z tego wszystkiego wynika, że pułkownik Delaitre, z oddziałem nowym zaraz z wiosny przybył do Hiszpanii, jakoż z tego czasu pamiętam kilka wypraw, do których należałem: do Logrono, do S. Domingo de la Calzada, a najdalsza do Calahora, sławnego niegdyś Calagurris przez zaciętą Rzymianów obronę. W tym więc z dawna patriotycznym mieście zdarzyła mi się scena pocieszna; byłem proszony na tertulię, tak Hiszpanie nazywają wieczorną zabawę, gdzie się rozrywają rozmową, grą w karty (naypes), muzyką, częstują czekoladą (chocolade) wodą con azucar rosado, to jest z lekkim biszkoptem z cukru, olejkiem różanym zaprawnym i t. d. Były damy, kawalerów mało, grano na gitarach i śpiewano; koledzy moi i ja byliśmy z naprzykrzeniem proszeni, żeby śpiewać; wymawialiśmy się, że nie śpiewamy, tym mniej gramy na gitarze; gdy to nic nie pomagało, więc ja powiedziałem, „że chyba zaśpiewam co po hiszpańsku". — Ach, jak to dobrze! — całe zgromadzenia nadstawia ucha, a ja zaczynam:

Puesque sois Espanoles valientes — es preciso lo days a intender
Al infame Opressor del Europa — que sus leyes os quizo impone,
A las armas corred patriotas — a lidiar, morir o vencer —
Guerra siempre al infame tirano — Odio eterno al impio Frances.

Te słowa znaczą po polsku:

Kiedy Hiszpanie jesteście waleczni — trzeba żebyście to dali poznać.
Niegodziwemu ciemięzcy Europy — co swe prawa wam chciał narzucić.
Do broni spieszcie patrioci — walczyć, umierać lub zwyciężyć. —
Wojna zawsze niegodziwemu tyranowi! nienawiść wieczna bezbożnemu Francuzowi! —

Można sobie wystawić, jaki popłoch wszczął się w zgromadzeniu... nie chcieli mi dać dokończyć zwrotki... „Ach, skądże to pan takie okropności powziąłeś?" i t. p. Ja na to — „Widzicie, panie, nie trzeba nas, nie umiejących śpiewać, na śpiewanie narażać... zresztą, co do treści tego śpiewu, i wielu marszów waszych, jakże chcecie żeby nam były obce, kiedy po tylu dziennikach hiszpańskich je rozrzucone czytamy, równie jak i odezwę do naszego pułku:

„Polacy! porzućcie barwy wasze, karmazyn i białe, honoru i bez plamy. Wy, co sami wolności pozbawieni, nachodzicie obcy kraj, katolicki, jak wasz, żeby go w niewolę pogrążyć?“ Niechże panie będą spokojne; jest cokolwiek prawdy w tej odezwie narodu hiszpańskiego do nas, Polaków, my nie jesteśmy Francuzi, możecie panie i przy nas śpiewać wasze patriotyczne pieśni“. My zaś ten epizod tu przytaczamy, dla dania poznać czytelnikom naszym choć jedną piosnkę patriotyczną, jakimi się wygłaszał duch Hiszpanów przeciwko mocarzowi, który się względem Hiszpanii tak niepojętym sposobem zapomniał.

Calahorra, która leży nad Ebrem, jest miejscem najdalszym na południowy wschód Hiszpanii, do którego podjazdy naszego pułku dosięgały; czynności nasze były zawsze więcej ku północno-zachodniej stronie i ku Portugalii skierowane. Od Calahorry aż w okolice Leonu przechodziliśmy w różnych ekspedycjach, większych i mniejszych, wiele miejsc, których pamięcią objąć nie mogę, wszędzie wywiadując się o gueryllasów i podjazdami ich spędzając, albowiem ta wojna drobna ze strony Hiszpanów raz wraz się wzmagała i wszelkie ruchy większe wojsk francuskich tamowała. Najdalszym, w tym samym co Calahorra kierunku, był dla nas posterunek Rivabellosa, miejsce pięknie położone nad Ebrem, godne swego nazwiska, w któremeśmy kilka dni stali, mianowicie z kapitanem Jerzmanowskim, ale którego na mapie znaleźć nie mogę, — to tylko pamiętam, żeśmy, złączeni pod dowództwem pułkownika Delaitre, stanęli wkrótce na niejaki czas w miasteczku Bello-rado, które, pomimo swego nazwiska, położone było nad rzeczką raczej małą.

Tuśmy się połączyli z oddziałami z Francji przybyłymi kapitana Jerzmanowskiego i szefa szwadronu Stokowskiego, z strzelcami konnymi gwardii, którymi dowodził najstarszy szef szwadronu Martin, i z mamelukami, jak już wiadomo, pod szefem Kirmannem. — Oddział naszego pułku tym sposobem wynosił do 400 koni, a cały regiment pochodowy pułkownika Delaitre więcej jak koni 800.

Wypocząwszy i zabrawszy się w Bello-rado, gdy już generał Dorsenne był objął komendę całego korpusu gwardii i północnej Hiszpanii, w głównej swej kwaterze w Burgos, cała lekka kawaleria gwardii pociągnęła do miasteczka Castroxeris (Kastrocheryz), blisko rzeki Pisnergi, i w tym mieście, oraz w okolicy się rozłożyła.

Ten ruch odbywał się w końcu maja lub początkach czerwca 1810 r.

Pod ten czas znaczny oddział naszego pułku towarzyszył Napoleonowi i jego nowej małżonce do Paryża przez St. Quentin, Cambrai, Brukselę, Antwerpię i inne miasta i porty północne; podobne wycieczki dworu powtarzały się przez cały rok 1810.

Nim generał Dorsenne zajął swoją główną kwaterę, miasto Burgos, był w nim i okolicznej prowincji gubernatorem generał dywizji Solignac. Nad brzegiem rzeki Arlanzon, w tych samych miejscach, gdzie się biliśmy 10-go listopada 1808 r., zastaliśmy nowy spacer, założony przez może zbyt żarliwego czasowego władcę dawnej stolicy Kastylii, który, zapominając o nietrwałości rzeczy i spraw ludzkich, wpadł na myśl przeniesienia nad rwisty brzeg rzeki Arlanzon, na upięknienie francuskiej promenady zwłok bohaterskich Cyda i Ximeny (Chimeny) do umyślnie dość gustownie, ale tak niestosownie wymurowanego nagrobku, a to wszystko — jak się zdaje, — jedynie dlatego, żeby w trzech językach podać potomności, że generał dywizji Solignac, kości tak drogie pamięci Hiszpanów, z miejsca, gdzie nie dość ozdobnie przechowane były, sprowadził etc. etc.

O tę uczynność patrioci hiszpańscy nie tylko pana generała francuskiego nie prosili, ale boleśnie byli dotknięci tym świętokradztwem, którego się dopuścił na tak drogiej pamiątce bohatera Don Ruiz Dias de Vivar, przezwanego od Maurów el Cid, a od Hiszpanów Campeador, co jedne i drugie znaczy zwycięzcę. Mnie samego, choć nie jestem Hiszpanem mocno obeszło to zarozumienie cudzoziemca, który poważne zwłoki dwóch osób narodowi tak drogich, jak Cyd i Ximena, od roku 1099 spoczywające razem w świątobliwym miejscu w mieście S. Pedro de Cardena, przeniósł nad brzeg rwącego potoku i zuchwale naraził może na zniszczenie. Sądzę, że Hiszpanie, jak tylko się oswobodzili od jarzma francuskiego, z pobożną procesją, znowu zwłoki Cyda i Ximeny na miejsce dawnego spoczynku odprowadzili.

Korpus gwardii pod dowództwem generała dywizji Dorsenne, pułkownika grenadierów pieszych gwardii, wynosił, według dzieła p. Thiersa, od 15 do 18-tu tysięcy, główną jego kwaterą było, jak powiedzieliśmy, miasto Burgos, ale Napoleon chciał, żeby ten korpus gwardii stał w rezerwie na przypadek jego przybycia, a tymczasem, żeby utrzymywał spokojność na trakcie madry-

ckim, od granic Francji aż do Valladolid, gdzie była główna kwatera generała dywizji Kellermanna, syna marszałka, sławnego niegdyś natarciem jazdy pod Marengo, które się dzielnie do tamecznego zwycięstwa przyczyniło. Obaj ci generałowie zajęci byli ciągle poskromieniem, bo więcej powiedzieć nie można, gueryllasów, którychśmy na próżno przezywali tylko brygantami. Od Ba-

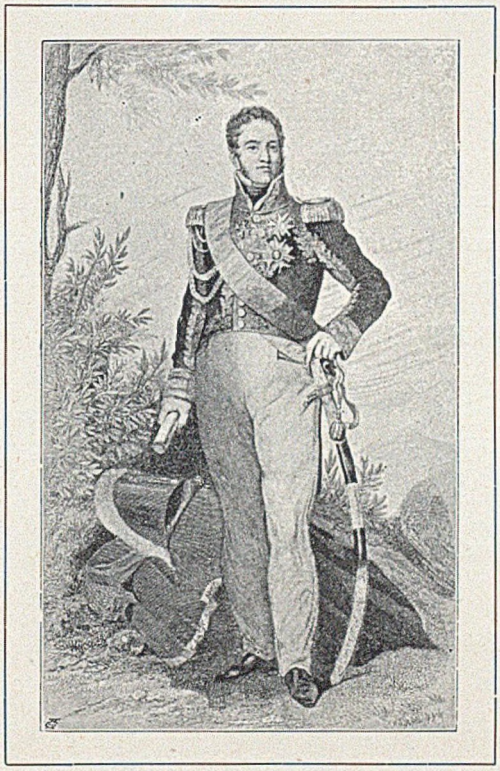

Suchet książę Albufery
(według portretu Guerina)

jonny do Madrytu nie tylko żaden pojedyńczy żołnierz, ale nawet mały oddział, nie mógł się przemknąć bez napaści; wystawić sobie można, jak trudną i kosztowną była komunikacja kurierów; według wyrazów generała Kellermana do generała Berthier, księcia de Neufchatel, majora generalnego, trzebaby „głowy i ręki Herkulesa", żeby tej wojnie hiszpańskiej dać radę!" — To mi przypomina konwersację jednego ministra hiszpańskiego z Napoleonem przed r. 1808, gdy mu Napoleon w złym humorze oświadczył, „że w ra-

zie doznanych trudności rządu hiszpańskiego, gotów jest wyprawić do Hiszpanii korpus 30 tysięcy wojska". — Tenże Hiszpan mu odrzekł: „Wem, tak jesteś poważany przez naród mój, że i jednego żołnierza nie potrzebujesz użyć; dość jest pisma, tłumacza woli jego; ale przestrzegam wem, że gdybyś chciał, wbrew woli i praw narodu, narzucić mu jakie jarzmo, i 300.000 wojsk jego na to nie wystarczy". Były to słowa wieszcze, które Napoleon lekceważył, bo nie znał narodu hiszpańskiego; jakoż, prawdę mówiąc, żadnego narodu nie znał, prócz może Francuzów i Włochów. Owo zgoła, wracając do stanu Hiszpanii w roku 1810, kraj ten, a mianowicie te okolice, w których nasze oddziały konsystowały i były czynne, był nieustannie przebiegany przez dowódców partyzanckich hiszpańskich, jako to: El Pastor, Polier czyli Marquesito, Longa, Marino, El Cura, Amor, Empecinado, Mina, Don Julian i wielu innych. — Raz wraz z naszej strony chodziły oddziały przeciwko tym tak zwanym brygantom, którzy przynajmniej z kawalerii bali się tylko Polaków, tak dalece, że ich wcale nie, albo rzadko zaczepiali; dlatego też nie było marszałka lub generała starszego, któryby nie chciał mieć przy sobie większego lub mniejszego oddziału ułanów nadwiślańskich, a ci z generałów, którzy przejeżdżali z Francji na Valladolid, albo na Valladolid do Francji wracali, starali się o eskortę naszego pułku. Generał Dorsenne, lokując regiment marszowy pułkownika naszego Delaitre w Castroxeriz, miał zamiar zasłonić swoją główną kwaterę Burgos od strony zachodnio-północnej, od źródeł rzeki Pisnergi, która płynie od Asturii do Valladolid, jakoż w te strony północne odbywaliśmy najwięcej podjazdów. Ponieważ cały marszowy regiment lekkiej jazdy gwardii nie mógł się zrazu pomieścić w Castroxeriz, więc znaczna część oddziałów z każdej broni zajęły czasowo wieś Sasamon dość znaczną, ale której nie znajduję na mapie Hiszpanii. Pułkownik Delaitre, założywszy główną kwaterę swoją w Castroxeriz, gdzie także powołaniem jego było ściągnąć z okolic w jak najobszerniejszym ile możności obszarze podatki i liwerunki, umyślił postanowić komendanta placu, któryby mu w tym zatrudnieniu pomagał; a jako daleko lepszy Francuz, niż gros-major pułku polskiego, powołał na ten niby urząd rodaka swego kapitana od szaserów gwardii, Caire, wojskowego i oficera nierównie starszego od nas wszystkich Polaków, ale który, zwyczajem Francuzów, nie umiał ani słowa po hiszpańsku. Nie szło to jakoś,

Bitwa pod Somo-Sierra (1808)
(według obrazu H. Verneta)

i pułkownik Delaitre, zamiast oczekiwanej pomocy, miał tylko kłopot i niecierpliwił się. Skończyło się na tym, że mnie zaszczycił swoim zaufaniem, tytułem komendanta placu de Castroxeriz y de Sus Alrededores, t. j. miasteczka i jego okolic.

Ale ponieważ gueryllasy i znaczniejsze nawet siły zbrojne Hiszpanów, to zbliżały się, to zagrażały, więc odebraliśmy rozkaz przemienienia klasztoru, leżącego u stóp pagórka, na którym stoi w długiej linii miasto, w koszary ufortyfikowane ile możności; klasztor ten był przez zakonników opuszczony, ale kościół, choć podrujnowany, istniał; przedsięwzięto więc z wszelką możliwą przyzwoitością oswobodzić kościół z ruchomości świątobliwych, jako to

ołtarzów, konfesjonałów, organów i t. p., co lubo nie odbyło się bez trudności i kłopotliwych zabiegów, to jednak w krótkim ile możności czasie, kościół i dolne korytarze klasztoru po większej części pomieściły konie, a cele i korytarze piętrowe zamienione zostały na koszary dla ludzi.

Ponieważ w mieście Castroxeriz znajduje się dawny starożytny zamek hrabiów de Castro i wspaniała kolegiata, opatrzona kilku kanonikami, więc zamiana przybytku, poświęconego służbie bożej, na użytek wojenny, działa się tu z ciągłym udziałem duchowieństwa.

Cały obszar zabudowania klasztornego z kościołem okolony został częstokołem czyli palisadą, tak, że między kołami były luki czyli naturalne strzelnice, którymi jazda nasza, zbrojna w karabinki, mogłaby się w razie napadu bronić, choć do czasu, ogniem strzelby. W obrębie tym był dzień i noc oddział konny gotowy do wycieczki. Służbowy kapitan i oficerowie mieli kwatery w celach. Refektarz był zamieniony w izbę dla chorych, a niektóre korytarze i obszerniejsze stancje urządzone zostały jako koszary z naśladowaniem możliwym école militaire w Paryżu i Chantilly, dla szaserów i naszych, z tą różnicą, że zamiast materaców, były sienniki, zamiast dostatku stolicy Francji, chędogie ubóstwo wojskowe; korytarze i izby nosiły według broni napisy imion poległych współtowarzyszów, których pamięć była drogą.

Gdy te koszary zostały ukończone, sprowadził pułkownik Delaitre cały pułk swego dowództwa do siebie i ulokował stosownie, to jest wszystkie konie ile możności w rzeczonych koszarach, a kwatery oficerów skoncentrowane; ponieważ zaś miasteczko składało się, jakżeśmy już powiedzieli, z jednej długiej ulicy, więc u dwóch końców tejże stały mocne pikiety konne, strzegące we dnie i w nocy od niespodziewanego napadu.

Taki jest obraz naszego kilkomiesięcznego pobytu w Castroxeriz; wyprawy większe z rozporządzenia generała Dorsenne, mniejsze z polecenia pułkownika Delaitre, w miarę dochodzących go wieści o partyzantach hiszpańskich, a w miejscu bezustanne czuwanie, jak to Francuzi mówią: *sur le qui vive.*

Oto jest obrazek tego naszego położenia: blisko płynęła rzeka Pisnerga, sławiona w poezjach hiszpańskich z swego wdzięcznego koryta; gorąca letnie zachęcały do użycia kąpieli; za daleko płynął ten strumień, żeby żołnierze szeregowi mogli z niego korzystać, prócz podbradzania koni z należytą eskortą;

my zaś, oficerowie, za opowiedzeniem się starszym, na przemian używaliśmy kąpieli konno, to jest, że nasi służący trzymali nam konie u brzegu, żeby w razie napadu choć bez munduru, w stanie Hipocentaurów, mogli uchodzić do miasta.

Castroxeriz jest dawną bardzo, w mgle czasów ginącą pamiątką starożytności; na górze, pod którą w wieniec rozłożone jest miasto, znajduje się płaszczyzna dość obszerna, starymi wałami jeszcze widnymi okopana; twierdzą, że tu Juliusz Cezar obozował, że stąd pochodzi miano Castroxeriz, jakoby w zepsuciu: Castrum Caesaris. W każdym razie jest tu poniżej góry Cezara, ale w miejscu dość podwyższonym, zamek czyli pałac z czasów bliższych, ale w stanie spustoszenia, znacznego rozmiaru i z obszernym dziedzińcem, w obrębie którego odbywały się nasze zaciągania warty, parady i inne wojskowe zgromadzenia; zamek zaś zamieniliśmy po części w areszt; ponieważ jednym z zatrudnień naszej komendy było egzekwować podatki i liwerunki, przeto można się domyśleć, ile ta operacja była trudną, pracowitą dla naszych żołnierzy i koni, a połączoną z wielkim i niepotrzebnym rygorem.

Gdy więc okazało się, że wysyłane na egzekucje oddziały wracały z drobnym pieniężnym okupem, ale bez istotnego uiszczenia podatków i bez liwerunków, więc jedną i drugą salę zamkową urządzono na areszt dla Hiszpanów znaczniejszych, jak się to mówi *honorationes*. Gdy z wiosek okolicznych nie wpływały podatki i kontrubucje zboża i furażów, posprowadzaliśmy z każdej wsi plebana, szlachcica, jeżeli jaki był, alkaldego czyli wójta, corregidora czyli podwójciego, słowem, osoby znaczniejsze, jakich można było w której wsi dostać; tych osadzano w tych aresztowych celach, gdzie starano się z miasta dostarczać im wygód, wiktuałów, póki ich współsąsiedzi i przyjaciele nie zaopatrzyli, a czego im nasze warty nie broniły. Ci, tak aresztowani zakładnicy, póty zostawali w tych salach zamku hrabiów de Castro, póki ich wsie nie wykupiły, dostarczeniem należności rozpisanych z pomnożeniem egzekutnego dla oddziałów żołnierzy, tą przykrą dla nas służbą się trudniących.

Z początku poczytywali sobie Hiszpanie, zwłaszcza księża, te militarne aresztowania za wielki wstyd i nieszczęście; ale jak się przekonali, że to dopełniano, prawda z nieprzełomnym rygorem — ale zresztą z obejściem się ludzkim, nawet z pewną grzecznością; gdy pojęli perswazję, że to się dzieje z ko-

nieczności, i że lepiej było ich na krótki czas aresztować, niżeli wsie i dobytki ich na rabunek wojskowych narażać, tak się ci zakładnicy i wsie okoliczne przyzwyczaiły do tego systemu surowej bezstronności, że wszelkie zaległości i bieżące należytości nie tylko zostały pouiszczane, ale za wypuszczeniem zakładników z lekkiego aresztu, odtąd regularnie wpływały, tak dalece, że sale z aresztantów wypróżnione, za staraniem znakomitego naszego kolegi, porucznika Józefa Hofmana, lwowianina niepospolitej nauki, pełniącego przy pułkowniku Delaitre urząd oficera płatnika i jakoby szefa sztabu, te sale, miejsce aresztów, zamienione zostały w sale balowe! Nie było tam sprzętów, elegancji i wygody, ale ławki naokoło murów oczyszczonych, posadzki ceglane wygładzone, oświetlenie w zawieszonych improwizowanych pająkach, strojnych w wieńce i kwiaty, równie jak i ściany; kapela z trębaczów szaserskich i naszych, między którymi byli i wirtuozi na różnych instrumentach. Otwarciem tych sal balowych, które nic podobnego od wieków nie pamiętały, był obchód imienin Karola Delaitre, pułkownika, transparentem przez czcigodnego Hofmana ozdobiony. Tego dnia były nacisk wielki nie tylko matron i dziewic hiszpańskich, ale i obywateli z miasta i okolic, na uczczenie pułkownika, komendanta przybyłych, którego rządy polskie, acz surowe, nadto korzystnie odbijały od rządów gdzie indziej przez Hiszpanów doznawanych.

Odtąd kiedy sale były już wolne od aresztantów, a wyczyszczone i odświeżone, bywały częste zabawy taneczne, niedzielne i świąteczne, na które Hiszpanki, zwłaszcza młode, chętnie przybywały, przekładając nad Francuzów Polaków, którzy lepiej pojmowali język hiszpański, i młodsi byli od weteranów gwardii Napoleona. Pomiędzy gośćmi bywali i księża; jednego muszę tu dla osobliwości wymienić: był to ksiądz ze wsi Sasamon, którego rzemiosłem zdawało się być tancmistrzowstwo. Różnił się od współksięży strojem zupełnie świeckim, nosząc frak barwy tabaczkowej; do obu łydek przyczepiał dwa naprzeciw sobie sterczące noże *(cuchillos)*, porozkładał jaja w pewnych od siebie rozmiarach jakby w szachownicę, zawiązał sobie oczy i tańcował po hiszpańsku z kastanietami *(castanuelas)*, dając skoki gwałtowne, tak zwane entrechats, żadnego jaja nie zgniótł i nie okaleczył się. Był to taniec sztuczny, ale bez żadnego wdzięku; tu się przytacza ten szczegół, jako odznaczający duchowieństwo krajów południowych. Tam, gdzie jest księży bez liku, muszą

być i nadużycia, w naszej Polsce nie ważyłby się duchowny popisywać takim kuglarstwem skoczka.

Co do tańców hiszpańskich, te lubo mają wiele wdzięku, przypisać to wszakże należy kobietom, bo tancerze mężczyźni, zwłaszcza na teatrze, więcej ubiegają się za sztucznością, jak za wdziękiem.

Generałowie Dorsenne w Burgos, Kellerman w Valladolid, dawali często bale, zwłaszcza obchodząc różne uroczystości dworskie i polityczne, na które oficerowie nasi, według wyboru pułkownika Delaitre, jeździli. Nie pamiętam, która z dam pełniła obowiązek gospodyni balów generała Kellermana w Valladolid, ale mi się zdaje, że Hiszpanka, margrabina San Felices; zaś w Burgos przyjmowała pani generałowa Dorsenne, paryżanka, z dworu cesarskiego, wspaniała i pełna wdzięku osoba, zachęcała ona towarzystwo do wesołości i zabawy, lecz mężczyźni hiszpańscy unikali ile możności tych balów, składających się wprawdzie z licznego towarzystwa pań hiszpańskich z córkami, ale tancerze byli prawie wyłącznie wojskowi.

Ponieważ generał Dorsenne, o ile pamiętam, prócz nas, nie miał innej kawalerii, zatem często, żeby nie powiedzieć, bezprzestannie, nakazywał większe i mniejsze wyprawy w różne strony, czasem z piechotą pod dowództwem jakiego generała lub wyższego oficera od piechoty, czasem tylko z samej jazdy. Nieraz oddalał się z Castroxeriz na podobne wyprawy sam pułkownik Delaitre; ja nie pamiętam, żebym z Castroxeriz był brał udział w takiej wyprawie, jak raz ze szefem szwadronu Stokowskim, aż do miasta Palencia, gdzie wszelako żadnego oddziału hiszpańskiego nie natrafiliśmy, bo od naszych proporców z daleka widocznych, Hiszpanie radzi się usuwali. Kiedy pułkownik Delaitre opuszczał Castroxeriz, to ja musiałem zostawać na jego miejscu, bo na mnie polegał zarząd administracyjny tego miasta i jego okręgu.

Między wyprawami, które pamiętam, zaszła bitwa pod tym samym Bellorado, w którymśmy, jak się wyżej mówiło, dość znaczny odbyli spoczynek; odznaczył się tam kapitan Szeptycki pod komendą generała piechoty Roguet, i był o tej potyczce artykuł w ówczesnym Monitorze.

W czasie tym różne przychodziły urządzenia króla Józefa za wczesne, obrażające zwyczaje narodu; między innymi zakaz chowania zmarłych w kościelnych grobach, i polecenie zakładania cmentarzów w polu. Zdarzyło się, że jakiś obywatel poważniejszy umarł, przyszła deputacja do mnie z prośbą, żeby tę szanowną osobę pozwolono było pochować w kościele, ofiarując za to zapłatę, jakiej by żądano. Ja, który nie pojmowałem użyteczności takich reform, niepokojących lud hiszpański, pozwoliłem bez trudności i bez opłaty... Odeszła deputacja uradowana, a gdy się potem ukazał pułkownik Delaitre, idący w niedzielę do kościoła, otoczony swym sztabem, towarzyszyły mu orszaki muzykantów i tańczących z bukietami i kastanietami.

Jednakże nabożeństwa nasze nie podobały się Hiszpanom starszym, a zwłaszcza kanonikom, bo do mszy asystował oddział wojska z bronią, i lubo podczas podniesienia prezentowano broń, wszelako żołnierze zachowywali czapki na głowie, a oficer komenderujący paradą kościelną odzywał się głośno po kościele, co było, według zwyczajów wojska francuskiego; prócz tego w korpusie oficerów, towarzyszącym pułkownikowi, zasiadającemu w krześle przed wielkim ołtarzem, znajdowali się i mamelucy; z tych powodów Hiszpanie zwali ten obrzęd: misa politica.

Miałem więc takie zdarzenie i to z księdzem, u którego sam stałem kwaterą: przyszliśmy do kościoła o godzinie naznaczonej, z paradą kościelną i pułkownikiem na czele; nie zastaliśmy księdza. Na zapytanie, na kogo kolej mieć mszę? odpowiadają, że kanonik, u którego ja stoję — posyłam do niego, kazał odpowiedzieć, że chory i leży. — Delaitre się rozgniewał, wyszedł

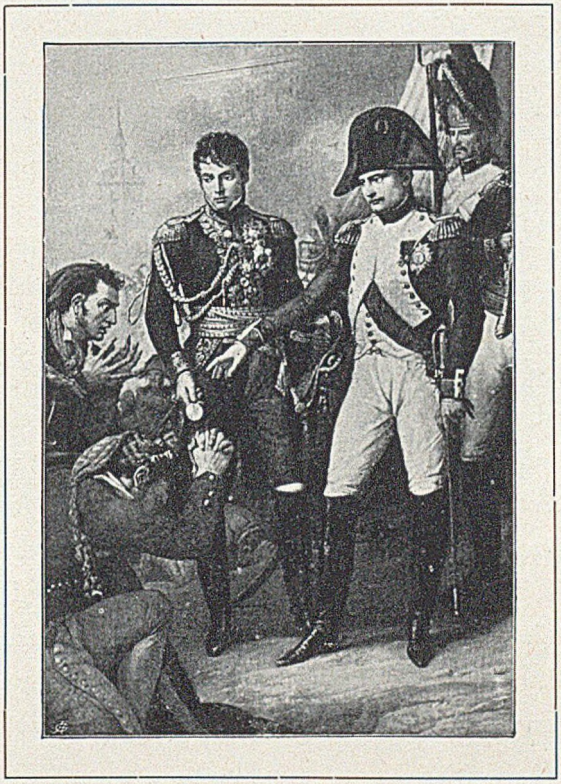

Napoleon w Madrycie
(według obrazu Karola Verneta)

z kościoła z całą paradą kościelną, i polecił mi ten wypadek sprawdzić, a w razie zmyślonej choroby ukarać. — Ja, wiedząc i widząc, że ksiądz acz stary jest zdrów, ale nie chce odprawiać nabożeństwa, które uważał tylko za polityczne, kazałem mu w łóżku leżeć 24 godzin przynajmniej, żeby sił nabrał, a dostawiłem mu dwóch żołnierzy, coby siedzieli przy nim i pilnowali, żeby łóżka nie opuszczał; ci zaś zmieniali się co godzinę, a imć ksiądz pła-

cił każdemu po pesecie (peseta wartość i pierwszy typ cwancygiera). Po tej kuracji ksiądz kanonik już nie chorował i mszę świętą odprawiał, gdy kolej na niego przychodziła.

Jakkolwiek powszechność hiszpańska była przeciwko Napoleonowi, a w skutku i przeciwko Francuzom uniesiona, miał w tym winę sam mocarz, który, jak się tyle razy mówiło, niepotrzebnie i niegodziwie podszedł naród i rząd sąsiedni, nie tylko przyjazny, ale podziwiający go... Zdarzali się więc nawet i księża światli, ubolewający bezstronnie nad tym nieszczęściem... A byli i tacy, co sprzyjali reformie, a tych nazywano Afrancezados. Takim był w Castroxeriz alcalda (wójt czyli burmistrz) nazwiskiem D. Manuel Cobo, u którego miał kwaterę pułkownik Delaitre. Ten Cobo, rozżalony był na Hiszpanów, że ojca żony jego, jak twierdził, niewinnie rozstrzelali; do tego zapaleńca jeszcze raz wrócimy, ale teraz na czasie wspomnieć o innym wypadku i onego następnościach.

Jakeśmy to już tyle razy powtórzyli, ani obecność króla, ani wielokrotne zwycięstwa nie pomagały; gueryllasy czyli powstania we wszystkich okolicach wzmagały się, komunikacje nasze coraz stawały się trudniejszymi. Zrazu posyłaliśmy z Castroxeriz raporta nasze do generała Dorsenne do Burgos i korespondencje na pocztę przez dwóch konnych żołnierzy. Gdy ci częstokroć dojechać nie mogli, posyłaliśmy brygadiera z 4-ma ludźmi, a gdy i takie małe oddziały nie były dostateczne, musieliśmy dla pojedyńczego listu wyprawiać oficera z 25 końmi, co u nas stanowiło pluton, czyli czwartą część szwadronu; była to korespondencja zbyt kosztowna; następujący wypadek spowodował jej zmianę.

Razu jednego porucznik Maciej Mierzejewski był komenderowany na taką korespondencję do Burgos, a doktór pułkowy Deplace, znękany słabością i tęsknotą za krajem, otrzymawszy pozwolenie, wracać miał do Francji i w towarzystwie swego służącego miał rozpocząć swoją podróż pod zasłoną plutonu Mierzejewskiego. Ale gdy literat, filozof, dosiadł raz konia, niecierpliwy nie chcąc czekać na zebranie się plutonu, zawoławszy swego służącego także konnego, puścił się w drogę ku Burgos, a oddaliwszy się tak, że go eskorta widzieć nie mogła, zostali obaj zamordowani, a konie ich i wszelkie rzeczy zabrane, ciała zaś obnażone i porzucone. Mierzejewski nadciągnąwszy, przysłał

Szwoleżer gwardii cesarskiej
(według obrazu H. Verneta)

zaraz paru ludzi z raportem o tym zdarzeniu, a sam podążył do Burgos, upatrując nieprzyjaciela po drodze.

Nim do dalszego dochodzenia tego zabójstwa przystąpimy, mamy sobie za obowiązek podać pamięci czytających osobistość doktora medycyny Deplace; był to mąż wysokiej nauki i jako taki miał udział w wyprawie egipskiej, w której się zaznajomił z pułkownikiem Delaitre, wówczas adiutantem generała Klebera. Deplace był charakteru najszlachetniejszego i najsłodszego, od wszystkich powszechnie szanowany i kochany. Wielki przyjaciel narodu naszego, a zwłaszcza zdrowej krwi i urodziwości ludu polskiego; twierdził i opisał medycznie, że nigdzie podobnej urody, a mianowicie tak pięknych i zdrowych piersi nie widział, jak w Polsce. Dzieło jego w tym przedmiocie wydane drukiem pod tytułem „Sur l'ataitement maternel", nosi godło, oddające zwięźle usposobienie autora: *Incipe parve puer, risu cognoscere matrem!*

Miałbym się za szczęśliwego, gdyby ta krótka wzmianka o doktorze Deplace i jednym z jego dzieł posłużyła rodakom do pocieszenia rodziny Deplace, o której z żalem naszym nie mieliśmy nigdy bliższej wiadomości.

Po takim wypadku, gdy nas doszła wieść, że ten mord był popełniony przez bandę 13 do 14 ludzi, na koniach czy mułach, która się zjawiła na

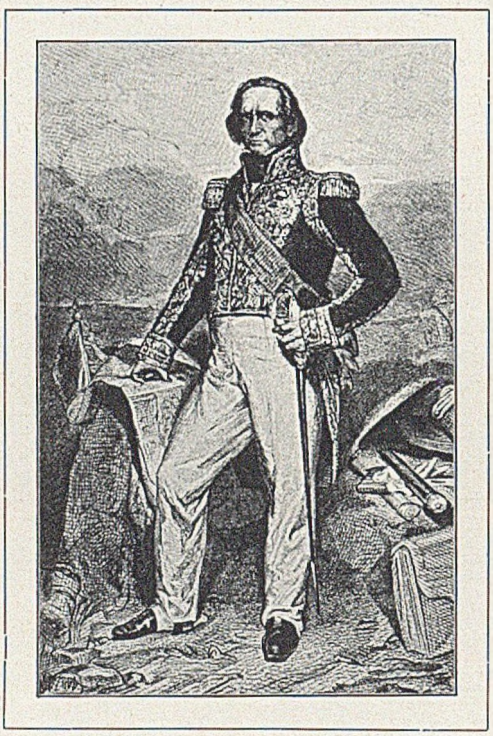

Soult, ks. Dalmacji
(według obrazu Ronillarda)

drodze naszej do Burgos, wyruszyliśmy przede dniem we dwa szwadrony polskie; ja prowadziłem jeden szwadron z lewej, kapitan Jordan Hermelaus drugi szwadron, z prawej strony, i mieliśmy się w wyznaczonym punkcie zejść. Przetrząsnąwszy całą okolicę... cóż się stało?... nie nadybaliśmy nic... A gdy oba szwadrony razem wróciły, znużone ogromnym upałem, na który nam zachorował w marszu porucznik Wincenty Mikułowski, upewniali nas niektórzy Hiszpanie, że ta banda ścigana widziała nas przechodzących w odwrocie, ukryta w parowie... Taka to była wojna hiszpańska: wiele trudu,

wiele straty pojedyńczej, a skutku mało lub nic. — Po tym wypadku umyśliłem korespondencję naszą urządzić w ten sposób, któryby nie utrudzał wojska, nikogo nie narażał, a był najpewniejszy. Wysyłałem po kolei wszystkich starszych księży z miasta, municypalność dostarczała muła z wygodnym siedzeniem i przewodnikiem na mule; przywoływałem kanonika lub plebana i, ofiarując mu pieniędzy na drogę — jeżeli chciał — doręczałem ekspedycję do sztabu generała Dorsenne, oświadczając, że za całość i dostateczny pośpiech odpisu odpowie mi cały majątek ruchomy jegomości, pozostający w Castroxeriz. Kolega Mikułowski podaje mi w swych notatkach, że pierwszym z księży, których tym sposobem wyprawiłem do Burgos, był jego gospodarz D. Antonio Itero.

(Józef Załuski, generał)

WSPOMNIENIA Z KAMPANII

(1812)

W roku 1812, gdy Napoleon, sam bawiąc w Dreźnie, swe zwycięskie wojska posuwał nad Wisłę, na początku miesiąca maja przybył Hieronim Napoleon, ówczesny król westfalski, z swoją przyboczną gwardią i wojskiem do byłego Księstwa Warszawskiego. Stanął w Warszawie w pałacu Brühlowskim. Gwardia jego rozlokowała się w mieście, a reszta wojska po lewej stronie Wisły się rozłożyła. Wojsko polskie, wówczas zostające pod komendą księcia Józefa Poniatowskiego, a liczące do 50 tysięcy, musiało przybyłym gościom ustąpić kraju po lewej stronie Wisły, a przenieść się na prawy; nawet i pułki, składające garnizon warszawski, wyruszyły 20 maja na prawy brzeg i w okolicach tegoż miasta się rozłożyły. Ponieważ zaś całe polskie wojsko przechodziło pod ogólną komendę króla westfalskiego, razem zatem z wojskiem westfalskim stanowiły korpus 5-ty wielkiej armii. Reszta pułków polskich pieszych i konnych z Hiszpanii dążyła ku wielkiej armii, jako legie nadwiślańskie.

Co do polskiego wojska, to miało ono trzy dywizje piesze, razem z przyłączoną do nich kawalerią i artylerią. Oprócz tego kawalerii polskiej siła większa osobną dywizję składała z konną artylerią; jedna zaś dywizja piechoty

była w Gdańsku i jedna brygada kawalerii w wielkiej armii w jednym z korpusów francuskich.

Pod komendą księcia Józefa dywizjami dowodzili generałowie Zajączek, Dąbrowski i Kamenecki, po którym później objął komendę Kniaziewicz; korpusem naszym kawalerii dowodził generał dywizji Różniecki.

Czyn, który tu właśnie chcę opisać, zdarzył się w dywizji generała Kameneckiego, zatem o ruchach tej jedynie dywizji wspominać będę.

Dywizja Kameneckiego miała dwie brygady piesze. Jedną brygadą dowodził generał brygady Grabowski (w tej pułk 2-gi pod dowództwem pułkownika Krukowieckiego i 8-my pod dowództwem pułkownika Stuarta), drugą brygadę miał Stanisław Potocki (w tej 12-ty pułk Weissenhoffa, najmocniejszy podówczas co do liczby żołnierza).

Wypadek zaszły między generałem Grabowskim i pułkownikiem Krukowieckim wystawi tu dwa charaktery przeciwne. Generał Grabowski łagodny, dobry Polak, poświęcający się, pełen ambicji, był dawniej dowódcą 1-go pułku, w którym pod jego komendą Krukowiecki dowodził batalionem. Będąc dawniej Krukowiecki w służbie austriackiej oficerem, nabrał tam zarozumienia o swych zdolnościach wojskowych, przy tym był młody, popędliwy, pracowity, co tym więcej powiększało w nim niespokojność, lekceważenie starszych od siebie i chęć wyniesienia się na wyższe stopnie.

Gdy generał Grabowski w roku 1806 wprost na dowódcę pułku dla swych poświęceń i ofiar był wyniesiony, Krukowiecki, jako dawniejszy, zaczął go lekceważyć, stąd wszczęła się między obydwoma niechęć, która na moment ustała gdy Grabowski i Krukowiecki, pierwszy posunięty na generała, drugi zaś na generała majora do 3-go pułku piechoty, rozeszli się z sobą. Dopiero po regulacji wojska przed kampanią 1812 roku, generałowi Grabowskiemu dostała się brygada w dowództwo, w której właśnie Krukowiecki dowodził pułkiem 2-gim, porządnym, licznym i faworalnym księcia Józefa.

W pierwszych dniach czerwca 1812 r. dostały pułki, składające dywizję generała Kameneckiego, rozkaz zebrania się w mieście Pułtusku, gdzie za rzeką Narwią obozem rozlokowane zostały. Do Pułtuska również król westfalski i książę Józef przybyli.

Po kilkodniowym tam odpoczynku dywizja ruszyła ku Ostrołęce; upały

wielkie zaczęły dokuczać wojsku, tak że tylko nocami marsz odbywać było można, i że trzeciego dnia stanąwszy w Ostrołęce rano, odpocząwszy w obozie przez cały dzień, wieczorem dopiero w dalszy marsz udać się mieliśmy.

Na dany rozkaz do marszu cała dywizja stanęła pod bronią. Pułk 2-gi, który z porządku swego numeru na czele maszerował, miał dać całą kompanię do awangardy, zatem generał Grabowski, będący przed frontem swej brygady na koniu, daje rozkaz, żeby pierwsza kompania grenadierska udała się w awangardzie, pułkownik Krukowiecki zaś pierwej jeszcze wyznaczył kompanię 1-szą fizylierską, która też, za danym pierwszym znakiem do marszu, naprzód wystąpiła.

Widząc generał, że nie grenadierzy idą na straż przednią, i że jego w tym rozkaz nie został wykonanym, a zarazem od dawna wiedząc, że Krukowiecki nie lubił wykonywać rozkazów starszych, przysyła swego adiutanta z poleceniem, żeby kompania fizylierska wróciła się na miejsce, a kompania grenadierska, podług poprzedniego rozkazu, wystąpiła. Krukowiecki jednak i tym razem nie chce dopełnić woli generała, mówiąc adiutantowi, że kolej wypada na 1-szą kompanię fizylierską, nie na grenadierską, że generał nie ma prawa mieszać się do raz uczynionego porządku w pułku.

Skoro adiutant generałowi oświadczył odpowiedź pułkownika Krukowieckiego, urażony generał niedopełnieniem danego rozkazu, unosi się gniewem, przypada konno przed front pułku 2-go i donośnym głosem powtarza dany rozkaz.

Krukowiecki się sprzeciwia, powstaje spór przed frontem, wcale dla całego pułku nieprzykładny; obydwaj zapalają się w gniewie, tak dalece, że generał Kamenecki to spostrzegłszy, wpada między Grabowskiego i Krukowieckiego, poleca im udać się na miejsca i daje wyraźny rozkaz Krukowieckiemu, żeby kompania grenadierska zaraz w awangardzie ruszyła.

Krukowiecki, lubo uniesiony gniewem, jednak wypełnić nakoniec musiał dany rozkaz.

Cała dywizja ruszyła ku Rajgrodowi. Grabowski lubo łagodny, delikatny, jednakże uniesiony ambicją, obrażony pokrzykiem Krukowieckiego, którego porywczy humor znał, i wyraźnym nieposłuszeństwem i lekceważeniem osoby swej, wyzywa go w Rajgrodzie przez generała Paszkowskiego na pojedynek.

Krukowiecki łatwy i obeznany z pojedynkami, których wiele odbył, wyzwanie to przyjmuje i obiera na swego sekundanta generała Pakosza. Ci dwaj rozsądni sekundanci uznali, że to właśnie nie czas i miejsce w marszu, w bliskości granic nieprzyjacielskich, odbywać pojedynki, że to i zły przykład dałoby wojsku, gdyby się ten pojedynek rozgłosił, nareszcie i książę Józef byłby wcale z postępowania takiego nie kontent, uradzili zatem, aby pojedynek odłożyć aż do czasu po pierwszej wydarzonej bitwie, stanowiąc, że jeżeli obaj wyjdą cali, zaraz nazajutrz pojedynek będzie mógł się odbyć, zaś przed wydarzoną bitwą, z ogólną całego wojska byłoby szkodą, gdyby który z tak walecznych miał przez ranę lub śmierć nie być przytomnym w poprowadzeniu do boju wojska, jego dowództwu powierzonego. Wypadało pierwej wypełnić obowiązek, a potem swego szukać zaspokojenia.

Na tak rozsądny wniosek generała Paszkowskiego i Pakosza zgodzić się musieli obydwaj, to też z wojskiem coraz dalej za ustępującym nieprzyjacielem maszerowali, jednak w obu tlała utajona niechęć wzajemna i oba wyglądali rychło nastąpi czas, w którym wojsko nasze z nieprzyjacielskim zetrzeć się będzie mogło.

W Grodnie, oczekując wyzdrowienia króla westfalskiego, utraciliśmy najdogodniejszy czas spotkania się i odcięcia korpusu generała Bagrationa od głównej armii. Napoleon, słusznie za to rozgniewany, odbiera komendę swemu bratu, rozkazawszy mu powrócić do kraju swego, a dowództwo korpusu oddaje księciu Józefowi z poleceniem, żeby ile możności starał się błąd zrobiony naprawić, a dla łatwiejszego odcięcia Bagrationa wysyła marszałka Davousta z korpusem, aby z boku drogę od Dniepru nieprzyjacielowi odciął.

Wyszedłszy zatem z Grodna, lotnym marszem ciągle postępowaliśmy nawet bez odpoczynku za nieprzyjacielem, a pomimo takich natężeń marszu, przybywszy do Mohilowa, w mieście tym zamiast Bagrationa zastaliśmy korpus marszałka Davousta, który, chociaż pierwej od nas przybył, tylko nad rzeką Dnieprem z tylną strażą Bagrationa miał do czynienia, która jednakowoż zdążyła się przez Dniepr przeprawić i na tamtej stronie połączyć z resztą swej armii.

Połączenie Bagrationa o wiele armię nieprzyjacielską wzmocniło, a sam doświadczony tego korpusu wódz wiele potem się przyczynił do zaciętej walki

Napoleon, otrzymujący wiadomość o ocaleniu ks. Eugeniusza w 1812 r.
(Obraz Jana Chełmińskiego)

pod Możajskiem. Napoleonowi wiele zależało na tym, aby ten korpus cząstkowymi walkami rozbić. Później spostrzegłszy błąd uczyniony przez Hieronima, Napoleon rzekł:

— O trzy lata przedłużyła mi się ta kampania!

Korpus Davousta z Mohilowa wyszedł; nasz korpus w tym mieście został dla odpoczynku i ściągnięcia w marszu pozostałych żołnierzy. Napoleon w tymże czasie, strudziwszy swe korpusy i nie mogąc stoczyć głównej walki z ustępującym zawsze nieprzyjacielem, był przymuszony również odpoczywać i zdala uważać ruchy nieprzyjacielskie, a tymczasem myślał jakby dalej szyki mu popsuć?

Po tygodniowym odpoczynku nagle cała armia ruszyła ku Smoleńskowi, a z nią i nasz korpus, który prawe skrzydło armii składał. W miasteczku Krasnem, o parę mil odległym od Smoleńska, przechodziliśmy przez pobojowisko, gdzie wielu Rosjan zginęło z dywizji Rajewskiego: tu dowiedzieliśmy

się, że Napoleon przybył także pod Smoleńsk. Jakaż była radość nasza, że owego bohatera będziemy mogli oglądać i pod jego okiem i rozkazami walczyć. Zdawało nam się, że na nowo siły nam przybywają i że szczęście i zwycięstwo po naszej będą stronie. Jakoż, przenocowawszy w obozie, około wsi, niedaleko Smoleńska, na drugi dzień, to jest 15-go sierpnia, w sam dzień imienin Napoleona, po południu przybliżyliśmy się pod miasto.

Napoleon, uwiadomiony o naszym przybyciu, wyjechał konno, otoczony licznym sztabem. Przed nim mieliśmy szczęście przedefilować i już wtenczas zdawało nam się, że niezwyciężonymi zostaliśmy!

Napoleon siedział na siwym, ślicznie anglezowanym koniu, miał na sobie surdut jasny, perłowy, pod tym mundur zielony, szaserski, mała gwiazda u boku, spodnie białe, buty długie, a na głowie kapelusz trójgraniasty. Twarz miła, wzrok bystry, a w rysach tyle potężnego wyrazu i myśli, że trudno było się nasycić oglądaniem! Nie był on z owych wodzów co się uśmiechali do wojska, przymilali, jakby chcieli złudzić je i przywiązanie uzyskać, a jednak zdradzali tylko nicość i próżność z fałszem połączoną. Napoleon od razu okazywał się człowiekiem nadzwyczajnym i takie mniemanie w każdym wzbudzał.

Po przedefilowaniu przed Napoleonem wskazano nam miejsce, gdzie mieliśmy stanąć obozem. Przed nami stała linia kawalerii, zakrywająca nas, a opodal trochę widzieliśmy mury miasta Smoleńska i wieże kościołów; z drugiej strony miasta słychać było częste strzały z ręcznej broni i niekiedy z dział, gdzie się korpus marszałka Davousta ucierał i ścieśniał miasto. Rozdano nam zaraz żywność i polecono opatrzyć broń i ładunki i być na jutro z rana gotowymi do ataku.

Tę wiadomość każdy przyjął z radością. Wieczorem przy ogniu o niczym nie było mowy, tylko jak jutrzejszego dnia będziemy się bili i z której strony dobywali miasta? Nareszcie każdy udał się na odpoczynek dla pokrzepienia zmęczonych marszem sił.

Ledwie świtać poczęło, już cały obóz był w poruszeniu. Jedni zaczynali broń świeżymi ładunkami nabijać, inni ostre skałki zakładać, gotując się do boju, inni zaczęli ognie rozkładać dla ugotowania pokarmu, który jednym może na cały dzień służył, a drugim apetyt na zawsze zaspokoił. Równo z słońca wschodem dostały rozkaz kompanie woltyżerskie wszystkich pułków

ruszyć naprzód pod mury dla spędzenia nieprzyjaciela z przedmieść. Kompanie pułku 2-go walecznych kapitanów Trębickiego, Kępińskiego i Zielińskiego uskuteczniły zaraz ten rozkaz, reszta piechoty oczekiwała dalszego rozkazu, aż tu około godziny 9-tej z rana dały się widzieć, od strony głównej kwatery cesarskiej, tumany kurzu, a niebawem przybył adiutant ze sztabu, dający znać, że cesarz wkrótce przybędzie przed front naszego obozu.

Natychmiast kawaleria na koń powsiadała, działa były gotowe, piechota stanęła pod broń. Wkrótce przybywa cesarz Napoleon. Za nim liczny sztab z marszałków, generałów różnego stopnia i broni i adiutantów ordynansowych. Wszyscy oblani prawie złotymi haftami, ozdobieni kitami z piór, jeden cesarz skromnie, tak jak w dniu wczorajszym, był ubrany.

Całe przed nim znajdujące się nasze wojsko przywitało go okrzykami najżywszej radości, on zaś, przejechawszy wolno przed frontem, rozkazał księciu Józefowi, aby piechota maszerowała za nim.

Trudno sobie wystawić, jaki ogarnął nas zapał, gdyśmy ujrzeli tego bohatera przed sobą na czele, wiodącego nas osobiście do boju! Każdemu z nas zdawało się, że natychmiast mury Smoleńska jak ptaki przelecimy — takim to potężnym urokiem widok tego człowieka przejmował żołnierza!

Zaraz ruszyliśmy kolumnami za cesarzem, gdy tymczasem on naprzód pojechał inne obozy oglądać.

Zbliżywszy się do murów Smoleńska, strzelanie tylko z ręcznej broni i huk z dział słyszeliśmy. Wydawało się jakoby w jakim piekielnym kotle się gotowało, już bowiem tak francuskie wojsko, jako i nasi woltyżerowie ucierali się z nieprzyjacielem; tylko od strony mostu, prowadzącego z miasta na drugą stronę przez Dniepr, widać było wojsko nieprzyjacielskie, nie zaczepione jeszcze od nikogo, przechodzące z fortecy na drugą stronę. Nagle nadjeżdża Napoleon do nas, każe się czołom kolumn rozwijać i sam na czele 1-go batalionu 2-go pułku naprzód maszeruje, a przybliżywszy nas pod zasłoną dział grających pod same przedmieście, zatrzymuje i księciu Józefowi poleca, żeby swą piechotą na przestrzeni od mostu murowanego, na przedmieściu, aż do mostu będącego na Dnieprze, atakował miasto, a szczególniej zwracał uwagę na dawną breszę, Zygmuntowską zwaną, którą, jako nie umocnioną bardzo, możnaby do miasta wejść. Ten rozkaz dawszy, jak błyskawica zniknął nam

z oczów i udał się w inną stronę. Nam zaś zostawił ciężkie zadanie do wykonania.

Wszystkie pułki polskie do ataku zajęły swe stanowiska; jedne już naprzód udały się, drugie do wspierania walczących stały w kolumnach.

Do pułku 2-go, stojącego na czele, przysyła książę Józef swego adiutanta, kapitana Kickiego, z żołnierzem, który dawniej służył w rosyjskim wojsku, któremu wszelkie drogi w tym mieście znane były — ten tedy miał wskazać drogę do tej breszy pułkowi 2-mu, a adiutant Kicki miał razem z pułkiem udać się do tego ataku.

Adiutant Kicki, waleczny, młody, żywy, przyjeżdża do czoła pułku 2-go, przed którym się znajdował generał Grabowski i dowódca pułku Krukowiecki, i oznajmia rozkaz księcia Józefa, aby pułk 2-gi szedł do ataku drogą, która mu wskazaną będzie.

Pułkownik Krukowiecki, porywczy i pragnący się odznaczyć, rozkazuje pułkowi iść naprzód. Wtem odzywa się generał Grabowski:

— Pan pułkownik zapominasz, że masz mnie przed frontem i ruszasz z pułkiem bez mego rozkazu; wiedz o tym, że i ja chcę stanąć na jego czele!

Porywają zatem obydwaj pułk za sobą i, wyprzedzając jeden drugiego, lecą ku wyłomowi, spuściwszy się z góry na przedmieście dosyć szeroką ulicą.

Zaraz grad kul ręcznych i działowych zaczął nas witać, tak z murów miasta, jako też z przedmiejskich domów, również z drugiej strony Dniepru.

Ludzie nam zaczynają padać, lecz nasi dowódcy, zajęci sami sobą, jeden drugiego przebiega, żeby pokazać, że obaj śmierci się nie lękają.

Nareszcie, gdy za sobą usłyszeli jęk rannych i padających, jak ze snu i odrętwienia budzą się i widzą potrzebę rozdysponowania siłami, pod ich rozkazami zostającymi. Wysyłają zatem zaraz 2-gi batalion pod komendą kapitana Bogusławskiego ku Dnieprowi, aby strzelców z tamtej strony do nas strzelających odpędzić, zaś 3-ci batalion, pod komendą podpułkownika Gawarda, otrzymał rozkaz udania się ku mostowi i przeszkadzania, żeby mostem nieprzyjaciel nie postępował.

Gdy tylko te dwa bataliony na swoje przeznaczenie się udały, nasz 1-szy batalion co prędzej porwali generał Grabowski z pułkownikiem Krukowiec-

Odwrót marszałka Neya (1812)
(według obrazu Ivona)

kim i lecieli ku wyłomowi, pewni, że wkrótce i do miasta się dostaną, a każdy z nich chciał być pierwszy na murach.

Kawał drogi jeszcze szliśmy przedmieściem, nareszcie nasz przewodnik nagle wskazał nam na lewo uliczkę wąską, którą aż do samego wyłomu musieliśmy się dostać. Żwawo ruszyliśmy z dwoma adiutantami ulicą wskazaną, mając zawsze przed sobą generała z pułkownikiem i adiutanta Kickiego, za nimi szedł kapitan Hiż, dowódca batalionu i ja, jako adiutant pułkowy. Zaraz za nami piękna kompania grenadierska kapitana Rajnickiego, a za tą cztery fizylierskie. Grad kul wyrwał z szeregów naszych ludzi, lecz na to nie zważając, spiesznie dążyliśmy, jedynie zajęci myślą, aby wejść jak najprędzej do miasta.

Ulica, którą dążyliśmy, trochę krzywa była; wyszedłszy w dyrekcji prosto

do murów miasta, ujrzeliśmy nagle przed sobą dawny wyłom, uczyniony w murze, założony mocno drzewem, a przed tym wyłomem kolumnę strzelców i przed nią dwa działa.

Generał, jak tylko zoczył nieprzyjaciela, zawołał:

— Dalej za mną grenadierzy! Do ataku broń! — i sam z swymi adiutantami rzucił się na nieprzyjaciela.

Pułkownik znów swoim rozkazuje dać ognia i również leci ku stojącej kolumnie. Nieprzyjaciel, nie czekając naszego ruchu, dał do nas z dział ognia kartaczami, potem strzeliła kolumna z ręcznej broni.

Kompania grenadierska w swym postępowaniu naprzód na bagnety, obsypana gradem kul, na chwilę się wstrzymała, jednak dobywając sił wszelkich, jeszcze naprzód postąpiła.

Kłęby dymu z prochu zaciemniły światło dnia i nie dozwoliły widzieć nic przed sobą, krzyk tylko mocnego „hurra“ dał się wkoło słyszeć — wtem, gdy cokolwiek dym opadł, spostrzegamy generała leżącego już nieżywego z adiutantem jednym. Krukowiecki ranny w rękę i bok od karabinowej kuli, kapitan Hiż w rękę, kapitan Rajnicki w bok śmiertelnie, porucznik Hube w nogę, kapitan Konarski w rękę i porucznik Prek w plecy, żołnierzy do kilkunastu powalonych na ziemi. Ja tylko z adiutantem Kickim, którzy byliśmy na czele tychże grenadierów, szczęśliwym trafem jakimś ocaleliśmy.

Widząc nieprzyjaciel takie nasze straty i sądząc, że gdy już nie mamy na czele generała i pułkownika, będzie mógł nas zabrać do niewoli, całą kolumną ruszył na nas. Ja, jako najstarszy, zostawszy w tym całym oddziale, widziałem potrzebę, dla ochronienia od niewoli rannego pułkownika i drugich oficerów, oraz dla zebrania całego oddziału i uporządkowania go do nowego ataku na ośmielonego nieprzyjaciela, trochę w tył się cofnąć.

Wysławszy wszystkich rannych w tył, długi czas wstrzymywałem rzęsistym ogniem nieprzyjaciela, tak, że nie śmiał dalej za mną postępować, dopiero za nadejściem znacznej pomocy z wewnątrz miasta nieprzyjacielowi, naparty z przodu i boku, przemocy ustąpić musiałem, cofając się także do pułku 16-go piechoty, dowodzonego przez księcia Konstantego Czartoryskiego, który w odwodzie stał opodal na przedmieściu.

Z tym pułkiem znów naprzód poszedłem i nieprzyjaciela znów do miasta za-

gnaliśmy, uczyniwszy mu znaczną szkodę w zabitych i rannych. Bylibyśmy wielu mogli i do niewoli zabrać, ratował się jedynie tym nieprzyjaciel, że wszelkie domy za sobą zapalał, chcąc tym sposobem wstrzymywać naszą natarczywość, a tak wielu naszych i jego rannych popaliło się haniebnym i okropnym sposobem.

Stefan Macdonald, książę Tarentu
(według portretu Casanovy)

Tak zakończyło się nieporozumienie i taki to osobliwy pojedynek odbył się między tymi dwoma walecznymi oficerami, generałem Grabowskim i pułkownikiem Krukowieckim.

Pierwszy poległ przedwcześnie, choć mężnie, a drugi, lecząc się czas długi z odniesionych ran, przez całą tę kampanię roku 1812 czynnym być nie mógł. Gdyby nie ich nienawiść ku sobie, więcej by mogli być użytecznymi i może z skutkiem większym byłby ten atak poprowadzony, a tak przez chęć zemsty i obopólną ku sobie nienawiść zapomnieli, że mieli prowadzić do ataku tylu walecznych za sobą!

(Generał Roman Wybranowski)

CAMPO-FORMIO

(1797)

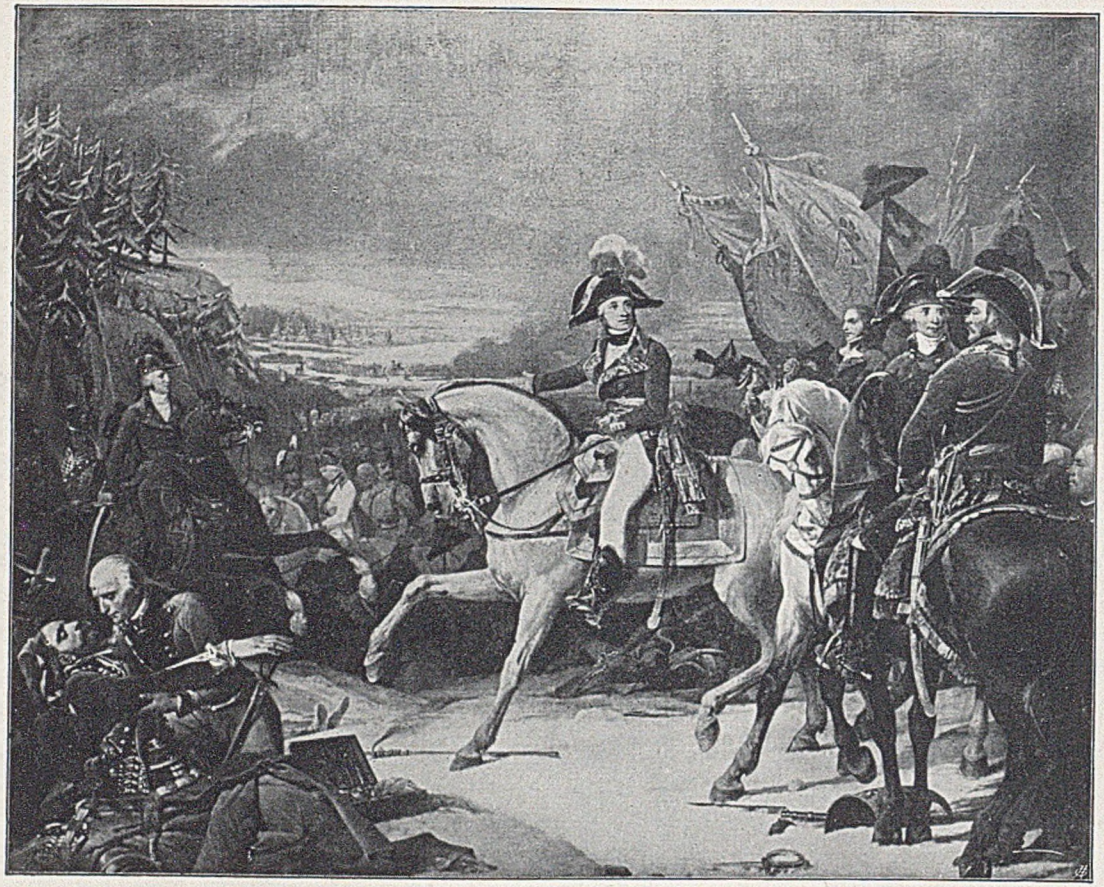

Bitwa pod Hohenlinden
(według obrazu Schopina)

W czasie kiedyśmy do Maestre przybyli, ruch był wielki z powodu przybycia do Legii wielu oficerów z kraju. Doniósł o tym Dąbrowski głównej kwaterze, stojącej pod Campo-Formio. Sułkowski odpisał, że jest życzeniem Bonapartego widzieć nowoprzybyłego generała i my natychmiast naszą przedsięwzięliśmy podróż.

Przybywszy do Passiniano, mundurem i czapkami różni między sobą, spotkaliśmy w surducie jadącego oficera, który nas spytał, skąd jedziemy i wskazał nam dokąd się mamy udać i czekać na generała en chef.

Weszliśmy na piętro do obszernej sali, mnogość generałów w kornej postawie oczekiwała z nami. Przy kominie dwóch adiutantów skądciś przybyłych osuszało mokre podróżne odzienia. Jeden z nich, widząc nasz mundur, zapytał generała Kniaziewicza o nazwisko i oświadczył, iż był pożądanym. Że adiutant ten po polsku mówił, zgadliśmy, że to był Sułkowski. Między zebranymi dostrzegliśmy i zagranicznych oficerów, bo ich nieznane naówczas we Francji ordery zdobiły, kilku było w albańskim i greckim stroju.

Naraz drzwi się otwierają, wchodzi Bonaparte — ten sam właśnie oficer, który nam pokazywał drogę przed chwilą i wskazywał dokąd się mamy udać.

Wódz, zimno przywitawszy zagranicznych i pozdrowiwszy generałów, wprost do Kniaziewicza się zbliżył i w głęboką framugę okna go wprowadził.

Z uszanowaniem ta część pokoju opróżnioną została przez zebranych.

— Wiem o ruchu u was — rzekł Bonaparte — świadczy go młodzież, przybywająca do legionów i wpan, który tu zjechałeś. Radbym dopomóc szczerze,

ale żadnej reprezentacji nie widzę, z nikim traktować nie mogę! Gdzież jest Małachowski, Sapieha, gdzie członkowie ostatniego sejmu, pragnąłem ich zebrać w Mediolanie.

— Nie wszyscy mogą przybyć — odparł Kniaziewicz. — Małachowskiego i Ignacego Potockiego widziałem w Karlsbadzie pod nadzorem austriackim, Sapiehę w Wiedniu, inni zapewne równego doznali losu.

— Wkrótce zawieszenie broni się kończy — mówił Bonaparte. — Postąpię do Węgier, które nas wzywają, równie jak Grecja i wyspy! — Widzisz tu wpan ich posłanników. Mogę brzeg Karpat opanować!

— Druga ich strona ruszy się sama.

— Dobrze! Lecz skądże broń, artyleria? Choć wprawdzie Turcy może nam je przesłać dozwolą, ale czy się to da w jednym czasie uskutecznić?

— Broń dostaniemy z rąk nieprzyjaciela — imię twoje dopomoże do zwycięstw.

— Poślę was w awangardzie a generał, który nią komenderuje, zrobi wasz przegląd, — z tą wiadomością wracajcie do swoich.

Po nas Bonaparte Greków i Węgrów przywoływał.

Kniaziewicz oddał mu list Hoch'a, przebiegł go Bonaparte oczyma.

— Na tego, to liczyć można, ja go szczególnie poważam!

Chwilę zatrzymaliśmy się w sali; pytałem o nazwiska zebranych osób. Byli tu Kleber, Dessaix, Bernadotte, Massena, Augereau, Murat i inni. Z cudzoziemców Kobenzel i austriaccy posłowie do zawarcia traktatu umocowani. Do tych ostatnich zbliżył się Bonaparte, cisnął papier, który trzymał w ręku, i na cały głos zawołał:

— Co to za warunki? Nie ma pokoju! Podyktujemy go w waszej stolicy!

Lekki szmer poszedł po sali. Każdy wierzył w nowe boje i w zwycięstwa nowe. W nas także żołnierska krew zawrzała, radzi byliśmy nowinę wojny jak najrychlej zanieść swoim.

Pospieszaliśmy z powrotem. Przyjazd nasz do legii był pełen nadziei. Zaraz gotować się zaczęto do zapowiedzianego przez Bonapartego przeglądu.

Było kim zapełnić szeregi oficerów. Ustanowiono komisję pod prezydenturą Wielhorskiego dla porządku w przyjmowaniu nowozaciężnych. Kniaziewiczowi dano komendę pierwszej legii, drugą rozpoczęto w Mediolanie. Pułk formu-

jący się artylerii pieszej dano Aksamitowskiemu, jeden batalion w Cuneo z Kosińskim, drugi w Mediolanie z Dębowskim zaraz rozpoczynać miały formację.

Za nami przyszedł rozkaz wyruszenia legii. W marszu dogonił nas Beregnedilliers. Towarzyszyła mu piękna żona, chcąca z nim dzielić przygody. Rewia

Jan Kleber
(według portretu Ansiaux)

przy niej coś czarującego miała; mówię to z faktów, bo Tremo, adiutant Dąbrowskiego, tak się w nią wpatrywał, że zapomniał, iż stał nad kanałem i wpadł z koniem w wodę; z trudnością został uratowany.

W ciągu marszu, co za zmiana! Jednego wieczora przylatuje adiutant Bonapartego z własnoręcznym jego listem.

— Ja pokój zawieram, zapewne krótkotrwały; wojsko nasze jest z żołnierzy austriackich złożone; na tę wiadomość może chorągwie swoje gotowe opu-

ścić. W chwili odebrania rozkazu ruszaj więc wpan forsownym marszem i aż w Bolonii się wstrzymasz i tym się sposobem ocalisz.

Generałowie potracili głowy. Puszczono krew Wielhorskiemu, zachorował Dąbrowski, Kniaziewicz z połowę swej energii utracił, legię jednak poprowadził.

W tym odwrocie żal mi było Wenecji nie widzieć. Dostałem urlop i pospieszyłem do niej.

W Wenecji słaby był garnizon i z naszych w części złożony, były to kompanie strzelców pod komendą majora Chłopickiego.

W mieście panował niepokój, garnizon stał pod bronią. W jednym prawie czasie dwa zdarzenia!

Zamknięto teatry, na placu świętego Marka nie puszczano nikogo, a równocześnie przeznaczeni do tego, z pomocą naszych żołnierzy spuścili konie na froncie kościoła stojące, trofea wielkiej sławy z pięknych czasów sztuki. Wenecjanie te konie w Konstantynopolu zabrali. Że niebezpieczeństwo groziło ze strony ludności, wszyscy oficerowie, których sprowadziła ciekawość, byli przy wojskowej, acz skromnej sile, która się na placu znajdowała. Zamknięto drzwi kawiarni w godzinach, w których najliczniej do nich się zbierano. Działa stały u wylotów ulic. Jak się to bez rozruchów obeszło, pojąć nie mogliśmy.

Wtem jakaś osoba znamienita przyszła z rozkazem, aby kilkunastu pewnych żołnierzy i kilku oficerów dać pod jej rozkazy, czego jeśliby nie spełniono, groziła najsroższa odpowiedzialność. Ciekawość tej tajemniczej wyprawy dała mi ochotę towarzyszenia jej.

Prowadzono nas do gmachu, gdzie władze rządowe miały posiedzenia, lecz tak ciasnym wchodem, że ledwie jeden za drugim mógł postępować. Oficer wprowadził nas do przedpokoju, w którym nie było nikogo, wymagając od nas, aby tego, kogo tu wprowadzi za chwilę, opanować, związać mu ręce w tył i wtrącić na schody, gdzie stali żołnierze, którzy go mają już sprowadzić do przygotowanej gondoli i dalej do zamku świętego Michała, na jedną z wysepek w Lagunie odwieźć. W przedpokoju było ustronne miejsce, w którym nas oficer umieścił, aby wychodzący przy otwarciu drzwi nas nie postrzegł. Oficer wyszedł z przedpokoju do sali. Niedługo zabawiwszy, wprowadził olbrzy-

miego wzrostu mężczyznę w płaszczu dyrektorskim i kapeluszu z piórami. Był to ubiór zwyczajny tych, co rząd najwyższy sprawowali. Gdy oficer drzwi zamknął za sobą, pomocy naszej zawołał. Wybiegliśmy z ukrycia, lecz że sala przyległa pełna była weneckiego żołnierza, straż przy Dyrektoriacie pełniącego, napadnięty zawołał na nią: „do broni!“ — i nas odpychał i do swoich przedrzeć się usiłował. Lecz nie dopuściliśmy go, a przybiegli żołnierze pomogli nam go ubezwładnić. Ten zaś, który nas przyprowadził, wbiegł do żołnierskiej sali i broń złożyć rozkazał, mówiąc, że zdrajcę biorą.

Poszedł więzień i niósł prawie na sobie tych, co go jak pijawki obsiedli, taka siła jego była wielka i postać olbrzymie.

Był on rodem z wysp Sklawońskich, myślał o zamieszaniu i ilość znaczną ludzi w tym celu dniem przedtem zgromadził. Dalszej jego historii nikt mnie pouczyć nie umiał.

(Drzewiecki Józef, oficer Legii Włoskiej)

EGIPT

(21 WRZEŚNIA 1798 ROKU)

Sułkowski Bonaparte
BONAPARTE W EGIPCIE (1798)
(według obrazu M. Orange)

Jadąc na wyprawę do Egiptu, Bonaparte wziął tylko do powozu żonę Józefinę, którą uważał jeszcze wówczas za swój talizman, a która ze swej strony pragnęła towarzyszyć dostojnemu małżonkowi aż za morze, lub przynajmniej do portu, w którym miał wsiąść na okręt.

Sztab główny udał się naprzód przed naczelnym wodzem do Tulonu, Sułkowski miał za towarzysza swej podróży Vanture'a tłumacza i sekretarza naczelnego wodza i od dawna swego serdecznego przyjaciela. Mieszkali oni w Paryżu na wybrzeżu Lunéttes, w domu sławnego zegarmistrza Brènta; z tego też domu ci dwaj przyjaciele wyjeżdżali pocztą, gdy na zwrocie z wybrzeża na most nowy (pont neuf), przed statuą Henryka IV, powóz ich łamie się i nasi podróżni zmuszeni są wrócić do domu.

Sułkowski przejęty najsmutniejszym przeczuciem, rzekł naówczas do pana Vanture. — Mój przyjacielu, my już nie powrócimy! My pozostaniemy w Egipcie!

A nawet gdy już pojazd został zreparowany i gdy do niego wsiadać mieli — Sułkowski śmiał się znów melancholijnie.

— Bądź zdrowa na zawsze Francjo! Lecz idźmy za naszym przeznaczeniem, powinność nas woła!

Niska ranga Sułkowskiego nie przeszkadzała mu wcale być wkrótce poznanym i ocenionym w armii egipskiej. Mianowany w Paryżu członkiem instytutu egipskiego w wydziale ekonomii politycznej, dał się w nim niedługo poznać, jako znakomity kołega ludziom tak już znanym w świecie naukowym, jak Kafarelli, Mange, Conté. Polecano mu nadzwyczaj ważne prace i przydawano go z panem Desgenette'm do komisji, pracującej przygotowawczo nad ułożeniem słownika arabskiego, któryby mógł ułatwić Francuzom możność porozumienia się w ich stosunkach z mieszkańcami Egiptu w przedmiocie zaspokojenia ich pierwszych potrzeb życia.

Sułkowski odkrył nad brzegami Nilu, pod Féraneh, popiersie Izys, a w ogrodzie tej samej wsi dwa kamienie bardzo ciekawe z hieroglifów na nich umieszczonych, których znaczenie sam wytłumaczył w sposób najzupełnie zaspakajający.

Opis drogi z Kairu do Szalehhych, który Sułkowski zostawił, jest nie tylko statystyką dla swego przedmiotu, lecz nadto częścią bardzo znakomitym przyczynkiem historycznym. Aż dziwić się trzeba, widząc tyle spostrzeżeń, faktów i świadomości wszelkiego rodzaju, nagromadzonych na dziesięciu kartach.

Prace literackie i ekonomiczne Sułkowskiego, będące wypoczynkiem powinności służbowych, zapełniłyby całkiem życie mniej strudzone działalnością.

Sułkowski brał najnieszczęśliwszy udział we wszystkich bitwach egipskich. Od wnijścia tam Francuzów nie było spotkania, w którymby nie był ranny. Przy oblężeniu Aleksandrii był po dwakroć zepchnięty z muru, tak że Bonaparte napisał wreszcie do Dyrektoriatu: — proszę o stopień szefa szwadronu dla obywatela Sułkowskiego, jako oficera najznamienitszych zasług.

W bitwie pod Szalehhych, 19 thermidora, Sułkowski na czele ataku, nakazanego przeciw mamelukom Hraluna-Beya, otrzymał osiem ran od pałasza i kilka od strzałów.

Szczęście aż dotąd czuwające nad nim wśród tylu niebezpieczeństw opuściło go teraz zupełnie. Zdawał się zbliżać do owej fatalnej chwili, którą Bonaparte w swoim raporcie do Dyrektoriatu o śmierci generała Muireur, jak mówi, zwykle dostrzegał towarzyszącą ludziom bliskim skonu.

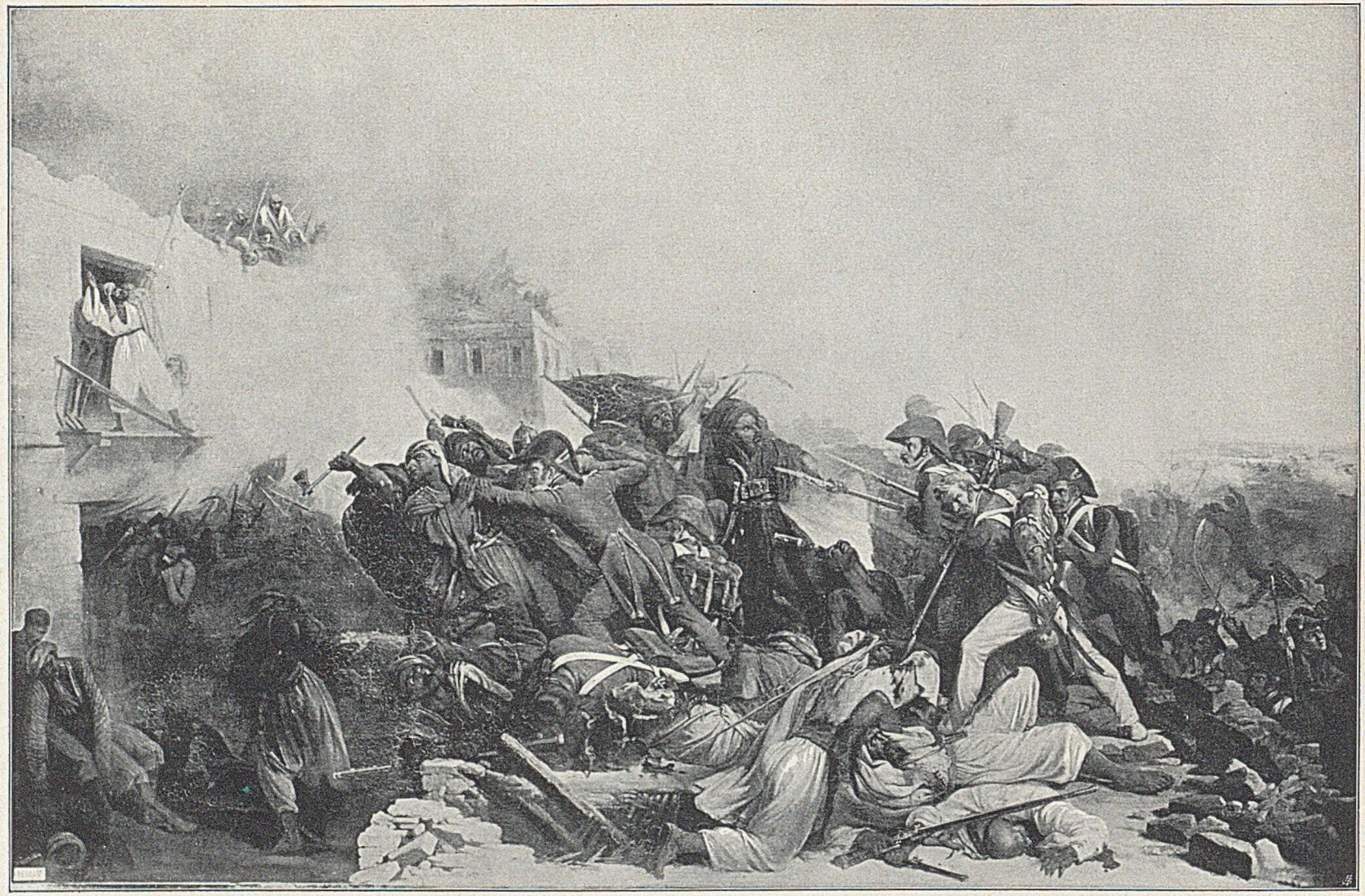

BITWA POD BENOUTH W EGIPCIE (8 MARCA 1799)
(według obrazu H. Langlois)

Dnia 30 Vendémiaire roku VII (1798) wybuchł w Kairze groźny rozruch, w którym generał Dupuy zginął. Następnego dnia Bonaparte, dowiedziawszy się, że Arabowie zbliżają się do Kairu w celu połączenia się z powstańcami, chciał poznać ruchy nieprzyjaciół, poczynające się za miastem. Sułkowski podjął się wykonania tego rekonesansu.

Opowiadali naoczni świadkowie, że Bonaparte dał Sułkowskiemu rozkaz w sposób absolutny, „gestem wschodnim", w którym wielu obecnych dopatrywało się zamiaru wysłania nieszczęśliwego adiutanta na śmierć.

Plastry z ran Sułkowskiego nie były jeszcze zdjęte. Jego przyjaciel i towarzysz podróży, poczciwy tłumacz Vanture, chciał go od tej wyprawy powstrzymać.

— Wygój się naprzód z ran! — mówił do niego ze łzami w oczach.

— Nieprzyjaciel nie czeka, trzeba iść naprzeciw niemu! — odparł Sułkowski z tą wrzącą niespokojnością, która uśmiecha się na widok bitwy, i ruszył spiesznie w towarzystwie piętnastu kawalerzystów ze straży przybocznej naczelnego wodza.

Powracając z rekonesansu, został Sułkowski napadnięty przez całą ludność przedmieścia i, gdy koń jego poślizgnąwszy się upadł, Sułkowski, ze wszech stron otoczony, na drobne części posiekanym został.

Cząstki ciała Sułkowskiego wierny jego sługa na miejscu zabójstwa wyśledzić ledwie zdołał. Ten poczciwy sługa opowiadał później, że, w chwili gdy koń Sułkowskiego upadł, Sułkowski, będąc już pastwą swych zabójców i nie widząc znikąd ocalenia, zawołał, podnosząc oczy ku niebu: — „Mój biedny Vanture!"

Nigdy Sułkowski nie mógł nad sobą panować i nie wstrzymywał nigdy swego zapału, gdy szło o rzucenie się na niebezpieczeństwo. Szczęk broni, dym armatni napełniał go jakimś urokiem; czuł się panem siebie, bo był nieporuszonym w ogniu; lecz ten nawet spokój był dopełnieniem skupionego uniesienia, prawdziwym upojeniem.

Bonaparte był na obiedzie w Kairze, gdy go wieść o zamordowaniu Sułkowskiego doszła. Wstał natychmiast od stołu, bez okazania najmniejszego wzruszenia. Mówił jednak potemu (a może mu się samemu zdawało), że płakał nad śmiercią Sułkowskiego. Później przecież, więcej szczery w podobnych zda-

rzeniach, gdy wielkie straty mogły mu dać sposobność okazania czułości czy wzruszenia, utrzymywał, że mu nie wolno płakać!

Bonaparte w swoim sprawozdaniu przesłanym Dyrektoriatowi wykonawczemu dodaje, mówiąc o Sułkowskim — był to młody człowiek, pełen wielkich nadziei — i nazwał jego imieniem jedną z cytadel, przy której znaleziono szczątki jego ciała.

(H. de St. Albin o Sułkowskim)

POD LIPSKIEM

(1813)

ZAŁAM WATERLOO (1815)
(według obrazu V. Checa)

Pod Wachau, dnia 16 października, szczególnie się odznaczył książę Poniatowski, a to przez szarżę kawalerii. Ułani polscy wzięli do niewoli generała austriackiego Meerfelda. Generała odprowadzono do Cesarza, rozmawiał z nim długo, znał go bowiem jeszcze z czasów włoskiej kampanii. Cesarz spodziewał się, że za pośrednictwem Meerfelda trafi do Cesarza austriackiego, i że generał wróci z propozycjami pokoju. Uwolnił zatem Napoleon Meerfelda i z poselstwem do cesarza Franciszka wyprawił. Poniatowski, którego Napoleon o tym powiadomił, rzekł: — *N'y croyez pas, sire, ile ne reviendra pas!*

Gdy potem Meerfeld nie wracał, Cesarz ozwał się do księcia Berthier: — *Poniatowski a eu raison Meerfeld ne revient pas.*

Tegoż dnia wieczorem posłał Cesarz księciu Poniatowskiemu buławę marszałkowską.

Generał Latour-Maubourg utracił w bitwie pod Wachau nogę.

Thiers znów w tomie XVI, str. 565 podaje, że nie Poniatowski, lecz grenadierzy gwardii pod generałem Curial wzięli do niewoli Meerfelda, a to fałsz.

Armia francuska, parta przez nieprzyjaciół, zatrzymała się dnia 15-go października pod Lipskiem na ogromnych równinach, o milę od tego miasta leżących.

Nie wspominam tu o różnych misjach, odbywanych przeze mnie i w dzień i w nocy bez wypoczynku prawie i to od wymarszu naszego z Drezna, ani o spotkaniu się moim z forpocztami nieprzyjacielskimi, ani o kilku strzałach, które za mną poszły. Ognie obozowe zwodzą w nocy i zupełnie zmieniają okolicę. Łuna, blask, ruch ludzi, wszystko to w nocy mami, tak, że trzeba wielkiej nieraz przytomności, by wrócić w nocy do miejsca, z którego się za dnia wyruszyło, szczególnie, gdy się jedzie polami.

Nastąpił dzień 16-go października, pamiętny światu!

Armia francuska, połączona jeszcze z wojskiem niemieckim, to jest z Sasami, Bawarczykami, Wirtembergczykami, Badeńczykami i Westfalczykami i korpusem polskim, zajęła pozycję około Lipska.

Od rana ogień armatni na całej linii zaczął się z obu stron. Opisywać tej bitwy nie będę i nie potrafiłbym, gdyż widziałem jedynie oddzielne potyczki to na prawym, to na lewym skrzydle, to w pobliżu Cesarza, stojącego na wzgórzu, a otoczonego całym sztabem, podaję więc to tylko, czego byłem świadkiem.

O jakieś tysiąc kroków od Cesarza była wielka cegielnia. Tam to bowiem Larrey, ów sławny doktór i chirurg naczelny armii, założył tak zwany ambulence, to jest punkt, gdzie opatrywano rannych, których liczne furgony zwoziły tu z całej linii bojowej, a szczególnie z centrum armii. Widziałem tam ku wieczorowi, nie przesadzam, kupę odciętych rąk i nóg ludzkich na jakie sześć łokci wysokości i odpowiedniej szerokości. Krzyk i jęk rannych był okropny. Kilkadziesiąt razy przejeżdżałem w pobliżu stodoły, więc napatrzyłem się i nasłuchałem tego ambulansu.

Książę Poniatowski był na prawym skrzydle, nad głębokim parowem. Armaty strzelały do siebie ze wzgórków, w dole stali tyralierzy.

Byłem wysyłany podczas bitwy do różnych korpusów z rozkazami.

Wojska niemieckie jeszcze tego dnia z nami trzymały. Nieprzyjaciel nie nacierał, lecz tylko się odstrzeliwał. Przy szarży, wykonanej przez Polaków, jak to wyżej zaznaczono, dostał się do niewoli generał austriacki Meerfeld, któ-

rego Cesarzowi przyprowadzono. Cesarz rozmawiał z nim długo, za czym odesłał go napowrót. Podobno dał mu cesarz polecenie przyjazne do cesarza Franciszka, lecz to się na nic nie zdało.

Dzień ten skończył się bez żadnej korzyści dla wojska francuskiego, tyle że się utrzymano na pozycjach.

Jan Bernadotte, książę Ponte Corvo, król szwedzki
(według obrazu Rincona)

Korpus polski poniósł niemałe straty.

Z moich znajomych ranny byli Kicki i Skórzewski, adiutanci księcia, Potworowski, adiutant generała Umińskiego, i Wężyk, adiutant generała Sokolnickiego. Drugi adiutant Sokolnickiego, Lascorin, został zabity. Kicki, ranny lekko, był jeszcze przy księciu, Skórzewski zaś, mając nogę strzaskaną od kuli, został przewieziony na taczce do Lipska.

Że na pozycji, zajmowanej przez księcia Józefa, nie wyginęli wszyscy, to

prawdziwy cud, bo można powiedzieć, że grad granatów i kul armatnich i karabinowych ją obsypywał.

Wojsko całe obozowało na pobojowisku. Cesarz nocował w Lipsku. Król saski z oddziałem swej gwardii pieszej, przybocznej także się tam schronił.

Trudno pojąć jak Cesarz, tak zawsze przezorny i wódz tak sławny, mógł wybrać lipskie pola na stanowisko do bitwy! Boć za sobą miał miasto z ciasnymi ulicami i błotnistą rzeczką Elsterą, na której był tylko jeden most. O innych mostach dla ułatwienia przeprawy nawet nie myślano. Tyle chyba, że bagażom, rannym i całemu niepotrzebnemu do bitwy taborowi rozkazano iść drogą ku Weissenfels i Erfurt. Wprawdzie i niewolnicy, wzięci pod Dreznem, od dawna byli ku Francji wyprawieni, ale też i Kozaków mieliśmy już za sobą, którzy napadali na transporty niewolników i odbijali ich. A ile nadto widziałem na drogach furgonów z amunicjami, spalonych przez krążące za armią oddziały partyzantów.

Jeszcze w dniu 16-ym, 17-ym i 18-ym października Lipsk był pełen wozów i bagażów, wlokących się jedną ulicą.

Miałem przy sobie do usług dwóch ludzi bardzo wiernych, dobrych i obrotnych. Kazałem im się trzymać zawsze ekwipażów cesarskich. Na moje szczęście wykonali moje polecenie i zawczasu przez Lipsk z rzeczami i końmi wierzchowymi się przedostali. Ja zostałem się przy jednym koniu, na którym owe trzy dni bitwy odbyłem.

Dnia 17-go spodziewano się nowej bitwy. Armie stały na pozycjach, aż nieprzyjaciel cofnął się był nieco i cały dzień spełzł na niczym. Zdawało się, że obie strony obawiały się zacząć. Nikt nie chciał dać pierwszego strzału armatniego.

Jakoż nieprzyjaciel miał po temu ważną przyczynę, bo oczekiwał na korpusy królewicza szwedzkiego i na austriackiego generała Colloredo.

Nad wieczorem kazał Cesarz ściągnąć armię ku Lipskowi i bliższe pozycje, bardziej skoncentrowane, zająć.

Dnia 18-go października z rana ryknęły armaty nieprzyjacielskie, francuskie działa odpowiedziały.

Tymczasem, rozpoczęta już poprzedniego dnia, częściowa dezercja wojsk niemieckich dobiegała końca.

Całe wojsko saskie i bawarskie przeszło do nieprzyjaciela. Artyleria zaś saska, przeszedłszy na stronę sprzymierzonych, tak szybko ku nam armaty swe zwróciła, że marszałek Macdonald i generał Reynier, którzy to wojska te mieli pod swoją komendą, musieli skoncentrować resztę oddziałów i pozycję opuścić.

Mój kolega i przyjaciel dawny, Roman Sołtyk, wysłany do Bawarów z rozkazami, jeszcze z rana został przez nich zatrzymany w niewoli. Reszta dnia zeszła tylko na ostrzeliwaniu i na wolnym cofaniu ku Lipskowi.

Do późnej nocy trwał ogień, a dokoła Lipska kule jakby w środek półkręgu padały.

W nocy już wojsko francuskie zaczęło maszerować przez Lipsk ku Weisenfels. Cesarz zaś, nazajutrz, dnia 19-go, około godziny dziesiątej rano, pożegnał się z królem saskim i jego rodziną i przez ową ciasną ulicę, przez którą cała armia przeszła, przejechał, z trudem przesuwając się między wozami, furgonami i armatami,, stłoczonymi w ulicy.

Przy królu saskim był w Lipsku (jako adiutant) generał Turno, czynny choć cierpiący na rany, odebrane pod Berezyną. Turno dostał się razem z królem do niewoli, jak również pułkownik Błeszyński i generał Paszkowski.

Ja się trzymałem świty i równie przejechałem aż za most na Elsterze. Tam Cesarz zsiadł z konia i wszedł do małego domu, znajdującego się tuż przy moście, po lewej ręce. Tu zastałem czekających na mnie służących, z czego ucieszyłem się niemało. Zmieniłem konia i czekałem co dalej.

Wojsko tymczasem francuskie, a nawet i artyleria maszerowała przez most bez ustanku. Od strony Lipska zbliżać się zaczęły gęste strzały.

Korpusy marszałka Macdonalda, Lauristona, Reyniera i księcia Poniatowskiego były jeszcze w Lipsku i broniły się w przedmieściach. Dąbrowski walczył na przedmieściu Hallskim.

Most na rzece Elsterze, bardzo mały, o jednym łuku, był podminowany i zupełnie niepotrzebnie. Na tak mało znaczącej rzeczce, przez którą w godzinę można rzucić most drewniany, most podminowanym być nie powinien, bo nieprzyjaciela zatrzymaćby i tak nie zdołał. Nieprzyjaciel bowiem otaczy miasto tak przemagającą siłą, że mógł bądź wpław, bądź po innych mostach za miastem rzeczkę przebyć i maszerować ku Weissenfels dla przecięcia nam drogi. I tak się stało.

O podminowaniu mostu nie wiedziałem. Postrzegłem tylko stojący przy moście oddział saperów z oficerem.

Podczas właśnie książę Poniatowski przyjechał na karym koniu z jednym oficerem, lecz nie pamiętam którym, i ordynansem do Cesarza.

Książę pozdrowił mnie uprzejmym ukłonem głowy i zapytał, gdzie jest Cesarz. Wskazałem mu. Książę zsiadł z konia i poszedł do Cesarza na piętro domku. Ja zostałem w sieni. Po chwili książę zeszedł i podaną mu przez ordynansa fajkę chciał zapalić. Postrzegłszy to, wpadłem do kuchni gospodarza, chwyciłem obcęgami za węgielek i na fajkę (stambułkę) księciu włożyłem.

Książę podziękował mi uprzejmie słowami:

— Dziękuję ci, bywaj zdrów!

Za czym na konia siadł i napowrót jął się przeciskać przez tłok ku Lipskowi.

Twarz księcia była blada i widać na niej było smutek i ponurość. Postawa jednak księcia wspaniale determinowana, była znakomitą.

Poniatowski miał wówczas na sobie mundur generalski polski, spodnie szare z lampasami karmazynowymi, gwiazdę Legii Honorowej i wojskowego krzyża, kapelusz stosowany i burkę, którą trzymał ordynans, bo ją książę zdjął, wchodząc do Cesarza.

Już więcej tego bohatera naszego nie widziałem, lecz mnie to do dziś dnia cieszy, żem mu podał ognia do ostatniej fajki, którą wypalił.

Cesarz powierzył księciu dowództwo całej ariergardy. Poniatowski miał, broniąc się na tyłach, dać czas wojsku, pozostałym jeszcze a licznym ekwipażom wojskowym i artylerii rezerwowej do przejścia przez miasto i most.

Cesarz miał się podobno odezwać wtedy o swych marszałkach:

— *Ils sont tous démoralisés, hormis Poniatowski.*

Po odjeździe księcia Józefa, Cesarz dosiadł konia i na szosę ku Weissenfels zawrócił. Nie ujechał atoli nawet mili, gdy już dogonił go oficer, donosząc, że most na Elsterze został wysadzony w powietrze, wskutek czego rejterada tylnej straży została odcięta.

Za oficerem tym nadjechał generał Lauriston i marszałek Macdonald, którzy wpław przebyli Elsterę, z wiadomością, że książę Poniatowski, ciężko ranny, dostał się do niewoli.

Rozdanie orłów
(według obrazu Davida)

Cesarz zatrzymał się. Tymczasem wiele jeszcze wojska, szczególnie piechoty, nadciągało, lecz już w wielkim nieładzie.

Generałowie książę Sułkowski, Krukowiecki i Sokolnicki i inni złączyli się z armią, a za nimi mnóstwo oficerów, którym także się udało przeprawić. A najwięcej było między nimi Polaków, bo ci, gdy wojska nieprzyjacielskie maszerowały, a obrona była niepodobną, starali się doścignąć armię francuską.

Hrabia Artur Potocki minął się był z księciem Józefem czyli też przez niego wysłany do nas przybył. Gdy jednak Potocki dowiedział się, że książę jest w niewoli i ranny, prosił Cesarza o pozwolenie powrotu, by przy Poniatowskim być.

Kicki, adiutant księcia, dostał się do niewoli, Szydłowski, także adiutant, kulą na wylot przeszyty, także do niewoli poszedł. Skórzewski, jak już wyżej wspominałem, od d. 16-go leżał w Lipsku. Więc przy księciu żadnego nie było adiutanta prócz oficera sztabu Blechampsa.

Wielu generałów naszych rannych i wziętych do niewoli zostało w Lipsku. Gdy generała Umińskiego przyprowadzono Blücherowi, ten powitał go uprzejmie, bo go znał z lat przed 1806 r. Grywali ze sobą w Berlinie i birbantowali. Blücher lubił grę w karty, równie jak i Umiński.

Generał Greismann, szef sztabu Blüchera, widząc, że ten podaje Umińskiemu rękę, odezwał się do Blüchera:

— *Wie können Ihre Excellenz den durch seine tolle Streiche so bekanntem Umiński Ihre würdige Hand reichen?*

Umiński odciął się śmiałą odpowiedzią, lecz i na tym się skończyło.

Adiutant Umińskiego, Potworowski Edward, jak rzekłem, leżał ranny w Lipsku, i to w jednej ze Skórzewskim stancji. W sztabie księcia nie bardzo tych dwóch oficerów lubiano. Zazdroszczono Skórzewskiemu, że był adiutantem Poniatowskiego. Koteria paniczów warszawskich intrygowała bardzo dokoła księcia Józefa, który miał mimo to słabość ku dawnym znajomym. Skórzewski zawdzięczał tę dostojność swej odwadze i pilności w służbie jako adiutant generała Fiszera, przy którym całą kampanię z 1812 r. odbył i przy którym pozostawał aż do zgonu generała pod Winkowem.

Potworowskiego chciał książę Poniatowski także adiutantem swym zrobić. Potworowski był przystojnym. Wiadomym było o nim, że mimo woli ojca wstąpił do wojska polskiego, a choć ranny pod Smoleńskiem, nie chciał zostać w domu. Ojciec chciał go potem, w r. 1817, do pruskiego wojska namówić, lecz nie zdołał. Potworowski miał przy Umińskim ciężką służbę.

Nie lubiono zaś Potworowskiego ogólnie dla jego niesłychanej zarozumiałości i gwałtownego charakteru.

Gdy o swych kampaniach mówił, chciał przekonać, że nigdy bojaźni nie czuł.

— *Je ne sais pas ce que c'est que la peur. Je ne connais pas ce mot, ce sentiment!*

To była zwyczajna mowa Potworowskiego, wyraźna fanfaronada! Przecież sam Napoleon, który pewno był odważny, jak mało kto, powtarzał:

— *Un soldat, qui dit qu'il n'a jamais eu peur, est un fanfaron et manteur.*

Potworowski dobrze służył, lecz nigdy nie lepiej od wielu innych, i nigdy

się przez czyn znakomity, *action d'éclat*, nie odznaczył. Czynił swą powinność, jak oficer honorowy i jak każdy ją czynił.

Ta fanfaronada i zarozumiałość nie opuściły go i później, przeto też nie był nigdy lubiany ani przez kolegów, ani od postronnych. Pychę nadto miał i ambicję niepomierną, *une marque de parvenue.*

Służył później Potworowski znów od r. 1815 do roku, zda mi się, 1827 w wojsku w Warszawie, lecz nie mógł wyżej jak do kapitana awansować. A w końcu dla tej swej zarozumiałości zrobił się *ridicul* i dymisję wziął.

Pewnego razu, na licznym zebraniu u księżny Zajączkowej zabawiano się w gry. Przy fantach zapytano z kolei Potworowskiego.

— *Que voudriez vous avoir fait dans votre vie?*

Potworowski odrzekł z wielką przesadą:

— *Je voudrais avoir sauvé ma patrie!*

A na to księżna Zajączkowa zauważyła ze złośliwym urąganiem:

— *Les oies ont bien sauvé le Capitol!*

Jednak Potworowski nie był głupim. Pewnie mało miał nauki, mało był oczytany, ale nie głupi. Zawsze był on człowiekiem honorowym i godnym. W karty nikt z nim grać nie chciał, bo bywał grubianinem. Pojedynków jednak nigdy nie miał i umiał ich zgrabnie unikać, choć za nieustraszonego pragnął uchodzić.

Spod Lipska tymczasem w otoczeniu Cesarza coraz smutniejsze wieści się rozszerzały, aż na koniec nadeszła wiadomość o zgonie księcia Poniatowskiego. Książę, po dwakroć ranny, skoczył w Elsterę, w miejscu błotnistym i tam wraz z oficerem sztabu, Blechampsem, utonął.

Tu dopiero wydało się, iż oficer, któremu polecono ów mały most na Elsterze wysadzić, gdy się wojsko nasze przeprawi, a nieprzyjaciela nadciągającego zobaczy, zdał komendę podoficerowi. Podczas strzelcy celni pruscy czy rosyjscy, skradając się przez ogrody i mury, dotarli owego mostu w chwili, gdy jeszcze wojsko nasze biło się w Lipsku i broniło bram, i zaczęli do saperów strzelać z dala. Saperzy, widząc to, a sądząc, że nadeszła pora, aby most wysadzić, zapalili minę prochu. Mina wysadziła most, a saperzy zwrócili za armią.

Na tę wieść, która się błyskawicznie po mieście rozeszła, zrobił się francu-

ski *un sauve qui peut*, czyli że taki przestrach i popłoch walczące wojsko ogarnął, a nieład taki powstał, że nie do rejterady, lecz w rozsypkę poszło wszystko.

Granaty i kule, padające do miasta, powiększały jeszcze ten popłoch. Wojska nieprzyjacielskie tymczasem otoczyły Lipsk i odcięły zupełnie odwrót. Co wojska było w mieście, dostało się do niewoli, liczą, że przeszło 20.000 ludzi, a z nimi mnóstwo armat, amunicji, wozów i t. d.

Tak się skończyła owa trzydniowa walka, prawdziwa walka ludów.

(Józef Grabowski, oficer sztabu Napoleona I)

BUTY

(1797)

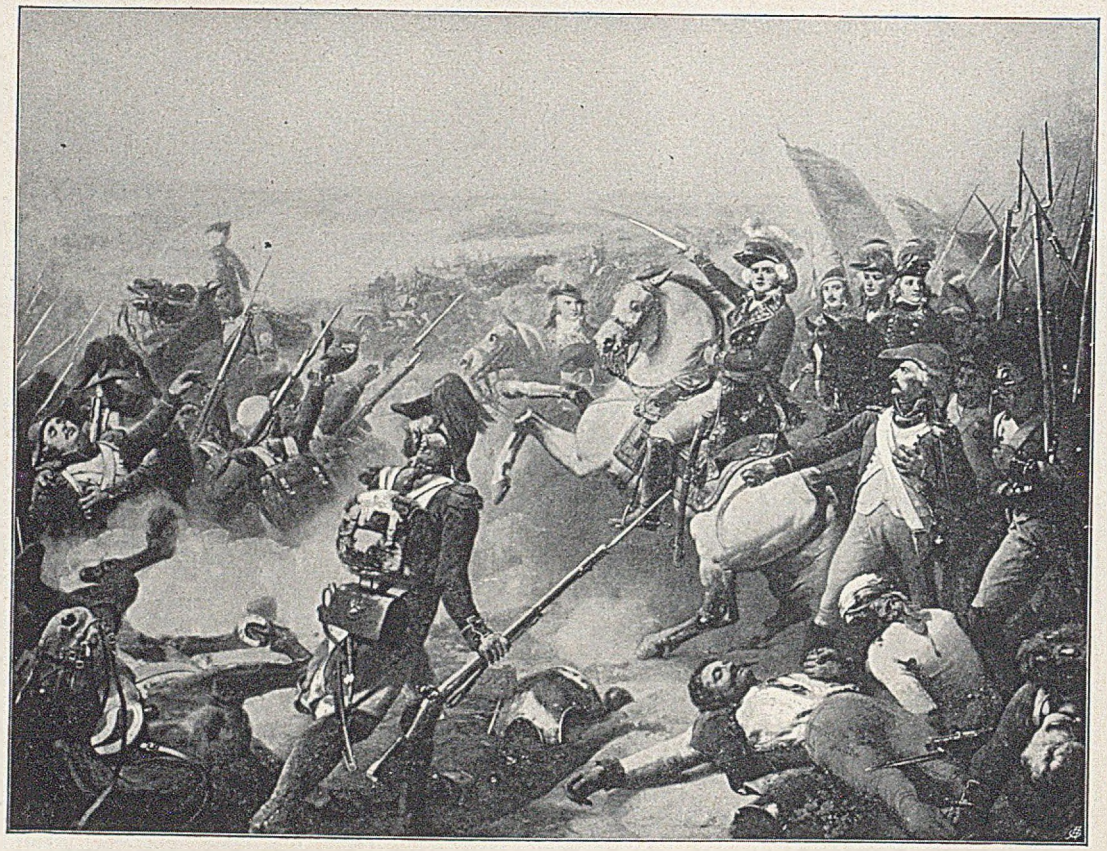

Bitwa pod Fleurus
(według obrazu Mauraissa)

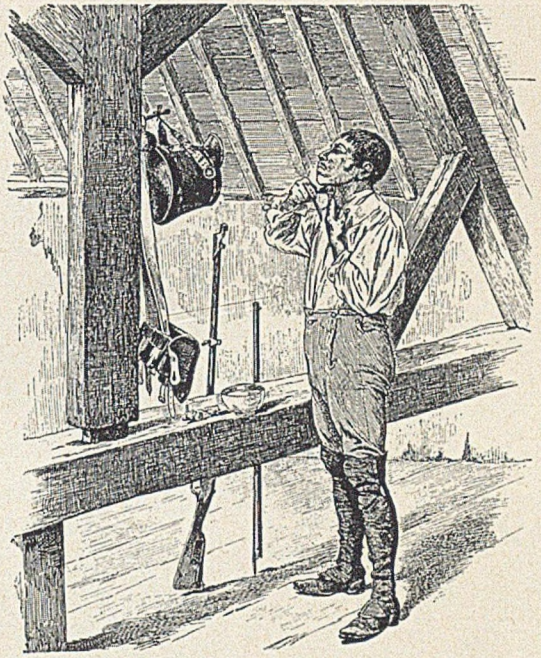

Potem szło w Falzburgu przedsięwzięcie nasze. Zwycięstwo pod Zurich dało naszym wysłańcom wielką łatwość werbunku.

W Palatynacie przechadzał się książę Karol, a jego dezerterzy powiększali naszą liczbę.

Szło dobrze co do ludu, lecz mały zasób środków ze strony rządu, wielkimi natenczas wydatkami na armię włoską obciążonego, opóźniał urządzenie się. Jużeśmy mieli wyżej dwóch tysięcy ludzi, kiedy jeszcze mundurów, koszul i trzewików nawet nam nie dostawiono. Często żołnierze, aby się z koszar za dnia wychylić mogli, w kołdry się swoje obwijali. Wkradały się choroby skórne, rozszerzały nawet potężnie, a lazaret nie dostarczał środków leczniczych ani zapobiegawczych. Miejscowi obywatele byli nam przychylni i pomagali bielizną, lecz to miasteczko było małe i ubogie.

Był tam urzędnik cywilny Parmentier, który nas szacował i ze swej strony przedstawiał położenie nasze. Słowem, w ciężkich dość obrotach mieliśmy przynajmniej współczucie mieszkańców. Ale nam materialnych pomocy brakło i to aż rodziło obawę, aby kto o dezercji nie pomyślał.

Bitwa pod Marengo
(według starego sztychu)

W takim stanie rzeczy postanowiono nas do Metz przenieść. Dla ułatwienia marszu przysłano jakieś kurteczki, któreby później pod mundury służyć mogły, dostarczono zaś płóciennych spodni i trzewików tyle tylko, co ledwie dwom częściom obułyby nogi — i tak nam przejść do Metz polecono podczas zimowej pory i ostrej grudy na drogach.

Ponieważ część koszar i służby mnie powierzona była, tedy ja ich prowadzić miałem. Tymczasem ledwie zebrali się na placu—już narzekanie powszechne.

Wyszedłem przed front — udają się do mnie — „my bosi!...“

Wezwałem najbliższego ze skarżących się i kazałem się rozzuć. Za czym rzekłem mu.

— Wzuj moje buty, mam jedne i te są twoje, lecz pełń twoją powinność!

Zakomenderowałem i, sam przed frontem boso idąc, wprędce od grudy do krwi nogi pokaleczyłem.

Żołnierze buty moje odebrali towarzyszowi — lecz ich nie przyjąłem. A natomiast zebrałem skrzypków, dudziarzy i wszystkich, których po koszarach grających widziałem, rozstawiłem, aby grali i nie tylkośmy nasz marsz pomyślnie zaczęli, ale po dniach kilkunastu w Metz bez dezerterów stanęli.

(Drzewiecki J. oficer Legii Włoskiej)

Franciszek Kellermann książę Valmy
(według portretu Ansiaux)

BAJONNA

(1808)

Stanąłem w trzy dni w Bajonnie, właśnie kiedy król hiszpański, stary Karol IV, z królową i księciem pokoju (Godoy) wyjeżdżał do Valencay, gdzie ich cesarz osadzał. Wyjechał był z swego kraju król Karol po rewolucji w Aranjuez, która go tronu pozbawiła i koronę na głowę jego syna, Ferdynanda, włożyła. Cesarz zaprosił także Ferdynanda do Bajonny, nie uznał go królem i do Valencay również odesłał. Później króla Karola z królową i z tytułowaną królową Erturii usunął stamtąd na mieszkanie do Włoch. W Valencay sam Ferdynand pozostał.

Cesarz z cesarzową mieszkali w zamku Marac, o ćwierć mili od miasta, na drodze do Pampeluny. Nie duży to był dom. Sala dość obszerna w środku, do której się wprost z dworu, bez sieni i przedpokoju, wchodziło, służyła za salon dla nas służbowych oficerów. Z jednej strony były dwa pokoje, w pierwszym mieszkał cesarz, w drugim jadał z cesarzową, z drugiej strony także dwa przez cesarzową zajmowane. Na górze mieszkały damy honorowe, Lectrices, jedna Włoszka, dwie Irlandki, a na przeciwko nich garderobiane. Marszałek Berthier, szef sztabu całej armii, marszałek Duroc, arcybiskup Mechliński

(Pradt, kapelan cesarski), minister, sekretarz stanu Maret, minister zagranicznych spraw Champagny, adiutanci, generałowie Mouton, Durosnel, później generał Bertrand i pan Senfft Pilsach, poseł saski, którego cesarz bardzo lubił, (była z nim żona, bardzo miła i rozumna osoba, choć trochę głucha), mieszkali w pobliżu po domkach, należących do kupców z Bajonny.

Przed samym zamkiem stał batalion grenadierów starej gwardii pod namiotami, tak blisko, że tylko powóz mógł przejechać. Tuż obok stało także 200 Basków z gór pirenejskich, którzy byli dla cesarza gwardię honorową utworzyli. Ubiór ich stanowiły spencerki pąsowe, czarne, krótkie spodnie, na głowie mała czapeczka wełniana, granatowa. Bardzo to piękny, żwawy lud, podobno doskonali strzelcy. O 500 kroków dalej, na pampeluńskiej drodze, stał szwadron szwoleżerów naszych pod dowództwem kapitana Dziewanowskiego. Ile razy cesarz czy konno czy powozem wyjeżdżał, 25-ciu naszych i oficer stanowiło eskortę.

Furier pałacu przeznaczył mi kwaterę u pana Taubin, starego kapitana okrętu, bardzo dobrego człowieka, którego dom stał zaraz na początku miasta, przy bramie zwanej hiszpańską. Miarkując, że w Hiszpanii będziemy mieli do czynienia, wziąłem natychmiast nauczyciela języka hiszpańskiego, który co dzień do mnie o 6-tej z rana przychodził, o 8-mej bowiem musiałem już być na służbie. O tej godzinie, równie, jak wszyscy oficerowie, adiutanci, wchodziliśmy do pierwszego pokoju cesarza. Dawał on wtedy rozkazy na ten dzień, co trwało 5 lub 10 minut. Potem siedzieliśmy w salonie i każdy zatrudniał się jak chciał, póki go cesarz wpuścić do siebie nie każe. Prawie wszyscy czytali lub rozmawiali. Ja grywałem często w szachy z szambelanem Bondy. O godz. 11 szliśmy na śniadanie do marszałka Duroc, który stał w domu najbliższym zamku, i powracaliśmy zaraz potem do salonu, gdzie wśród dnia przebywało bardzo wiele osób. Ministrowie z ogromnymi tekami czekali tam, aż cesarz jednego po drugim do siebie nie przyzwał. Arcybiskup Pradt część dobrą dnia w salonie przebywał i zawsze wiele ciekawych anegdot miał do opowiadania. Przybywało także co dzień wielu oficerów i kurierów z rozmaitych stron. Tych cesarzowi meldował generał adiutant, a kiedy tego nie było w salonie, jeden z nas go zastępował.

O godz. 3-ciej lub 4-tej przed obiadem, który był regularnie o 6-tej, cesarz

Bitwa pod Friendlandem
(według obrazu Horacego Verneta)

zwykle wyjeżdżał konno lub powozem z cesarzową, najczęściej nad morze, ku Biarritz. Bardzo tam piękne położenie. Jechał wtedy tylko koniuszy przy powozie, a za powozem naszych 25 szwoleżerów z oficerów.

O godz. 6-tej bywał obiad. Cesarz sam z cesarzową jadał, a często z nim książę Neufchatelu (Berthier). Wieczorem schodzili się wszyscy do salonu cesarzowej. Cesarz w niektóre tylko dnie tam przychodził. Czasem, chodząc, rozmawiał i wtedy prócz dam wszyscy stali. Cesarz znów usiadł i nam wszystkim siąść kazał. Jednego dnia wszedł z książeczką w ręku i rzekł: „Bardzo to nudne, nawet poczciwego romansu napisać nie umieją, nie mam nic do czytania“ — i rzucił książeczkę na krzesło. Dziwnym zdawać się może, że ten człowiek miał czas czytać powieści. Najlepszy to dowód, że machinę całą doskonale urządził.

Na niektórych wieczorach grano w karty, w grę zwaną krebs. Nikt zwykle nie wygrywał ani przegrywał, choć tylko złoto było na stole. Łatwo pojąć, że nikt tam nie grał dla pieniędzy, i że wszyscy grali z roztargnieniem. Jednego wieczora jednak wygrałem kilkadziesiąt napoleonów i prawie nieprzyjemnym mi to było, choć niezawodnie więcej uwagi na grę nie zwracałem, jak wszyscy przytomni. Cesarzowa tylko zawsze wygrywała. Zapewne wiedząc, że ją to bawi, wielu przez grzeczność przegrywało. Nigdy jednak pieniędzy wygranych nie ruszyła, gdy odchodziła zwykle przed 12 godziną. Nie wiem, co potem z nimi się działo. Skoro cesarz i cesarzowa ruszyli się, wszyscy także odchodzili.

Wkrótce wysłał mnie cesarz z rozkazami do Hiszpanii. Wyjechałem i przed nocą stanąłem na koniach pocztarskich nad małą rzeczką Bidassoą. Tu cała kraina inna, i ludzie inni. Nie ma podobno w Europie granicy, któraby tak odrębne dwa kraje oddzielała. Wszędzie zmiana stopniowa, tutaj nagła. Z jednej strony Bidassoi lud mały, wesoły, żwawy, z drugiej rosły, poważny, posępny. Z tej strony domki porozrzucane, ogródki wesołe, prawie na płaszczyźnie, — z tamtej miasto Irrun z kamienia ciosowego zbudowane, przed nim widok wysokich gór, w które zaraz za miastem wjeżdża się wąwozami, prowadzącymi z góry na górę aż pod Vittorię, 33 leguas hiszpańskich, około 24 mil naszych.

Pocztylion, Hiszpan, w szerokim płaszczu, ruszał galopem przede mną. Koń jego miał pełno na łbie dzwonków, więc w nocy, chociażbym go i nie widział przed sobą, to zawsze go słyszałem. Konie pocztowe hiszpańskie doskonale noszą i galopują czy pod górę, czy z góry, tak, że się ujedzie dwie i pół mili na godzinę. Stanąłem w Vittorii nad ranem, w Burgos z południa, a w Madrycie na drugi dzień, ale już nie czułem członków i prowadzić mnie musiano do marszałka, bom się na nogach utrzymać nie mógł.

Po opowiedzeniu mu rozkazów odprowadzono mnie do stancji, w której dobre bardzo łóżko było, dano mi służącego, sami adiutanci pomogli mi się rozebrać, ale tak mi nogi nabrzmiały, że butów nikt ściągnąć nie mógł, musiano je rozerżnąć, chociaż w Bajonnie wybrałem najszersze. Spać pierwszej nocy nie mogłem, miałem gorączkę w całym ciele, lubo członków nie czułem. Ale myśl była wyraźna i bardzo przytomna, a zdawało mi się, że się głowa

karku nie trzyma. Po drodze nic jeść nie mogłem, tylko drugiego dnia pić mi się chciało i piłem prawie na każdej poczcie wodę z cukrem. Drugiego dnia pomagano mi wsiadać na koń, bo już sam nie mogłem. Dopiero po drugiej nocy, którą przespałem, pozwolono mi pójść do kąpieli, po czym zjadłem dobre śniadanie i byłem gotów jechać napowrót, ale mnie kilka tygodni zatrzymano.

Spotkanie w Tylży (1807)
(według obrazu barona Grosa)

Opisałem tutaj tę podróż, ażeby młodzi, jeśli im zdarzy się jechać wciąż na pocztowych koniach kilka dni i nocy, wiedzieli, że trzeba mieć buty bardzo szerokie, strzemiona jak trepki drewniane, kulbakę długą z roweczkiem na wierzchu. Nie należy też jeść wiele przed wyjazdem. W drodze i tak się nie chce. Kiedy się jedzie w porze bardzo gorącej i w dzień sucho w gębie się czuje, trzeba mieć przy sobie małą buteleczkę wódki francuskiej, koniaku, i gębę nią popłukiwać, ale nie połykać. Każdy mocny trunek pomnożyłby go-

rączkę, która jest nieuchronną po 48 godzinach jazdy. W upał pić wody także nie trzeba, żeby się nie pocić i nie słabnąć. Tylko płucząc gębę wódką, odświeża się i pokrzepia człowiek.

(Chłapowski Dezydery, generał)

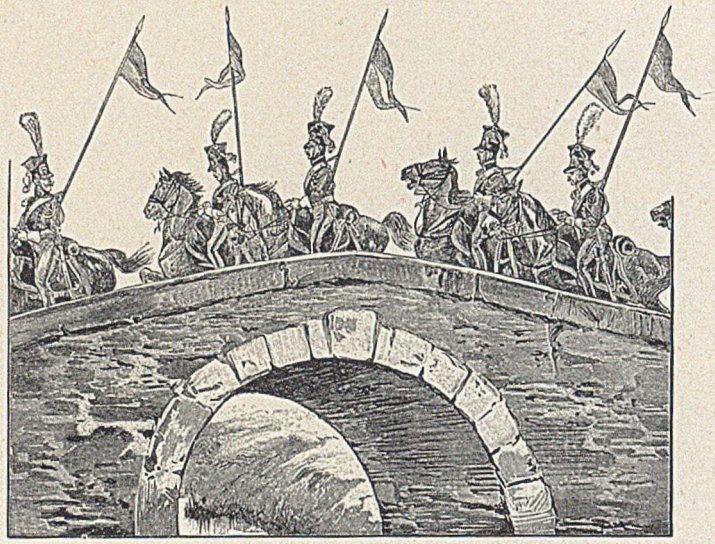

POJEDYNEK

(1795)

BUNT W PAWII USMIERZONY (1795)
(według obrazu E. Boutigny)

Wielu różnymi sposobami dostawało się przez Lwów na Wołoszczyznę, a ja z kilku oficerami przeprawiłem się niedaleko okopów św. Trójcy, i udałem się do wsi Filipowców, do kraju tureckiego już należącej; w tej zastałem wicebrygadiera Deniskę, majora Marchockiego i kilku oficerów z sześćdziesięciu żołnierzami; dali mi arnauta jednego, który przeprowadził mnie do głównej kwatery Ksawerego Dąbrowskiego.

Za przybyciem do tegoż, do Bukaresztu, złożyłem listy od osób znanych mu, bo mało miałem z nim zażyłości, widziałem go tylko dwa razy: raz, kiedy był delegowanym do króla, drugi raz kiedy przyjeżdżał z doniesieniem o zabranych amunicjach pod Włocławkiem.

Ten przyjął mnie uprzejmie, dał mi kwaterę w domu, gdzie razem z sekretarzem legacji francuskiej panem Montal mieszkał, potem rzekł do mnie: jesteś, podpułkowniku, daleko starszym ode mnie w służbie, w wieku i zasługach; może cię to obrażać będzie, że mnie wyżej postawiono, nie chciałem tego, lecz tak wypadła dyspozycja wyższa.

Prawdę powiem, że w duszy cierpiałem na tym, że tak młody człowiek, który zaledwie wąsa dostawał, był położonym, nie już nade mnie, bom o sobie wiele nie rozumiał, ale nad wielu starszych. Lecz po dwumiesięcznym

z nim przebywaniu przekonałem się, że wart był tego zaufania. — Mówił on po francusku, tak jak rodowity Francuz, po niemiecku, po łacinie i dość zrozumiale po turecku i po mołdawsku; przy tym widziałem go być tak determinowanym, że za nic uważał swe życie, kiedy szło o dokonanie najmniejszego przedsięwzięcia; przekonałem się w kilku okazjach, a szczególniej, gdy przy obiedzie u księcia Moruzzi oficer inżynierów francuskich Dessaix, mając za wiele wina w głowie, zaczął robić żarciki z Polaków, do czego zastosował kilka wyrazów, które o konfederatach barskich napisał generał Dumuriez, kończąc na tym, że gdyby Polacy byli odważnymi, toby nie upadli.

Dąbrowski lubo nader żywy, — wolno jednak starał się uspokoić oficera francuskiego o jego mylnej opinii, skąd przyszło do mocnych sporów, wreszcie wyzwał Francuza na pojedynek.

Ja i pułkownik Jabłonowski wyjechaliśmy nazajutrz z naszym dowódcą na plac, za miastem, niedaleko altany księcia panującego, tam zastaliśmy już oficera wyzwanego.

Po odmierzeniu dwunastu kroków, Dąbrowski dał pierwszy strzał oficerowi francuskiemu, który go ranił w nogę, po czym Dąbrowski strzelać nie chciał, mówiąc, że nie szuka krwi obrońców wolności, lecz przymuszony, aby koniecznie strzelił, wystrzelił nieznacznie w górę, aby chybił (coby nie nastąpiło, bo doskonale z pistoletów strzelał). Uważał to dobrze oficer francuski, skoczył i ucałował Dąbrowskiego, którego potem nieodstępnym stał się przyjacielem, — ten czyn przywiązał mnie i innych, którzy o tym wiedzieli, do niego.

(Kosmowski Stanisław, podpułkownik)

KOZAK MAKSYM I JÓŹKO

Bitwy, stoczone w roku 1809 pod Górą, Raszynem, Toruniem i Sandomierzem przez wojsko austriackie z garstką wojska polskiego, zostającego pod komendą księcia Józefa Poniatowskiego, przekonały arcyksięcia Ferdynanda, naczelnego wodza wojsk austriackich, że wszelkie usiłowania jego były daremne, ażeby cały naród polski, oraz wojsko byłego Księstwa Warszawskiego można było od powinnej wdzięczności dla Napoleona odwieść i na swą stronę przeciągnąć.

Straciwszy do kilkunastu tysięcy w zabitych, rannych i w niewolę wziętych, z resztą wojska pozostałego wódz austriacki spiesznym marszem dążył ku Krakowowi, aby stamtąd mógł temci łatwiej połączyć się z armią arcyksięcia Karola, który, po wkroczeniu wojska francuskiego do miasta stołecznego Wiednia, mógł jego pomocy potrzebować. Książę Józef, zostawiwszy potrzebną załogę w Sandomierzu i wysławszy oddział ku Lwowu, sam pospieszał za arcyksięciem Ferdynandem ku Krakowowi. Podówczas w całej Galicji, oprócz małych korpusów austriackich generała Meerfelda i Bikinga, a polskich generała Kamińskiego i podpułkownika Strzyżowskiego, znajdowało się wojsko rosyjskie w liczbie 100.000 pod komendą generała księcia Golicyna i rozprze-

strzeniło się w obydwóch Galicjach, tuż następując za wojskiem polskim; wojsko to rosyjskie szło na pomoc Napoleonowi.

Książę Józef, podstąpiwszy pod Kraków, znalazł w tym mieście tylną straż arcyksięcia Ferdynanda; generał austriacki tam będący, zaczął się układać z księciem Józefem o wydanie tego miasta w ręce wojska polskiego, lecz podczas tych układów dał znać najbliżej stojącemu z wojskiem rosyjskim generałowi Siewersowi, ażeby ten jak najspieszniej do Krakowa przybył i to miasto zajął. Co też Siewers zaraz uskutecznił i nocą zajął Kraków.

Książę Józef, nie zwracając uwagi na te przeszkody, na czele swego sztabu do miasta wjechał i swemu całemu wojsku za sobą maszerować kazał, które z muzyką, z bębnami i rozwiniętymi chorągwiami, przy odgłosie marsza weszło do miasta i przeciągało poprzed szeregami uszykowanego wojska rosyjskiego, wobec zgromadzonej ludności Krakowa, spieszącej powitać swych rodaków. Generał Siewers przybył także przywitać księcia, lecz już doszła wiadomość, że batalia pod Wagram została przez Napoleona wygraną, a arcyksiążę Ferdynand z swym wojskiem cofał się na Morawy. Książę Józef, zająwszy Kraków w imię cesarza Napoleona, część wojska wysłał za nieprzyjacielem, pułk 2-gi piechoty Stasia Potockiego i pułk kawalerii zostawił w Krakowie, które razem z wojskiem rosyjskim rozłożone w mieście były; reszta stanęła obozem pod miastem, w pogotowiu na każdy dany rozkaz udać się za nieprzyjacielem, który w spiesznym już marszu przeszedł Wisłę, bojąc się, że będzie oskrzydlonym przez korpus generała Dąbrowskiego, który mu od pruskiej granicy drogę zachodził. Zamierzał książę Józef, po małym odpoczynku, za Wisłę również się przeprawiać, gdy od cesarza odebrał uwiadomienie, aby w miejscu pozostał i główną swą kwaterę założył w Krakowie, gdyż zawieszenie broni zawarte zostało i układano punkta przedugodne do zawarcia pokoju.

Stosownie do otrzymanych rozkazów, wojsko polskie rozłożone było wygodnie w Krakowie i okolicach, jednakowoż nieporozumienia nie tylko że nie ustawały między wojskami obydwoma, ale i rozjątrzenie trwało między głównodowodzącymi. Zwycięstwa Napoleona, jak i nadzieja bliskiego pokoju, było powodem, że generała Siewersa odwołano, a przysłano na dowódcę wojsk rosyjskich w Krakowie księcia Suworowa, generała młodego, charakteru i uspo-

Rok 1807
(według obrazu Meissoniera)

sobienia ujmującego, który umiał sobie zjednać w wojsku polskim wziętość i naczelnego wodza przyjaźń. Wnet zatem nastąpiło porozumienie i harmonia między obu wojskami.

Od tego czasu, w którym książę Józef główną swoją kwaterę założył w Krakowie, a Suworow objął naczelne dowództwo wojska rosyjskiego w tym mieście i okolicach po obu stronach Wisły, starał się tenże wszystkimi sposobami okazywać księciu Józefowi swój szacunek. Kazał postawić honorową wartę przed jego mieszkaniem. Wiedząc, że jest miłośnikiem manewrów wojskowych, kazał wojsku swemu odbywać manewry tak w mieście, jak w okolicach; zgoła Suworow, jakie tylko mógł grzeczności i honory, tych wszystkich księciu Józefowi czynić nie zaniedbywał. Gdy obywatele tak w samym mieście, jak i okoliczni często dawali zabawy dla ukochanego wodza i dla wojska polskiego, książę Suworow zawsze na zabawach tych bywał z swymi oficerami sztabowymi i okazywał publicznie, ile oceniał księcia Józefa. Lubo z naszej

strony częste były zaczepki, jednak oficerowie rosyjscy mieli nakaz unikania wszelkich nieporozumień.

Z swej strony książę Józef, jak to było jego zwyczajem, tym bardziej starał się grzeczność grzecznością wywzajemnić. Książę Suworow również miał wartę honorową wojska polskiego i oficerów służbowych polskich. Wojsko polskie często występowało na manewry, a szczególniej często książę Józef popisywał się przed Suworowem swoim pułkiem 2-gim Stasia Potockiego, który doborem ludzi, umundurowaniem i zręcznością swoją wszystkich znawców ściągał na siebie uwagę, powołany od niedawna, dopiero po zdobyciu Zamościa przez księcia Józefa do jego korpusu.

Na wszystkich obiadach i balach, a szczególniej na balu danym przez miasto dla całego wojska polskiego w Sukiennicach, gdzie były wszystkie piękności krakowskie i z okolic, książę Józef dawał pierwszeństwo Suworowowi, a czynił to z taką zwykłą sobie godnością, że nie tylko Suworow, ale wszyscy generałowie rosyjscy księcia Józefa ubóstwiali.

Między różnymi rozrywkami, które książę Suworow urządzał dla księcia Józefa, było i sławne polowanie na charty, których kilkanaście smyczy najdoborniejszych ze swoich dóbr na to polowanie sprowadził. Do każdej smyczy był dodany kozak konny: ci kozacy na swych lotnych koniach z niesłychaną zwinnością równo z chartami zwierza doganiali.

Na to polowanie wszyscy także generałowie polscy i obywatele niektórzy byli zaproszeni. W pobliżu wsi, gdzie to polowanie się odbywało, był bogaty namiot turecki rozbity, gdzie przy obfitej zastawie wszystko wspaniale urządzone było na przyjęcie księcia Józefa. Po odbytym polowaniu, na którym mnóstwo zwierza upolowano, dano suty obiad; muzyka przyjęła księcia Józefa jego marszem faworalnym, a wśród obiadu spełniono najpierwszy toast za jego zdrowie. Po obiedzie książę Józef życzył sobie widzieć tych sławnych kozaków i ich podług swego zwyczaju wynagrodzić.

Książę Suworow rozkazał im tedy wystąpić, aby się w przytomności wszystkich widzów swą zręcznością na koniach popisywali. Po czym przedstawił księciu Józefowi dwóch najzręczniejszych, Jóźka i Maksyma, i najusilniej prosił księcia, ażeby, w dowód jego przyjaźni i szacunku, tych dwóch kozaków

od niego przyjąć raczył do usług swoich; kozakom zaś zalecił, ażeby księciu byli tak wiernymi, jak swojemu dotąd panu.

Książę Józef tej ofiary żadnym sposobem przyjąć nie chciał, tłumacząc się, żeby go to nadzwyczajnie bolało, aby z jego przyczyny oddalili się od swojej ojczyzny i swych domów rodzinnych. Lecz książę Suworow usilnie na księcia nastawał i o przyjęcie ich prosił, mówiąc, że jest pewny, że im lepiej nie może być ani w ich ojczyźnie, ani w domu, jak będzie u księcia. Po długich naleganiach książę Józef, dopiero gdy od nich samych usłyszał, że życzą sobie pozostać u niego, zgodził się na to i obu przy sobie zatrzymał.

W kilka tygodni od owego czasu przyszło uwiadomienie od cesarza Napoleona do księcia Józefa, że pokój między Francją a Austrią zawarty i że skutkiem tego cała Galicja wschodnia z cyrkułem Zamojskim do Księstwa Warszawskiego przyłączoną została. Książę Suworow również uwiadomiony o tym został i otrzymał rozkaz opuścić Kraków i udać się z swoim korpusem do cyrkułu Tarnopolskiego i Czortkowskiego, które to dwa cyrkuły cesarzowi Aleksandrowi ustąpione zostały.

Wódz polski w Krakowie, jako gospodarz w mieście, już należącym do Księstwa Warszawskiego, starał się we wszystkim wodzowi sprzymierzonego wojska okazać przyjaźń i pamięć. Przez cały tydzień, przed wymarszem Rosjan, trwały festyny i różne zabawy. Wojsko polskie sprawiało wojsku rosyjskiemu w Krakowie ucztę, a przy wymarszu książę Józef odprowadził księcia Suworowa aż za Podgórze. Tam ci dwaj wodzowie, pożegnawszy się po żołniersku, rozstali się na zawsze. Wówczas ani przez myśl im nie przyszło, że nigdy się już nie obaczą i prawie jednakową śmiercią z tego świata zejdą.

Książę Józef, uporządkowawszy wszystkie sprawy, dotyczące zajęcia nowowcielonego kraju, uregulowawszy i uorganizowawszy nowe pułki i przydzieliwszy je do dywizjonu, oznaczywszy miejsca, które zająć miały w kraju, sam na czele 2-go, 8-go i 6-go pułków piechoty, 1-go pułku szaserów i 2-go pułku ułanów i kirasjerów, baterii artylerii pieszej i konnej, udał się do Warszawy, gdzie po tylu danych dowodach waleczności, przez całą Warszawę z uniesieniem witany i przyjmowany był, tak, iż go prawie na rękach odprowadzono pod Blachę.

Odtąd przez trzy lata trwającego pokoju książę od wszystkich ubóstwiany

i zajęty kierownictwem ministerstwa wojny, organizował ulubione swe wojsko. Utrzymywał po Blachą dom po królewsku, a między liczną jego służbą znajdowali się nieodstępni ci dwaj kozacy, których mu książę Suworow darował. Odznaczali się oni od reszty służby swym narodowym ubiorem, dobrym wzrostem, płcią śniadą i długim, czarnym, w sełedec zaplecionym włosem, wszystkich na siebie oczy ściągając. Przywiązani całą duszą do księcia Józefa, nazywali go po narodowemu zwyczaju swym ojcem. Cała ich powinność była kolejno stać w przedpokoju na zawołanie, a gdy książę wyjeżdżał konno na spacer, zawsze jednego z nich brał za sobą na dzielnym koniu.

W roku 1812, gdy sławna tylu nieszczęściami kampania się zaczęła, otrzymał książę Józef rozkaz z wojskiem polskim wyruszyć pod komendą Hieronima, króla westfalskiego, przydzielony do 5-go korpusu wielkiej armii. Ale że młody ten monarcha liczne zaraz na początku kampanii popełniał błędy, przeto cesarz Napoleon odebrał mu komendę 5-go korpusu i oddał ją za Grodnem księciu Józefowi, wyłączywszy z korpusu Westfalczyków.

Książę Józef, ostatnich dni maja 1812 r. opuszczając Warszawę, nie zapomniał wziąć z sobą i swych wiernych kozaków i przez cały ciąg tej kampanii największej przychylności i usług od nich doznawał. Gdzie tylko książę Józef kwaterę główną założył, tam mieszkańców kozacy wstrzymywali od ucieczki i opuszczenia siedzib i objaśniali o dobrych chęciach wojska polskiego, a z tej przyczyny wojsko polskie obficiej było zaopatrzone w żywność, jak francuskie. Również przez tych kozaków wiele o ruchach wojska rosyjskiego można było się dowiedzieć. Wierni byli księciu tak dalece, że, gdy po zajęciu Moskwy korpus księcia Józefa był przydzielony do przedniej straży korpusu króla neapolitańskiego, Murata, i po bitwie, szczęśliwie stoczonej za Woronowem w okolicach Czyrykowa, cała przednia straż zajęła pozycje nad rzeką Oką, gdzie aż do odwrotu i podczas zawieszenia broni staliśmy, z której to właśnie okolicy kozacy Jóźko i Maksym byli rodem, tam bowiem były dobra księcia Suworowa, a książę Józef, dowiedziawszy się o tym, chciał ich obydwóch uwolnić, a hojnie wynagrodziwszy, pozostawić przy rodzinie i sam do pozostania zachęcał, ci, pełni wdzięczności, z rozrzewnieniem podziękowali księciu za udzieloną im wolność, lecz na żaden sposób odstąpić go nie chcieli i przy nim aż do śmierci pozostać przyrzekli. Prosili tylko, aby pieniądze, które sobie

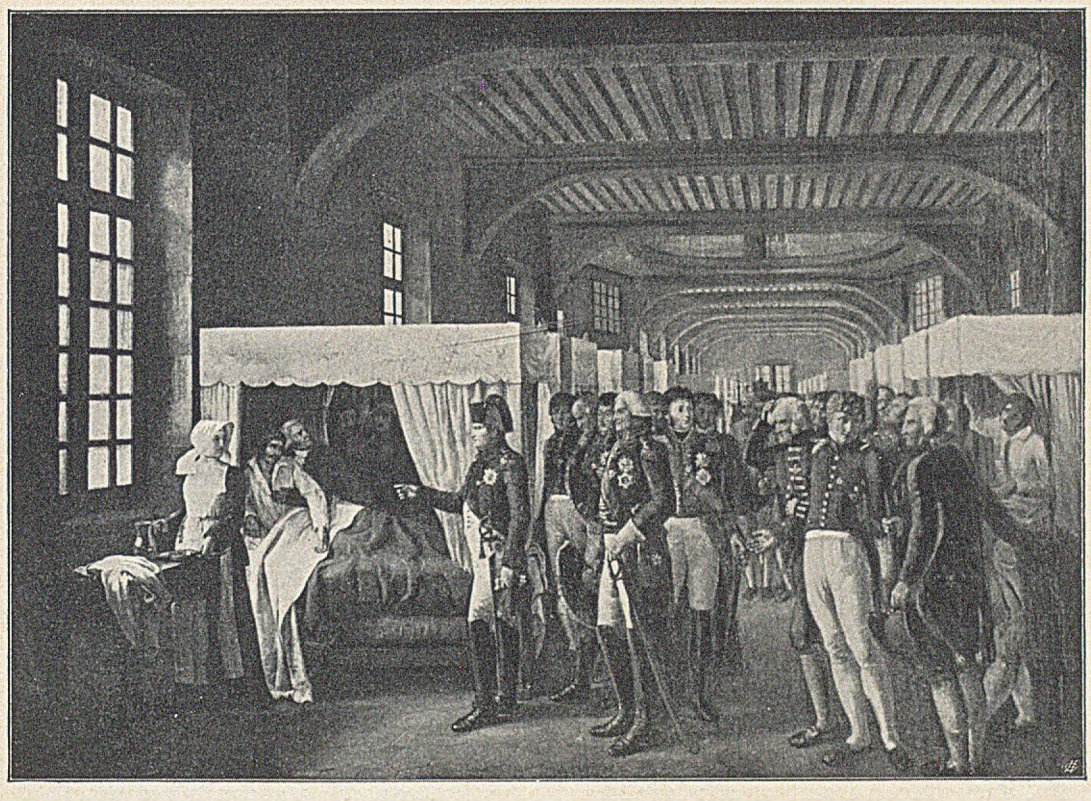

Napoleon w szpitalu inwalidów
(według obrazu Veron Bellecourta)

uzbierali, mogli przesłać swym rodzinom, do których to pieniędzy książę Józef po 100 dukatów dołożywszy, takowe do forpoczt nieprzyjacielskich, celem wręczenia rodzinom obu wiernych kozaków, odesłał.

Dnia 18-go października zaczęliśmy się cofać do Woronowa, gdy układy wszelkie były zerwane i nadzieja pokoju minęła. Pod Woronowem utracił książę Józef swego szefa sztabu, generała Fiszera, powszechnie żałowanego. Stamtąd udaliśmy się ku Medynie, a dalej do Wercji. Kozacy jak najgorliwiej, najlepiej księciu służyli i dostarczali żywności, o którą coraz trudniej było. W ciągu całej dalszej rejterady, tyle słynnej z swej okropności, książę Józef zawsze był na czele swego korpusu, mając przy boku swych generałów dywizji, Zajączka, Kniaziewicza i księcia Sułkowskiego. Już pominęliśmy Moskwę i przybliżaliśmy się do Smoleńska, gdy wypadek nieszczęśliwy zasmucił całe wojsko polskie.

Gdy książę Józef na czele huzarów szarżował na kozaków, którzy nam przeciąć chcieli drogę, koń pod nim upadł i nogę lewą księcia tak przywalił, że prawie bez przytomności do powozu go odniesiono. Po wielu staraniach lekarzy przyszedł do zmysłów, lecz okazało się, że noga bardzo nadwerężoną była. Cesarz, skoro uwiadomiony został o tym nieszczęśliwym wypadku, natychmiast swego lekarza przysłał i polecił, aby książę Józef, dla prędszego wyleczenia, udał się naprzód do Warszawy, a komendę swego korpusu zdał generałowi dywizji Zajączkowi. Zaraz zatem książę wyruszył w drogę do Warszawy, pod eskortą 12-go pułku ułanów, z jednym adiutantem i częścią swego dworu, zabrawszy z sobą także dwóch swoich wiernych kozaków.

Na początku grudnia 1812 r. po ciężkiej drodze, wielkich niewygodach i różnych wypadkach, książę Józef, jeszcze cierpiący na nogę, przybył do Warszawy. W ciągu drogi z największym oddaniem się i troskliwością służyli mu ciż kozacy. Lecz jakież było zmartwienie księcia, gdy niedaleko Wilna Maksym z przeziębienia zachorował tak, że go ledwie do Wilna dowieźli, gdzie, pomimo najlepszych starań, wkrótce umarł. Został się przy księciu tylko Jóźko, który razem z nim do Warszawy przybył. Stanąwszy na miejscu, przy większych wygodach i staraniu książę Józef odzyskał zdrowie i zaraz też z wszelką gorliwością zajął się losem i organizacją wojska, powracającego z tej okropnej kampanii. W miesiącu lutym 1813 r. zmuszony był książę przed zbliżającym się nieprzyjacielem wymaszerować z wojskiem z Warszawy do Krakowa; kozak Jóźko wraz z jego dworem za księciem pospieszył.

Po uorganizowaniu wojska, zebranego w Krakowie i tegoż okolicach, musiał książę Józef z tegoż miasta ustępować, party przemagającą siłą nieprzyjacielską, a mając wszelką komunikację przeciętą, wyrobił sobie u rządu austriackiego przejście wolne przez Śląsk, Morawy, Czechy do Saksonii. Wszedłszy do miasta Zittau, w miesiącu maju 1813 r., otrzymał rozkaz w okolicach tego miasta się rozlokować i dalszych rozkazów oczekiwać. Na początku sierpnia wypowiedziane było zawieszenie broni i rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie; korpus księcia Józefa był najpierw czynnym, a po różnych utarczkach szczęśliwych, gdy cesarz zaczął się cofać pod Lipsk, odebrał i książę Józef rozkaz z swoim walecznym korpusem przybyć pod to miasto.

Dnia 16-go października zaczęła się owa sławna walka z trzykroć liczniej-

szym nieprzyjacielem. Cała prawie Europa zgromadziła się, aby zwalczyć gwiazdę Napoleona. Wszystkie wojska obcych narodów, co były przy wojsku francuskim, opuszczały Napoleona, przechodząc do nieprzyjaciół. Jedni Polacy zostali mu niezachwianie wiernymi i wszędzie swą walecznością się odznaczali. Na dniu 15-go i 16-go października książę Józef z swym korpusem wielkie odnosił korzyści nad nieprzyjacielem. Napoleon, oceniając to, wyniósł go na godność marszałka Francji, której to godności żaden przedtem cudzoziemiec nigdy jeszcze nie otrzymał, a którą udzielano tylko za największe zasługi i poświęcenie się.

Dnia 17-go października, gdy całe wojsko francuskie zaczęło ustępować z Lipska, korpus księcia Józefa z korpusem francuskim generała Regniera otrzymał rozkaz bronić miasta od nacisku nieprzyjaciela, oraz zasłaniać rejteradę całej armii francuskiej, która po wyjściu z Lipska gromadziła się w Lützen, a stamtąd ku granicom Francji podążać miała.

Książę Józef, chcąc polecenie cesarza jak najakuratniej wypełnić, bronił się mężnie przeciw całej sile wojsk sprzymierzonych, a chcąc odwrót w największym porządku uskutecznić, wszystkie bagaże, tak swego korpusu, jak i całego wojska francuskiego, wysłał naprzód. Przy bagażach księcia Józefa był i kozak Jóżko.

Wojsko polskie, coraz więcej parte od przemagającej siły, utraciwszy wielu ludzi, ustępować zaczęło z miasta, ale tak powoli i tak mężny stawiając opór, że nieprzyjaciel nie śmiał zbyt natarczywie nacierać, poznawszy męstwo, odwagę i przytomność polskiego wodza. Nieprzyjaciel każdy krok naprzód uczyniony drogo musiał okupić. Już część wojska polskiego i francuskiego przebrnęła rzekę Elsterę, gdy most przez nieporozumienie za wcześnie w powietrze był wysadzony, a książę Józef jeszcze na czele garstki swoich dzielnie się opierał; lecz gdy nieprzyjaciel zaczął go oskrzydlać, książę, nie chcąc się dostać do niewoli, gdy piechota już przebyła rzekę, zwrócił się z garstką kirasjerów polskich, przy nim będących, do ogrodu Richtera, aby sobie drogę utorować i rzekę wpław przebyć. Rzucił się z koniem w nurty Elstery. Już był niedaleko drugiego brzegu, gdy z obu stron od ogrodu strzelcy pruscy i szwedzcy się wdarli i celnymi strzałami świtę księcia razić zaczęli. Trzy kule trafiły

księcia, również i koń kulą ugodzony, chwytając się już brzegu przednimi kopytami, stoczył się na powrót w wodę i księcia z sobą w nurt rzeki pociągnął.

Ostatnie te pamiętne książę Józef wyrzekł słowa:

— Bóg mi powierzył honor Polaków! Jemu go tylko oddam!

Wieść okropna o śmierci księcia jak błyskawica rozeszła się po całej armii, odpoczywającej po trudach strasznej trzydniowej bitwy na równinach między Lipskiem a Lützen, i napełniła wszystkie serca smutkiem, a tym bardziej Polaków, którzy, po stracie swego ukochanego wodza, obaczyli się osieroconymi i z rozpaczy łzy wylewali. Sam cesarz Napoleon rzekł:

— Straciłem znów jednego z moich dobrych przyjaciół i o jednego bohatera mniej mam.

Ta wiadomość, gdy doszła do bagażów księcia Józefa, trzeba było widzieć, jak wszyscy płakali za najlepszym swym panem, a najpierwszy pomiędzy nimi Jóźko kozak, który, jak dziecko, oddawał się żalowi i rozpaczy. Widząc to pułkownik Józef Szymanowski, który pierwej był adiutantem u księcia Józefa i znał dobrze Jóźka, ujęty tym, że tyle cierpi i żalu i smutku, wziął go do siebie, aby mu wynagrodzić to przywiązanie do księcia Józefa i los znośniejszym uczynić. Od tego czasu Jóźko ciągle był przy pułkowniku Szymanowskim.

Cała armia francuska, a z nią wojsko polskie zbliżało się ku Renowi. W Moguncji otrzymaliśmy przeznaczenie udania się do miasta Sedanu, gdzie po tylu stratach mieliśmy się na nowo organizować. Po ukończonej organizacji i po trzechmiesięcznym pobycie w tym mieście, za zbliżeniem się nieprzyjaciela do granic Francji, otrzymało wojsko polskie rozkaz wyruszenia z Sedanu w okolice Clairmont i Compiègne. Pułkownik Szymanowski z swoim 2-gim pułkiem zajął niedaleko Clairmont miasto Liancourt i jego okolice. Otrzymawszy wkrótce potem rozkaz udania się do Paryża w sprawach swegu pułku i reszty wojska polskiego, odjeżdżając, zostawił Jóźka kozaka z swymi końmi i rzeczami przy mnie. Z tym Jóźkiem miałem wprawdzie wiele ambarasu, ale wiele też i pomocy. Był to człowiek poczciwy, w usłudze zręczny i przytomny, lecz gdzie tylko przechodziliśmy w całej Francji, wszędzie natłok ludzi za nim chodził, przypatrując się i podziwiając jego ładny ubiór i postawę, z czego wnosili, mając dziwne wyobrażenie o kozakach, że wszyscy oni tak są groźni

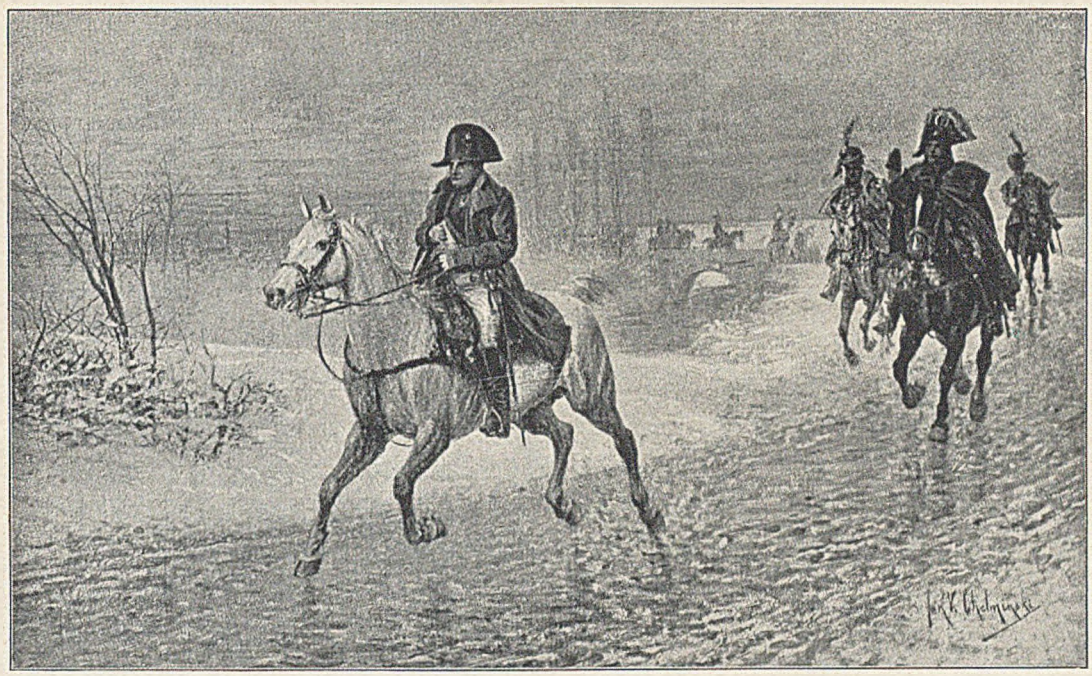

Napoleon w okolicach Reims w 1814 roku
(obraz Jana Chełmińskiego)

z postawy. Był on bowiem wzrostu wysokiego, barczysty i mężny, a przy tym bardzo zręczny. Ubrany bogato, po kozacku, czarno zarastał, a na twarzy rumiany. Na koniu, po kozacku ubranym, gdzie się tylko pokazał, całą ludność poruszał, wszyscy biegli, aby go widzieć, a gdy się dowiedzieli, że to nie kozak nieprzyjacielski, ale że był kozakiem księcia Józefa i przy nim zawsze zostawał i do niego bardzo był przywiązany, we wszystkim starali mu się dogadzać, tak, że przy nim i mnie bardzo dobrze było i nieraz przez Józka wszystko można było mieć od Francuzów.

Od czasu odjazdu pułkownika Szymanowskiego Józko ciągle był przy mnie. Po abdykacji Napoleona, gdy tenże oddał wojsko polskie cesarzowi Aleksandrowi w opiekę, otrzymaliśmy rozkaz wracania do ojczyzny; staliśmy wówczas w okolicy St. Germain, gdzie przybył pułkownik Szymanowski do mnie z Paryża, ażeby swego poczciwego Józka odebrać, z którym uściskawszy się, z żalem wielkim się rozstałem, gdyż bardzo do niego przywiązałem się i przyzwyczaiłem. Wkrótce wróciło wojsko polskie do ojczyzny, a pułkownik Szyma-

nowski pozostał jeszcze w Paryżu, będąc przydzielony do sztabu nowego naszego wodza, w. księcia Konstantego.

Po powrocie z Francji, po odpoczynku kilkomiesięcznym, gdy w. książę Konstanty przybył z Petersburga do Warszawy, rozpoczęła się nowa organizacja wojska polskiego. W Warszawie często widywałem się z pułkownikiem Szymanowskim, który natenczas dowodził strzelcami pieszymi gwardii, lecz nigdy nie przyszło mi na myśl zapytać się o kozaka Józka. Dopiero w roku 1821, stojąc w obozie pod Powązkami, gdy w mym baraku po południu zajęty byłem czytaniem, wchodzi do mnie wysokiego wzrostu człowiek z dwoma koszykami owoców, jak to w obozie często obnoszono, i pyta, czybym nie kupił letnich berów? Ponieważ często podobne wizyty nam się naprzykrzały, odpowiedziałem krótko, że nie kupię; po czym człowiek ten zaraz się oddalił. Widziałem jednak przez okno, że żołnierzy przechodzących pytał o moje nazwisko. Za chwilę wraca, a zostawiwszy w przedpokoju koszyki z owocami, przybliża się do mnie i z rozczuleniem ściska mnie za kolana. Nie poznawszy go, nie mogłem zrozumieć, czegoby ode mnie żądał?

— Ach! mój panie drogi, jakiż ja szczęśliwy, że po tylu latach choć teraz mogłem znaleźć pana! — zawołał i łzy mu się z oczu puściły. — Ileż to razy o panu myślałem! Czy też pan przypomina sobie Józka kozaka, który przy panu był we Francji?

Zdziwiłem się, gdy mi swe imię wymówił i zrazu nie poznałem po tylu latach widząc go w innym zupełnie stroju i trochę podstarzałym. Uściskałem go serdecznie, a gdy zacząłem wypytywać o szczegóły życia jego od czasu naszego rozstania we Francji, odpowiedział mi:

— Rozstawszy się z panem w St. Germain, jeszcze parę miesięcy bawiłem z moim panem pułkownikiem Szymanowskim w Paryżu. Dopiero przy końcu sierpnia 1814 roku powróciliśmy do Warszawy. Tu jeszcze rok byłem u mego pana. Poznawszy córkę dawnego służącego księcia Józefa, postanowiłem się z nią ożenić, co też uskuteczniłem, uwolniwszy się od służby. Już osiem lat mam żonę, z którą mam troje dzieci, syna i dwie córki. Syn mój na pamiątkę mego dawnego pana i ojca ma imię Józef. Odebrawszy zapis w sumie 300 dukatów od tegoż, zapewnił mi sposób do życia na cały mój wiek. Kupiłem sobie mały domek z ogrodem, moja żona pilnuje gospodarstwa, ja zaś arenduję

latem ogrody owocowe w pobliżu Warszawy i w Warszawie zbywam owoce, w zimie zaś nabieram różne towary od markietanów i roznoszę po mieście. Sprzedaż ta wielki mi zysk przynosi. Mogę powiedzieć, że najszczęśliwszy jestem z ludzi, mam bowiem dobrą żonę i ładne a posłuszne dziatki i na niczym mi nie zbywa. Smutno mi tylko bardzo, gdy sobie przypomnę mego pana księcia Józefa.

Uściskałem serdecznie tego poczciwego i dobrego człowieka i niezmiernie byłem mu rad po tylu latach niewidzenia się z nim. Obiecałem go odwiedzić w jego domu, co też uczyniłem. Poznałem jego żonę i dziatwę, oraz domek, mały, ale schludny i porządny.

(Wybranowski R. generał)

BITWA POD BOSCO

(1799)

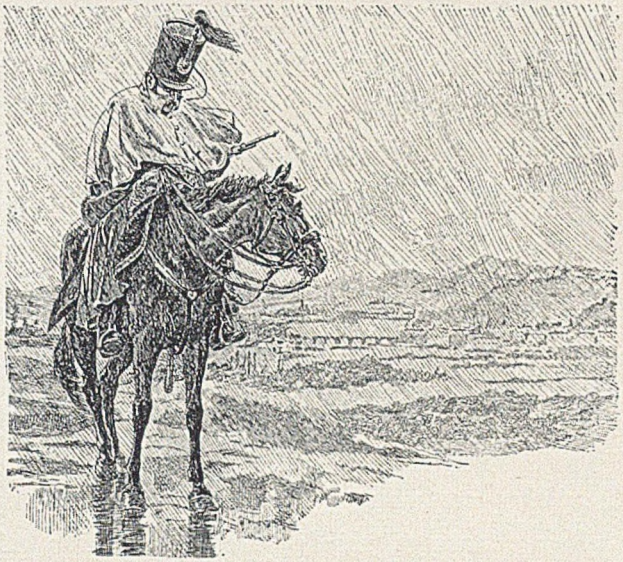

Generał (Dąbrowski) odebrał rozkaz dnia 28 (vendemiaire'a) wysłać pięćdziesiątą piątą i siedemnastą półbrygadę, które aż dotąd wchodziły w skład jego dywizji, na garnizon do Genui, a w to miejsce dano mu trzeci batalion sto szóstej półbrygady i pierwszy batalion polski.

Ta dywizja zgromadziła się dnia 29-go w Campo Marone i przybyła dnia 30-go do Voltaggio, gdzie generał Saint-Cyr założył był swoją główną kwaterę. Dywizja poszła tego samego dnia naprzód ku Novi. Jej forpoczty zetknęły się z nieprzyjacielskimi; generał wzmocnił natychmiast swoją przednią straż naszymi grenadierami i strzelcami i zaatakowawszy nieprzyjaciela, wyparł go z Novi.

Pierwszy batalion trzeciej półbrygady, nasi grenadierowie i strzelcy wraz z jednym szwadronem naszej kawalerii, wszystko pod dowództwem szefa trzeciej półbrygady Moutona, przeszło przez miasto i zajęło ogrody przedmieścia ku Pozolo. Trzeci batalion polski został w samym mieście.

Dywizja generała Laboissièr'a posunęła się ku Pasturana, a dywizja Vatrina przeszła w nocy przez Novi, zajmując pozycję między dywizją naszą i dywizją Laboissièr'a w taki sposób, iż nasza dywizja formowała prawe skrzydło.

Z rana generał (Dąbrowski) odebrał rozkaz posunąć się na równiny ze swoją

dywizją i zaatakować nieprzyjaciela, gdzieby go znalazł. Dywizja, połączywszy się ze swoją przednią strażą, rozpoczęła ruch ku Pozolo. Generał Laboissière rozpoczął atak, po nim Vatrin, a za Vatrinem Dąbrowski. Wyparliśmy nieprzyjaciela z Pozolo; cofał się on zwolna, broniąc się w jednej pozycji i przechodząc na drugą. Im więcej się cofał, tym bardziej wzmacniał swój front, aż do czasu przybycia swego do Bosco. Dano nam jeden granatnik.

Nieprzyjaciel stanął w szyku bojowym przed tą wioską. Generał Saint-Cyr nakazał, abyśmy toż samo zrobili z naszej strony. Nasza legia sformowała się w kolumnę na lewym skrzydle, mając na swym czele batalion pierwszy. Generał rzucił strzelców na jej lewą stronę, a grenadierów w masie postawiono trochę wysuniętych naprzód, na prawo tej kolumny. Jeden batalion sto szóstej półbrygady formował kolumnę z prawej strony, drugi batalion formował rezerwę, a granatnik umieszczono między trzecią a szóstą półbrygadą. Nie było wcale kawalerii, aby ją można było umieścić w linii.

Nieprzyjaciel miał dwanaście dział w czterech bateriach, wystarczającą linię piechoty i wiele kawalerii. Te siły były naprzeciw naszej dywizji, oddzielone od niej równiną, mając wieś Bosco na swych tyłach.

Dywizje Laboissièr'a i Vatrin'a wyparowały jednocześnie nieprzyjaciela, jakiego znalazły przed sobą i ścigały go aż do Bosco. Tam zajęły one pozycję, opierając swe prawe skrzydło o znajdujące się tam bagno, a swoje lewe łącząc z linią, która znajdowała się przed nami, i tym sposobem otaczając wioskę i zakrywając wielki trakt z Novi do Aleksandrii. Generał Karaczey, dowódca wojsk austriackich, zapewniwszy sobie prawe skrzydło, uderzył na dywizję Laboissièr'a z taką siłą i gwałtownością, iż ten w początku nieco się zachwiał. W tej samej chwili generał Saint-Cyr polecił generałowi Vatrinowi i Dąbrowskiemu uderzyć na nieprzyjaciela, który począł już dawać ognia ze swych bateryj i który, widząc u nas małą ilość kawalerii, posunął swoją naprzód; dostrzegł on także, że odpowiadamy mu tylko z jednego działa. Lewe skrzydło Vatrina postępowało za ruchem dywizji Laboissièr'a, lecz jego prawe skrzydło zakryte zaroślami i rowami, trzymało się silnie w swej pozycji. Dąbrowski przygotował się do ataku w następujący sposób. Drugi batalion miał zostać na swej pozycji, a pierwszy przeszedł na prawo, aby zapełnić próżnię między legią a trzecią półbrygadą; grenadierzy cofnęli się, aby zakryć na lewo

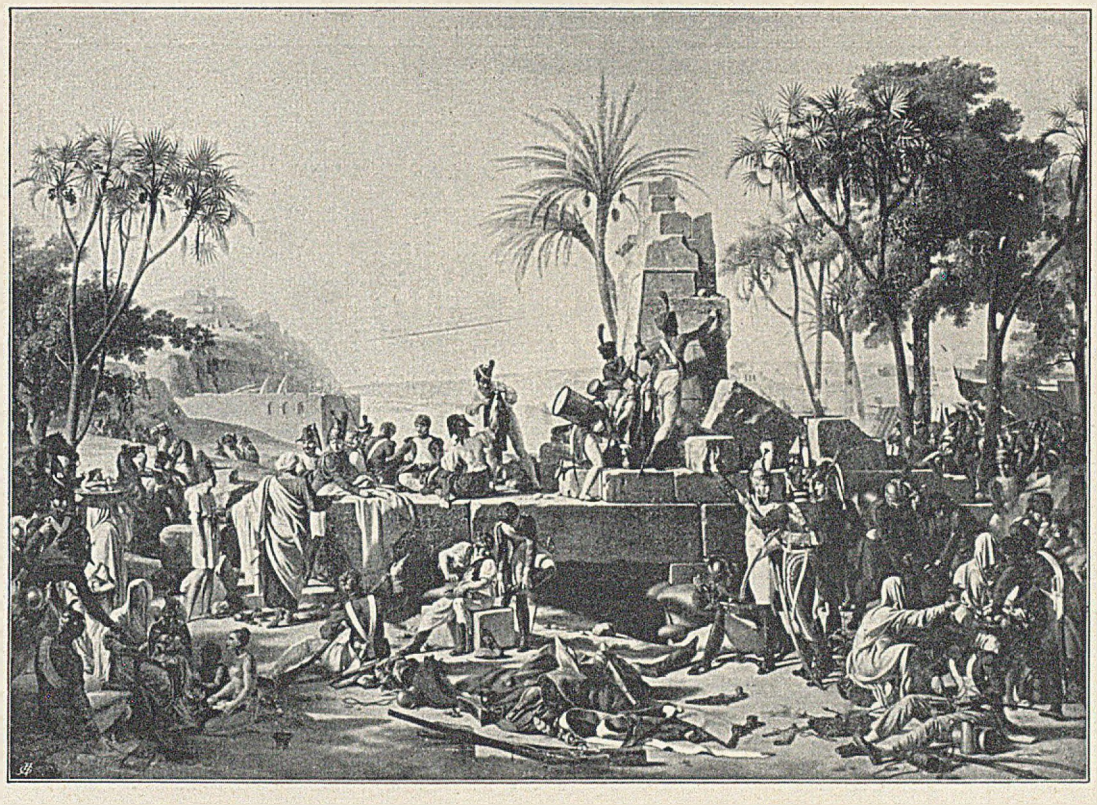

Postój armii francuskiej w górnym Egipcie (2 luty 1799)
(według obrazu Tardieu)

strzelców, a na prawo drugi batalion. Sformowaliśmy się w taki sposób, cztery kolumny, dwie polskie, mające swoje dwie przestrzenie zakryte przez grenadierów i strzelców, dwie inne z trzeciej półbrygady mając owe przestrzenie zakryte przez nieco kawalerii i granatnik. Generał Saint-Cyr zostawił sto szóstą półbrygadę w rezerwie, polecając jej obserwować lewe skrzydło nieprzyjaciela. Generał Jabłonowski dowodził kolumną polską na lewo, a szef Strzałkowski kolumną na prawo. Atak rozpoczął się krokiem podwójnym, z najeżonymi bagnetami.

Nasz drugi batalion uderza na nieprzyjacielską kawalerię, stojącą naprzeciw niego i przewraca ją najzupełniej. Ta kawaleria wywracała grenadierów, następujących w samym końcu owego batalionu na lewo, rzuca się więc w tej chwili na baterię nieprzyjacielską o czterech działach, która strzałami karta-

czowymi wyrządzała wiele złego jego środkowi. Zabiera armaty, zostawia je poza sobą i formuje się następnie, aby się rzucić na piechotę, którą przed sobą widzi. Wówczas nieprzyjaciel miotać poczyna przeciw niemu strasznym batalionowym ogniem, przed którym batalion drugi zachwiał się na chwilę i usunął się na lewo; ten ruch złamał kolumnę, kawaleria nieprzyjacielska spostrzegłszy to, uderza natychmiast na ów batalion i na grenadierów i, bez względu na ogień, którym ich prażą ci ostatni i strzelcy, poczyna rąbać ich pałaszami. Pierwszy batalion ze swej strony zniósł piechotę nieprzyjacielską, którą miał przed sobą i zmusił artylerię schronić się do wsi.

W tej chwili generał (Dąbrowski), widząc co się dzieje na jego lewym skrzydle i pewny ucieczki nieprzyjaciela, odpartego przez batalion pierwszy, każe temu batalionowi natychmiast wykonać pół obrotu w lewo, dać ognia całym batalionem i z nastawionym do ataku bagnetem uderzyć na kawalerię nieprzyjacielską, która zbiła już prawie cały batalion drugi. Grenadierzy zatrzymali się także i stanęli na pozycji. Nakazuje więc pierwszemu batalionowi z trzeciej półbrygady ruch na lewo.

Cały ten batalion zawołał — pójdźmy! trzeba wspierać tych walecznych Polaków! — i uderzył z bagnetem w ręku na kawalerię nieprzyjacielską.

Generał Saint-Cyr przybywa z rezerwą; prawe skrzydło generała Vatrina przenosi się naprzód; rzucają się więc z bagnetem na nieprzyjaciela, rozbijają go najzupełniej i wypierają do wsi Bosco. Kawaleria nieprzyjacielska, która rąbała nasz batalion, nie ma już ani miejsca, ani czasu ratować się ucieczką, zabraliśmy ją prawie całą do niewoli. Prawe skrzydło nieprzyjacielskie, które atakowało dywizję Laboissièr'a, widząc, co się stało z resztą jego korpusu, poczęło uciekać, później atoli poszło już w rozsypkę wzdłuż Orby, gdyż wieś Bosco była już zajęta przez nasze wojsko. Cały nasz korpus posunął się naprzód, ścigając nieprzyjaciela na wszystkich punktach.

Noc zakończyła wreszcie walkę i Vatrin odebrał rozkaz zająć pozycję na prawo nad Serivią, niedaleko Rivalty. Dąbrowski niedaleko od Pozolo i Quattro Cassini, a generał Laboissièr we wsi Bosco i Fragarole nad Bounidos.

Legia nasza zabrała w tym dniu zwycięskim cztery działa i sześćset niewolników, a straciła około trzystu ludzi w poległych na miejscu lub zmarłych z ran. Porucznicy z drugiego batalionu Gazan, Piawecki, Gryliński i Szczu-

bielski polegli. Z wyjątkiem dwóch tylko, wszyscy oficerowie z tego batalionu byli ranni, kapitanowie Billing, Laskowski, Koszutski i Kozakiewicz; porucznicy Słoński, Kołodyński, Lukiewicz i podporucznicy Wasilewski, Serwacki, Szremer, Gałecki i Truszkowski. Rannymi w batalionie pierwszym byli kapitanowie Melfort, Winnert, Kiliński, a w grenadierach porucznik Bogdanowicz.

Generał Jabłonowski był lekko ranny; po dwakroć brany do niewoli przez kawalerię nieprzyjacielską, został odbity przez naszą kawalerię.

Generał (Dąbrowski) może się pochlubi szczególniejszym szczęściem w tej bitwie, gdyż w tej samej chwili, w której on odcinał pałaszem kanonierowi austriackiemu lont od jego działa, kula karabinowa, trafiwszy w generała, przeszła przez książkę, którą miał przy sobie, i straciła w ten sposób siłę zranienia go niebezpiecznie.

(Dąbrowski Henryk, generał)

W MARSZU DO GRODNA

(1812)

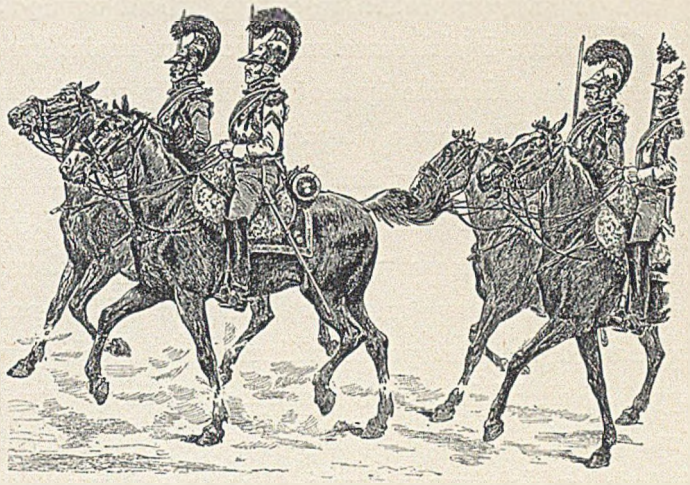

Na wiosnę 1812 r. odjechał król saski do Drezna, a my coraz bardziej do wojny gotowaliśmy się. Wkrótce po odjeździe króla dostała cała jazda rozkaz przejścia na prawy brzeg Wisły; nie wiedziałem wtedy, co było powodem tego ruchu, bo w jednym czasie piechota na lewy brzeg Wisły przechodziła. Sądziłem, że nas chciano wprawiać w służbę obozową, bo niedługo po przejściu ruszyliśmy za Bug i czasami obozowaliśmy, trzymając forpoczty jakby na wojnie. Dopiero tu, w Paryżu, dowiedziałem się, że te ruchy nastąpiły z powodu zawiadomienia tajemnego, jakie książę Poniatowski z Petersburga otrzymał, a w którym go uprzedzano, że wojska rosyjskie chcą wpaść na nas i zniszczyć wojsko polskie Księstwa Warszawskiego przed nadejściem wojsk francuskich, które były w marszu, i niektóre oddziały już były do Warszawy doszły; bo pamiętam, będąc jeszcze w Warszawie z pułkiem, kiedy gwardia króla westfalskiego przybyła tamże, pułk nasz miał zrazu główną kwaterę w Mińsku, ja zaś z 5-tą i 6-tą kompanią stałem w Kałuszynie i nie wiem z jakiego powodu mnie administrację tych dwóch kompanij powierzono. Ta administracja była w owym czasie prawdziwym dowodem ufności, gdyż, pomimo uchwały sejmowej, kraj nie był w stanie liwerunków składać i książę Poniatowski, wierny przemówieniu w sejmie, via facti upoważnił do-

wódców pułku do zabierania żywności i furażu tam, gdzie je znajdą. Forma do tego przyjęta była następująca, którą cytuję, lubo z pamięci. Rozkaz, jaki od pułkownika odebrałem i jaki dawałem oficerom moim podkomendnym, których z oddziałami na zbieranie żywności i furażu wysyłałem, rozkaz ten brzmiał jak następuje: „Stosownie do rozkazów wyższych i do upoważnienia mi w tym względzie danego, wysyłam podporucznika N. N. do wsi N. N., gdzie ma rozkaz zabrania wszystkiego, co tylko do żywności ludzi lub koni służyć może, na co kwit tymczasowy napisze, który ja na formalny kwit zamienię". Łatwo można sobie wystawić, jak podobna arbitralność do różnych zdrożności otwierała drogę. Już powiedziałem powyżej jak porucznik G. haniebnym postępkiem chciał korzystać z nieszczęścia krajowego, lecz były odcienia, które zyski dawały, które się nigdy usprawiedliwiać nie dały. Mnie samego chcieli żydzi w Kałuszynie skusić. Miałem kilkaset korcy żyta tym sposobem rekwizycyjnym zebranych, które na obroki dla koni, mierząc osiem kwart zamiast 11-u owsa, rozdawałem. Przyszli żydzi z przedstawieniem, że żyto niezdrowe dla koni i że to na owies zamienią. Odpowiedziałem im, że chętnie to zrobię, lecz w stosunku cen, jakie były na targu, żyto było po 24 zł., a owies po 9 i że chcę owsa próbki widzieć. Żyd zaś mówi do mnie: „Co wielmożny pan taki skrupulat, weź pan korzec za korzec, a my panu do kieszeni po 2 talarki do korca dodamy" i pokazał potem próbkę owsa, gdzie więcej marchwicy jak owsa było, t. j. że owies nic nie wartał i żyd byłby po prostu żyto po 2 talary kupił. Gdym tego targu odmówił, żyd do mnie: „Jaki to pan dumny, tu stał kapitan K. pułku N., ten zawsze tak robił i jemu było dobrze i nam było dobrze". Żydzi zręczni, wprzódy i stary miód i młodą kobietę podsunęli, lecz ja jedno i drugie podług ceny targowej zapłaciłem, a rżnąc pilno sieczkę, żytem dalej konie pasłem. Odebrali jednak żydzi dowód, że jeżelim skarbu krzywdzić nie chciał, to umiałem pilnie uważać, aby się krzywda nikomu nie stała. Razu jednego o jedenastej w nocy wpada do mnie żyd, żaląc się z płaczem, że mu żołnierze 2 kopy sukmanek, które na targ był przywiózł, ukradli; sukmanki te, które szlachta okoliczna zagonowa licznie tu zamieszkała nosi, były snopkami powiązane, co łatwo ukradzenie robiło. Takżem znał dokładnie charakter każdego żołnierza, żem zaraz poszedł do sierżanta Wysockiego i z nim do plutonu jego, za strumykiem tam płynącym stajnię

mającego, i zapytałem się, czy skrzydłowy mój Fruszyński i rekrut Kozłowski śpią przy koniach, a przekonawszy się, że ich nie ma, sierżanta Wysockiego na moście zostawiłem z rozkazem, aby tych dwóch ludzi pilnował, i jak będą przechodzić, im się pokazał, tak żeby się wyprzeć nie mogli ani czasu, ani miejsca, gdzie się z nim spotkali. Stało się podług mych rozkazów i o 8-ej z rana żydowi sukmanki, w kupie gnoju przez tych dwóch żołnierzy zako-

Hieronim Bonaparte
(według obrazu Grosa)

pane, zwrócone zostały, a sąd kompanijny złodziei tych skazał na odebranie w goły tyłek po 200 podogoniów, oprócz tego w koszulach z rozkazu już mego zostali w lochu zamknięci. Nieraz jeszcze o tym pijaku Fruszyńskim będę miał do wspomnienia. Co do tego wypadku dodam tylko, że nazajutrz wachmistrz mój Wroński przyszedł do mnie z raportem jakby wielkiego nieszczęścia, donosząc, że Fruszyński uciekł. Był to bowiem stary żołnierz, który już kampanie r. 1806 i 1809 był odbył; lecz ja, daleki od nieszczęścia, dałem podobno 2 zł. wachmistrzowi, żeby kazał mszę odprawić, żem się pijaka i zło-

dzieja tego pozbył. Nie wiem, czy to radość moja, czy też wstyd dezercji przed wojną zrobiła, że Fruszyński wrócił. Po kilku tygodniach pobytu w Kałuszynie ruszyliśmy za Bug ku Ostrołęce, w której okolicy niejaki czas staliśmy, co sobie z tego przypominam powodu, że chłopi okoliczni pod upoważnieniem naszym bursztyn w bagnach kopali za zapłatą 2 zł. dziennie i zapewne sumiennie, co znaleźli bursztynu, oddawali, gdyż były niektóre sztuki bardzo na cybuchy przydatne. Dat poruszeń naszych nie pamiętam, wiem, żeśmy ruszyli w okolice Makobud, nimeśmy w marsz wojenny ku Grodnu postąpili.

(Henryk Dembiński, generał)

SAN-DOMINGO

(1802)

Sztandar
(według obrazu Georges Bertrand)

Pierwszy konsul
(według obrazu Isabey'a)

W dniu 1 lutego 1802 roku ekspedycja francuska zarzuciła kotwicę u wejścia do miasta Cap Français, stolicy wyspy, a gdy załoga tejże odmówiła oddania warowni wojskom rzeczypospolitej, wylądowała dywizja generała Rochambeau opodal od miasta i, opanowawszy jeden z fortów, posiadających słabszą załogę, wycięła w pień takową.

Krwawy ten czyn wywołał pragnienie zemsty śród czarnych. Wojna za wojnę, zniewaga za zniewagę, stały się hasłami dnia i zaraz w pierwszej chwili kilkudziesięciu plantatorów, śpieszących na powitanie wojsk francuskich, padło pod nożem rozwścieczonych murzynów, po czym komendant stolicy, murzyn Krzysztof, pierwszy podłożył płonącą żagiew pod dom własny i niebawem morze płomieni ogarnęło całe miasto.

Tak więc przybycie wojsk republikańskich rozpoczęło się od rzezi i pożogi. Walka między murzynami a białymi przybrała charakter nieubłaganego boju

na śmierć i życie, przy czym obie strony wojujące tępiły się wzajemnie ogniem i mieczem.

Szczęście zdawało się zrazu sprzyjać czarnym, obeznanym lepiej z miejscowością, lecz niebawem taktyka generałów francuskich, dowodzących żołnierzem ostrzelanym w boju, wzięła górę nad osobistą odwagą i poświęceniem źle uzbrojonych murzynów. Kolejno dowódcy powstańców: Krzysztof, Clervaux, Maurepas i Dessalines składali broń, więc opuszczony przez nich Toussaint-Louverture nie widział dla siebie innej drogi ratunku, jak wejście w układy z Francuzami. Myśli tej nie był też niechętny Leclerc, który już zaledwie dwanaście tysięcy ludzi mógł wyprowadzić w pole. Reszta padła w boju, leczyła się z ran, lub też, nieprzywykła do miejscowego klimatu, przepełniała wojenne lazarety. Odwołał więc postanowienie, wyjmujące Toussainta spod prawa; „pierwszy z murzynów", jak go pompatycznie zwały relacje współczesne francuskie, w początku maja 1802 roku poddał się Francuzom, którzy go przyjmowali z wojskowymi honorami. Sam Leclerc ściskał czule Toussainta, przyrzekając mu protekcję rządu francuskiego oraz zapomnienie przeszłości, co do której, jak się wyrażał, wina jednaka ciążyła na nich obydwu. Były naczelnik czarnych odjechał następnie z Cap'u do swych posiadłości wiejskich, gdzie z dala od spraw politycznych zajmował się wyłącznie uprawą roli.

Tymczasem Leclerc, ośmielony tak szybkim uśmierzeniem powstania, zaprowadzał na wyspie rządy wojskowe, drażniąc ludność oraz armię kolonialną szeregiem rozporządzeń, bezwzględnością swą przypominających epokę terorystycznych rządów we Francji. Równocześnie doszły do San Domingo pewne wieści, że projekty pierwszego konsula, dotyczące przywrócenia handlu niewolnikami i niewolnictwa, uzyskały już sankcję prawną ze strony rady stanu i senatu.

W tymże czasie pojawił się na wyspie największy sprzymierzeniec murzynów, żółta febra, zwana przez krajowców „mal de Siam". Epidemia ta, nieszkodliwa dla ludności miejscowej, zabójczą zwykle bywała dla przybyszów, nieoswojonych jeszcze z klimatem wyspy. Zabijała ona swe ofiary niekiedy na miejscu, a czasem znów przedłużała męczarnie konania do siedmiu, a nawet jedenastu dni. Zaraza wybuchła zrazu w Cap-Français, gdzie powstanie jej

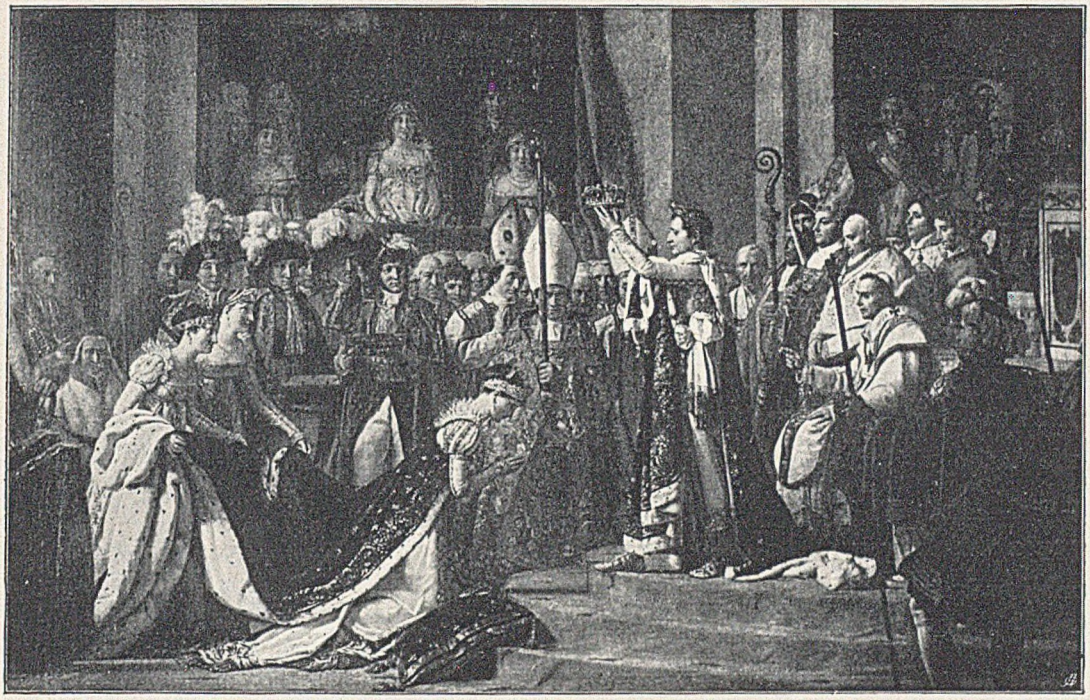

Koronacja Józefiny
(według obrazu Davida)

starano się wytłumaczyć zabójczymi wyziewami, wydobywającymi się z sąsiednich bagnisk, lecz niebawem ukazała się także w Porte-au-Prince, skąd dostała się do wnętrza wyspy.

Na próżno stosowano wszystkie sposoby lekarskie — opowiada w swych zapiskach Wierzbicki — co jednym pomagało, drugim szkodziło, a sztuka ustąpić musiała tej pladze, którą Bóg zesłał jako przestrogę lub karę. Demoralizacja największa opanowała wojsko. Opuszczony w ubiorze, smutny i zniechęcony żołnierz, choć jeszcze niedotknięty chorobą, przeczuwał, że go nie minie, że daleko od rodzinnej ziemi przyjdzie mu kości złożyć i ojczystej strzechy więcej nie zobaczy. Jedni oddawali się wyuzdanej swawoli i bezprawiom, drudzy gotowali się na śmierć. Szpitale przepełnione były chorymi, którzy często, leżąc na ziemi, bez żadnego pozostawali zaopatrzenia. Subordynacja wszelka ustała. Żołnierz był równy generałowi, nikt już nie marzył o sławie, o wygranych bitwach. Przyjaźń zamilkła, zlodowaciało serce, nie słyszano ani

wojennej piosnki, ani szczęku oręża. Odgłos nawet dzwonu już nie zwoływał wiernych na modlitwę, ani godziny śmierci zwiastował, każdy bowiem lękał się, nikt nie śmiał westchnąć do Boga. Podczas gdy śmierć nieubłagana nie przestawała wybierać upatrzonych ofiar, Paulina, siostra pierwszegogo konsula, a małżonka kapitana generalnego Leclerca, przeniósłszy się z miasta Cap-Français do wiejskiego mieszkania, wśród zabaw, uczt i balów starała się zapomnieć o niebezpieczeństwie, o zarazie i o śmierci. Huczna muzyka tłumiła głośne jęki konających. Nieraz wśród balu wynoszono umierającego, a tańce, przerwane na chwilę, rozpoczynano na nowo.

Straszliwe spustoszenie zrządzone w szeregach francuskich skutkiem zarazy nie uszło uwagi czarnych, uciskanych bezlitośnie rządami wojskowych, a wieść o przywróceniu niewolnictwa w Guadalupie, świeżo opanowanej przez wojska republikańskie, dolała jeszcze oliwy do ognia. Zaraz też w kilku miejscowościach wyspy pojawiły się czarne bandy powstańcze, z czego skorzystał Leclerc, by pojmanego podstępnie Taussainta, obwinionego przez osobistych nieprzyjaciół o znoszenie się z buntownikami, uwięzić wraz z całą rodziną pod zarzutem zdrady stanu i odesłać do Francji. Toussaint, osadzony w twierdzy Joux, w górach Jura, umarł w niej w kwietniu 1803 roku, zaduszony podobno, czy też otruty z wyższego rozkazu. Widmo nieszczęśliwego murzyna w generalskim mundurze i w białym turbanie ścigać miało Napoleona w jego przedśmiertnych wizjach śród skał Longwoodu.

Opuszczając San Domingo, powiedział Taussaint do komendanta, odwożącego go do statku Savarego:

— Strącając mnie, powalono tylko pień drzewa wolności murzynów, lecz wolność zakwitnie dla nich z licznych korzeni, bo te głęboko wrosły w ziemię!...

Tak też było w istocie, gdyż, pomimo porwania Toussainta, powstanie szerzyło się z nadzwyczajną szybkością po wyspie, a Francuzi, nie mogąc sprostać całej ludności murzyńskiej, chwytającej za broń, musieli przejść z zaczepnego w obronne działanie, by utrzymać się w posiadaniu miejsc warownych, przedstawiających dla nich jedyny pukt oparcia.

Na próżno Leclerc, podżegany przez swe otoczenie licznymi egzekucjami zapragnął rzucić postrach na wyspiarzy. Pastwiono się w sposób iście barba-

rzyński nad pojmanymi powstańcami. Murzyni, ujęci z bronią w ręku, ginęli wśród najokropniejszych męczarni, lecz powstańcy nie omieszkali mścić się w podobny sposób na schwytanych żołnierzach francuskich, dziesiątkowanych żółtą febrą lub też ginących marnie wśród ciągłych starć z buntowniczymi oddziałami. Dwudziestu generałów i dwie trzecie części wojsk republikańskich, wysłanych na podbicie wyspy z początkiem 1802 roku, znalazło na niej zgon przedwczesny w ciągu niespełna sześciu miesięcy, a Leclerc, przepowiadając utratę kolonii, domagał się nieustannie świeżych posiłków. Jakoż posyłano mu pod dostatkiem żołnierza, gdy już w kwietniu t. r. wyprawiono na San Domingo świeży korpus, złożony z pięciu tysięcy ludzi. O ile jednak wyprawiane pierwotnie wojska składały się z wyborowego żołnierza, o tyle następnie wysyłane oddziały tworzono z szumowin armii, z ciurów i z dezerterów, gdyż lepsze pułki zatrzymywał pierwszy konsul w kraju, zachowując je dla wykonywania swych planów na europejskim teatrze wojny.

Tymczasem burza srożyła się najokropniej w lecie 1802 roku na całym obszarze wyspy. W niektórych oddziałach armii francuskiej zabrakło już zupełnie oficerów sztabowych, podczas gdy murzyni, paląc i rabując wszystko, co im pod rękę wpadło, występowali z coraz to większą zawziętością przeciw białym, zwłaszcza od czasu, gdy na stronę powstańców przeszedł wraz z całą brygadą wojsk kolonialnych generał Karol Belair. Mulat ten, ogłosiwszy się wodzem naczelnym powstańców, dał się srodze we znaki Francuzom, którym poprzysiągł zemstę za Toussainta. Przeciw niemu to wysłano w sierpniu t. r. generałów Bruneta i Verneta, tudzież Władysława Jabłonowskiego, który, wyprawiony z rozkazu pierwszego konsula na San Domingo, dowodził półbrygadą wojska francuskiego.

Przez czas dłuższy wymykał się Belair ścigającym go, lecz ostatecznie zastąpił mu drogę Jabłonowski w dniu 29 sierpnia t. r. (1802) i pobitego na głowę zmusił do ucieczki.

— Po skończonej bitwie — pisze o tym spotkaniu Vernet do Bruneta — złączyłem się z oddziałem generała Jabłonowskiego, który, skarżąc się na ból głowy, udał się do murzyńskiej chaty, gdzie miał kwaterę, mówiąc, że dalsze ściganie band powstańczych powierzył majorowi Repussard oraz, że Dessalines zachodzi tymże bandom drogę od frontu, zatem wymknąć się nie mogą.

Posłałem Jabłonowskiemu lekarza, a kiedym się nazajutrz rano dla odwiedzenia chorego wybierał, powrócił lekarz do mnie oświadczając, że Jabłonowski, już od kilku dni ciężko chory, przed godziną życia dokonał. Objąłem natychmiast dowództwo trzydziestej ósmej brygady, a ciało Jabłonowskiego odesłałem pod konwojem do Verettes, z listem do tamtejszego proboszcza, aby je na cmentarzu przyzwoicie pochował.

Tak skończył towarzysz Napoleona ze szkolnej ławy, o którym następca Leclerca, generał Rochambeau, wyraził się w swym sprawozdaniu, iż był to waleczny, polski generał, który niezaprzeczenie oddał Francji wielkie usługi.

(Według opracowania St. Pepłowskiego)

PRZEGLĄD

(1813)

GALIBERTI

(1185)

PRZEGLĄD CESARSKI
(według obrazu Bellangé'a)

W sierpniu przypadały imieniny Napoleona (d. 15 t. m.), więc też na cztery czy pięć dni naprzód kazano w całej armii obchodzić to święto z wszelką, na jaką można się było zdobyć, okazałością, a nawet iluminacją. My więc w Zerbst wydaliśmy bal dość wesoły, chociaż zaimprowizowany na prędce. Na placu ratuszowym, przed moimi oknami była iluminacja, wśród której najwystawniej figurowała cyfra N. tej, jak tu wyrażam, formy. Ale że tego wieczora był wielki wiatr, przeto pierwsza szczególniej linia tej cyfry, nieco więcej może na przeciąg wystawiona, ciągle gasła, choć ją razy kilka zapalać kazałem. Tak zamiast N robiło się A i wówczas szefom batalionu Bogusławskiemu oraz Trębickiemu powiedziałem, iż kto wie, czy miasto Napoleona nie będziemy kiedyś musieli iluminować i fetować Aleksandra. Rychło też się sprawdziła niewinna moja wróżba.

W parę dni potem przyszedł rozkaz od Napoleona z Drezna, aby cała dywizja Dąbrowskiego skoncentrowała się w Lipsku pod dowództwem Arighi, księcia Padwy. Cesarz zapowiedział równocześnie swój przyjazd do Lipska celem zlustrowania jazdy. Tymczasem Berthier, powziąwszy prawdziwą, czy też

zmyśloną wiadomość, iż studenci z Halli zamierzają Napoleonowi zastąpić drogę, kazał w sześciu czy też w ośmiu miejscowościach rozstawić eskorty po kilkudziesięciu kawalerzystów, co zaraz o połowę zmniejszyło naszą brygadę jazdy, a cesarz jadąc spiesznie z Berthierem oraz z adiutantem swoim Moutonem, mało co zważał, że go tyle jazdy polskiej eskortuje. Podczas przeglądu ustawiła się dywizja Dąbrowskiego w ten sposób, że kawaleria zajęła stanowisko tuż obok miejsca, w którym cesarz wysiąść miał z pojazdu, zaś nasze trzy pułki piechoty stały rozwinięte jeden obok drugiego. Mój pułk drugi, jako posiadający numer najmniejszy, stał podług przepisu na prawym skrzydle, sprezentowawszy broń. Cesarz wyszedł z powozu i, zoczywszy przed sobą jeno szczupłą garść jazdy, wpadł w furię i zaczął besztać księcia Arighi i generała Dąbrowskiego, a do Berthiera głośno powiedział:

— Idź do diabła stary niedołęgo! — po czym Dąbrowskiemu oraz księciu Arighi jeszcze gorsza kwalifikacja się dostała; której tu nawet powtarzać nie chcę. Szukał cesarz sposobności, by na piechocie złość swą wywrzeć. A trzeba wiedzieć, iż w Dreźnie, gdzie codziennie na przegląd gwardii wychodził, wprowadzono w musztrze pieszej manewr, nie objęty regulaminem, a polegający na zdjęciu oraz na wkładaniu bagnetów w pewnym tempie. Napoleon, chcąc mieć przeto pretekst do łajania nas, stanął przed moim pułkiem i kazał mi przede wszystkim zsiąść z konia.

— Zsiądź z konia, pułkowniku — rzekł cesarz — za wiele sprawiacie kurzu.

Natychmiast więc zeskoczyłem z mojej ślicznej klaczy angielskiej i, uderzywszy ją szpadą, skierowałem między nagromadzone liczne pospólstwo. Cesarz kazał wziąć żołnierzom broń na ramię, zdjąć i osadzić bagnety. Manewr ten, ściśle wykonany według regulaminu, nie podobał się cesarzowi, więc zwróciwszy się do Dąbrowskiego zawołał:

— Jak to być może, więc nie ćwiczycie żołnierzy? Co to za pułkownik!

Usłyszawszy raz i drugi taką wymówkę, odważyłem się przemówić do cesarza w te słowa:

— Najjaśniejszy panie! Jeżeli Jego Cesarska Mość sądzi, iż mój pułk nie umie dobrze zdejmować i osadzać bagnetów, to w każdym razie potrafi się nimi dobrze złożyć do ataku!

Siedem razy z rzędu kazał nam cesarz atakować, a gdy generał Mouton, obdarzony nader silnym głosem chciał go wyręczyć w komendzie, jak się to zwykle praktykowało, rzekł mu Napoleon:

— Bądź cicho, chcę się przekonać, czy pułkownik zna swą powinność...

Niejednego, być może, podobne przemówienie mogło zdemontować, mnie zaś Bóg miłosierny udzielił daru, iż w im trudniejszym znajduję się położeniu, tym mocniej zdołam zebrać wszelkie, jakkolwiek słabe zdolności moje i przytomność mnie nie odstępuje. Komenderował więc cesarz różne obroty i żadnego nie dał zupełnie wykończyć, lecz, widząc, że idzie podług regulaminu, zaraz komenderował inny i znowu inny, co osiem lub dziesięć razy powtarzał, a często mówił:

— To dobrze, tak jest dobrze...

W końcu wpadł Napoleon w tak wyśmienity humor, iż kazał nam, pułkownikom, podać po czterech oficerów i po czterech podoficerów lub szeregowców do krzyża Legii honorowej. Zaraz więc wzięliśmy się do pularesów, i nazwiska kandydatów podaliśmy Berthierowi. Miałem ja w pułku moim adiutantem porucznika Lenkiewicza, małego bardzo wzrostu, ale tęgiego oficera. Był on moim faworytem, a choć nic nie umiał po francusku, okazał się nieraz zwinnym i dzielnym żołnierzem. Otóż ów Lenkiewicz widząc, że podaję Berthierowi listę kandydatów do krzyża, zapytuje mnie:

— Pułkowniku, a ja tam jestem?

Gdym mu z żalem odpowiedział, że nie podałem jego nazwiska, począł mój porucznik narzekać, żem o nim zapomniał, choć mu przedstawiałem, iż nie mogłem przecież pominąć obu szefów batalionowych, Bogusławskiego i Trębickiego, tudzież dwóch najstarszych kapitanów. Wszystko to go nie pocieszało, mówię więc do Lenkiewicza:

— Widzisz, że niedaleko stoi cesarz. Idź śmiało i proś go o krzyż. Ja tuż będę i poprę twą prośbę, a ręczę ci, że Legię dostaniesz.

— Kiedy nie umię po francusku...

— Powiedz tylko słowa: Sire mon croix — odrzekłem i podszedłem ku cesarzowi, wobec którego mój malec wyrecytował nauczony frazes.

— Czego chce ten smarkacz? — pyta Napoleon.

Wówczas ja wytłumaczyłem prośbę Lenkiewicza z tym dodatkiem, iż, mo-

gąc podać do krzyża tylko czterech oficerów z mego pułku, musiałem go pominąć.

— A czy zasługuje na krzyż? — zagadnął cesarz.

— I bardzo zasługuje — odpowiedziałem.

— Więc go dopisz — mówi Napoleon. — I tak się też stało. Na liście Berthiera dopisałem nazwisko Lenkiewicza, który otrzymał krzyż tyle upragniony.

Po odjeździe cesarza, Dąbrowski przywołał mnie i w obecności wielu oficerów uściskał serdecznie, dziękując, iż mą przytomnością umysłu i całą jego dywizję i jego samego z wielkiej wyprowadziłem biedy.

(Szymanowski J., generał adiutant marszałka Davoust'a)

NAGRODA

(1803)

CZWOROBOK (1815)
(według obrazu Protais)

Nagle, jak grom z jasnego nieba, spadł na legionistów, załogujących w Reggio, rozkaz gotowania się do wymarszu, o którym to rozporządzeniu rząd cyzalpiński wcale nie został uprzedzony.

W trzy dni później żołnierze byli gotowi do pochodu. Aksamitowskiego zawezwano do Parmy, dokąd zjechał sam Murat, podczas gdy przysłany przez niego generał Ottavio odbywał w Reggio przegląd półbrygady, liczącej w owym czasie trzydziestu siedmiu oficerów i 2.750 szeregowców.

W czasie owego popisu rozeszła się między legionistami wiadomość o ich przeznaczeniu na San Domingo, oraz oznajmiono im, iż w dniu 10 grudnia tego roku wódz naczelny w Parmie odbędzie paradny przegląd półbrygady. We wzorowym ordynku weszli legioniści w dniu oznaczonym do tego miasta, lecz Murat, uprzedzony przez Aksamitowskiego o możliwości rozruchu wśród żołnierzy, uznał za stosowne wyjechać do Mantui, zostawiwszy jednego ze swych adiutantów, celem oznajmienia przybyłym rozporządzenia pierwszego konsula.

Zaledwie też nasi stanęli na placu zboru, naprzeciw rezydencji książęcej, gdy pojawił się wysłannik naczelnego wodza i, otoczony wywołanymi z szeregów oficerami, odczytał im rozporządzenie następującej treści:

— „Pierwszy konsul, nagradzając zasługi i waleczne czyny drugiej półbrygady włoskiej, wciela ją do armii republikańskiej, nadając jej numer setny czternasty półbrygady liniowej francuskiej, a chcąc ją do dalszych podobnych czynów zachęcić, przeznacza ją na San Domingo, gdzie nasze wyborowe pułki francuskie w nagrodę... wysyłane bywały. Skoro tylko brygada setna czternasta stanie na miejscu swego przeznaczenia, oficerowie i żołnierze otrzymają naturalizację francuską z używalnością wszystkich praw i przywilejów obywateli Rzeczypospolitej". — Niech żyje Francja! Niech żyje pierwszy konsul! — odpowiedzieli żołnierze i w tejże chwili puste dotąd ulice zaroiły się tłumem mieszkańców. Okna i balkony zapełniły się strojnymi paniami, witającymi radośnie powiewaniem chustek i okrzykami idące do koszar wojska.

I teraz dopiero się okazało, że ludność Parmy, zaniepokojona pogłoskami o buncie legionistów, zamknęła się podczas ich wejścia do miasta w swych domostwach, lecz, przekonawszy się naocznie o spokojnej postawie wojska, wyruszyła tłumnie na jego przyjęcie.

— W rzeczy samej dzień ten był uroczysty dla Parmy — powiada Małachowski — a dla nas dniem pewności, że udajemy się tam, dokąd rokiem wprzódy wysłano naszych braci.

Nazajutrz opuścili Polacy Parmę. Aliści zaledwie wyszli z miasta, gdy niespodzianie przyłączył się do nich francuski pułk strzelców konnych, który, otwierając i zamykając pochód legionistów, tworzył tym samym ich eskortę. Postępek ten naczelnego wodza, dotknął wszystkich do żywego, będąc oznaką niedowierzania, na które nasz żołnierz żadną miarą nie zasłużył.

Smutne święta Bożego Narodzenia przepędzili legioniści w Novi, gdzie otrzymali rozkaz zatrzymania się tak długo, dopóki nie zostaną ukończone przygotowania do podróży w Genui.

Ministerstwo wojny nagliło, o ile możności, o pośpieszne wysłanie Polaków. Szyto dniem i nocą dla nich drelichowe mundury i kolorowe koszule, do czego, prócz więźniów, zazwyczaj szyjących mundury, zarekwirowano krawców cywilnych. — Wszystko się szybko robiło — opowiada dopiero co wspomniany Małachowski. — W sam dzień Nowego Roku 1803 weszliśmy do Genui, odbywając marsze jak najporządniej i z pewnym rodzajem zapału, chociaż przewidywaliśmy nasz koniec tak z niektórych korespondencji od na-

szych, wprzódy tam zesłanych, jako i z dzieł, opisujących najgorszy tej wyspy klimat oraz jej zabójczą żółtą febrę. Obojętność nasza na widoczną zagładę pochodziła stąd, iż wszystko nam jedno było czy tracić życie we Włoszech, czy gdzie indziej.

(Według opracowania St. Pepłowskiego)

OSTATNI ORDYNANS

(1814)

OSTATNIA KAMPANIA
(według obrazu Kratkego)

Cesarz był w kłopocie o Cesarzową i syna, których wyprawiono z Paryża do Blois i Orleans. Wojska bowiem austriackie, pod dowództwem księcia Schwarzenberga, z Bar-sur-Aube szły ku Sens i Auxerre. Generał Allix się tam bronił i ledwie krok za krokiem ustępował. Cesarz atoli bał się, aby wojska austriackie nie przebiegły drogi Cesarzowej i chciał posłać rozkazy generałowi Allix, by się ku rzece Loarze cofnął i zakrył miejsce, gdzie się znajdowała Cesarzowa. Kazał więc księciu Berthier wyprawić ten rozkaz *par un officier de confiance*, to były jego słowa.

Książę Berthier wyszedł z gabinetu cesarskiego do salonu służbowego, rozejrzał się po oficerach licznie zebranych i zawołał mnie i do pokoju za sobą iść kazał.

— Otóż — rzekł książę — misja *de confiance* do generała Allix. Zastaniesz go w Auxerre lub Chablis. Lecz nieprzyjaciel tam krąży w okolicy. Staraj się koniecznie dojechać do generała Allix, *mais ne vous faites pas prendre.*

Powiedział mi nadto książę, co w depeszach było, więc list do Cesarzowej

dla przesłania go jej i rozkaz dla generała Allix, aby się cofał, celem osłonięcia Cesarzowej, która miała być w Blois i ku Orleanowi dążyć.

Ruszyłem więc dnia 5-go kwietnia z Fontainebleau już nie kolasą, lecz na pocztowym koniu, co nazywają we Francji *un bidet*, a co znaczy, że pocztylion na drugim koniu siedzi i, jadąc przodem drogę wskazuje. Te konie są małe, lecz galopem dobrze idą, przy czym tak są wprawne, że gdy ruszą galopem ze stacji, to trzymają go aż do następnej stacji. Siodło bierze się własne i z konia na konia się przekłada.

Ruszyłem więc ku Sens, a stamtąd do Joigny.

Aż do Sens były owe *bidet*, lecz za Sens już ich nie było, bo austriackie wojsko wzięło je w rekwizycję.

Na ostatniej stacji przed Joigny dostałem konia ogiera, ciężkiego, który pewnie nigdy jeszcze pod siodłem nie był. Konia takiego nazywają *un maillet*, bo między dwoma dyszlami chodzi w dwukołowym wozie. Ten ogier galopem nie umiał iść, ledwie kłusem ciężkim. Pocztylion mój był na podobnym ogierze.

Pocztmistrz na ostatniej stacji przestrzegł mnie, że nieprzyjaciel niedaleko jest od Joigny i że patrole jego krążą, a nadto, że Joigny, niegdyś mocno ufortyfikowane, i dziś jeszcze jest w stanie obrony i że stoi w nim jeszcze francuska komenda, przy czym polecił pocztylionowi, aby mnie manowcami nad lasem powiódł.

Noc była ciemna, padał drobny deszczyk. Jechałem noga za nogą za moim pocztylionem ścieżkami, a nawet i wprost polami.

W dali, po lewej stronie, widać było łunę od biwaków austriackich, których główna kwatera była podobno w Saint-Florentin.

Gdyśmy z manowców mieli na bity trakt wyjechać i nad lasem sunęliśmy, ogier mego pocztyliona zarżał, mój mu odpowiedział. I tuż z narożnika lasu wyjeżdża kilku konnych w białych płaszczach.

Ja konia zatrzymałem, pocztylion mój był przede mną na jakie dwadzieścia kroków. Rozlega się głos:

— *Wer da?! Halt!*

I już jezdni trzymają mego pocztyliona, słyszę ich mówiących po niemiecku i słyszę jak mój pocztylion mówi słowo k u r i e r.

Chcę mego ogiera skręcić w lewo, bliżej ku lasowi, lecz ani rusz. Rwie mi się gwałtem za drugim ogierem.

Zeskakuję z konia, aby pieszo do lasu uciec.

A depesze moje nosiłem zawsze w bocznej kieszeni pod mundurem i obwijałem je zazwyczaj w chusteczkę jedwabną, czerwoną, co nazywają *un foulard*, aby się nie przetarły lub nie zawalały.

Zaledwie jednak z konia zeskoczyłem i puściłem go, już mnie żołnierze odcięli od lasu, bo na słowo k u r i e r do mnie się rzucili. Jeden z żołnierzy z konia mnie za kołnierz porwał, wołając na mnie *halt!* W tej chwili miałem moje depesze już w ręku i upuściłem je na ziemię. Zauważyłem, że w miejscu, przy którym mnie chwycili Austriacy, był kamień obciosany biały, o który nawet się potknąłem, a który znaczył pewnie jaką granicę własności.

Austriacy wzięli mnie między konie. Tu naraz nadjechało ich więcej ze starszym, który był podoficerem, bo miał trzcinę z gałką, u guzika wiszącą.

Pyta mi się ów podoficer, czy jestem kurierem, odpowiadam mu po francusku *un officier*. Żąda ode mnie depesz, mówię, że nie mam.

Austriacy prowadzą mnie przez jakąś drogę, poza las, do mera we wsi i tu mnie zaczynają rewidować.

Musiałem się rozebrać zupełnie, tak, że zostałem tylko w butach, gatkach jelonkowych, które zawsze nosiłem, i kaftaniku trykotowym na koszuli.

Zegarek i pieniądze zabrali mi, a mundur, szlufy, płaszcz, pałasz i resztę odzienia pozostawili na stole, nie pozwalając mi się napowrót ubrać.

Podczas podoficer dopytywał mi się wciąż o depesze, ja nie chciałem mu po niemiecku odpowiadać, aby nie wziął mnie za Polaka lub Niemca i tłumaczyłem mu łamaną mową, że wracam z misji i że depesze, które miałem, już doręczyłem.

Podoficer nie bardzo temu wierzył i odgrażał się po niemiecku do swoich żołnierzy, że gdy do obozu mnie wezmą, to będę tam musiał wszystko wygadać.

Żołnierzom szło o zegarek i pieniądze. A miałem dziewięćdziesiąt napoleondorów w sakiewce. Chcieli się dzielić, lecz podoficer nie pozwolił, mówiąc, że jako oficer mogę się na nich skarżyć.

Ja na ich powtórne zapytania powiedziałem w dodatku, że jestem *major du quartier général*. A oni na to: *ja, general!*

Nie wiem, czy myśleli może, iż jestem generałem?

Następnie kazali sobie dać wina merowi, który się po izbie kręcił. Kobiet w pokoju nie widziałem.

Za czym Austriacy gotowali coś na kominie, wychodzili i przychodzili, na górze ich było słychać, krzyczeli na mera i popychali go. Słowem, dokazywali sobie jak zazwyczaj żołnierze w kraju nieprzyjacielskim.

Dali mi wina i do miski zaprosili, w której nie pamiętam co było za jedzenie. Lecz mi się jeść nie chciało. Siedziałem smutny, myśląc sobie o nieszczęściu moim i to w samym końcu kampanii i po tylu przebytych pomyślnie wypadkach.

Moi Austriacy (byli to, jak słyszałem później w Joigny, dragoni czy szwoleżerzy *de la Tour)*, najadłszy się, ku spoczynkowi się zabierać zaczęli.

Nanieśli słomy do izby, pobrali nieco pościeli z łóżek i kilku z nich, a między nimi podoficer, położyło się. Jeden przy kominie został i fajkę pali. Reszta była w stajniach. Razem mogło ich być od piętnastu do dwudziestu, pięknego luda i dobrze odzianego.

Uciszyło się. Zdawało mi się, że warta była przed domem, bo słyszałem kroki na dziedzińcu.

Mój mer tymczasem wchodził do izby i wychodził. Aż wszedłszy znów i widząc, że Austriacy chrapią i że nawet ten przy kominie drzemie, podchodzi do mnie. (Był to człowiek niemłody już, odziany w modrą koszulę, którą we Francji wszyscy chłopi noszą). Po czym siada przy stole moim i pyta, czy jestem Francuzem.

Odpowiadam, że tak jest i że jestem oficerem ze sztabu Cesarza i że jechałem do Joigny, gdy mnie do niewoli zabrano. A mer na to, żaląc się nade mną, mówi, że istotnie Francuzi są w Joigny i to *une compagnie franche*, to jest powstanie, zebrane z ochotników i gwardii narodowej, że do miasteczka pół mili drogi od tej wsi i że las zaraz za wsią aż pod miasto się ciągnie. I dalej pyta się mnie, czybym nie chciał uciec. Odpowiadam, że najchętniej, aby tylko nie wpaść znów w ręce Austriaków.

Mer na to wstaje, chodzi po izbie, wchodzi do sąsiedniego pokoiku i trzaska drzwiami. Nareszcie bierze miskę dosyć dużą ze ściany i upuszcza ją na ziemię. Miska tłucze się z hałasem. Na kominku tlił się ogień, a nadto świeca licha się paliła, co razem jednak słabo oświecało izbę.

Na hałas stłuczonej miski rozejrzał się mój mer na wsze strony, a widząc, że się żaden z żołnierzy nie obudził, bo jeden chrapnął mocniej, drugi mruknął coś, a ten przy kominie siedzący nawet się poruszył, lecz znów usnął, roześmiał się do mnie tak, że mi w półciemności swe białe zęby pokazał. Dopieroż przybliża się do mnie i mówi: tam, za tym leżącym żołnierzem, są drzwi na ogród, a dalej ścieżka, prowadząca przez rów, a kilka kroków za rowem jest las. Idź tamtędy, a lasem trafisz aż pod miasto.

Powinienem był schwycić na te słowa za spodnie, płaszcz lub mundur, lecz gdy mi ten poczciwy chłop drzwiczki otworzył, ja, już nie myśląc o niczym innym jak o ucieczce, przeżegnawszy się, ruszam.

Przechodzę przez nogi żołnierza, słoma na posłaniu chwarszczy. Ów śpiący, gdyby się zbudził, mógłby mnie był za nogę złapać. Lecz dalej już był skok jeden, i już byłem za domem! Nawet cug powietrza wpadł do izby, jednak żołnierzy nie przebudził.

Ruszam więc, lecz ledwie minąłem ścieżkę, wpadam w rów. Wody w nim miałem po kolana. Dobywam się z rowu i biegnę, aż trafiam do lasu, ani czując zimnej kąpieli w rowie.

Ba, lecz cóż to był za las! Po prostu tak zwany we Francji *un taillis*, czyli dębowy zagajnik, pełen różnego chwastu na jakieś trzy łokcie wysokości, same rózgi, które z pni wypuściły. Gdyby to był nasz las sosnowy, to byłbym miał schowanie dobre.

Szukam więc gęstwiny, biegam w różne strony, lecz wszędzie jednakowo. Nareszcie znajduję dół od pnia, pełen dębowych liści. Tu sobie wygrzebuję siedlisko i, skurczywszy nogi, siadam.

Tymczasem deszcz drobny pada ciągle, mgła duża. Gdym się zagrzebywał, było mi gorąco, po chwili czuję ziąb.

Przemoczony cały, bo jak wiadomo, byłem tylko w gatkach i kaftaniku skórzanym, siedziałem w tym dole nie wiem ile godzin. Słyszałem odgłos bębnów francuskich i trąbek austriackich. Pierwsze bliżej, drugie dalej się odzywały.

Zaczęło dobrze dnieć. Naraz słyszę, że ktoś idzie ku mnie. I widzę chłopa, pędzącego przed sobą osła, na którym kobiałki dwie wiszą, i wołającego: *gia! ano!* (co znaczy w mowie francuskiej do osłów: na prawo! na lewo!) i idącego wprost ku mnie.

Rozpatruję się dokoła i postrzegam, że siedzę najdalej o jakie dziesięć kroków od traktu, który z Joigny szedł po Villeneuve i na którym Austriacy mnie pochwycili. Gdyby się tak ci dragoni konno puścili na trakt, byliby mnie po raz drugi pewno spostrzegli.

Byłem tak zdrętwiały, że na nogach nie mogłem ustać i ledwie na kolanach się opierałem.

Wołam na chłopa, ten przeraził się zrazu, lecz stanął i pyta, czego chcę. Tłumaczę mu w krótkich słowach moją przygodę i o drogę do Joigny zapytuję. A on mi rzecz: Ach! to ty jesteś ów człowiek, co uciekł z domu naszego mera, co go „Kozacy“ szukali i o mało mera nie zabili?! Opisuje mi dalej chłop, co się stało, powiada, że „Kozacy“ (dragoni) pojechali do Sain-Florentin, i że Joigny leży tuż przed nami i że on tam właśnie idzie.

Ruszam więc z moim chłopem, zawsze trzymając się brzegu lasu, i tak przybywam z nim na pole, gdzie już widać było miasto, wedety i *grandgarde* piechoty francuskiej. Tu proszę chłopa, by mi pożyczył swej modrej koszuli,

bo mi wstyd tak wchodzić do miasta. Chłop przystał, zdjął koszulę i ja ją wdziałem.

Tu wedeta na nas woła, grandgarde przychodzi. Pytam się, gdzie stoi komendant i jak się nazywa. Podoficer spogląda na mnie i uśmiecha się. W rzeczy samej w dziwnym byłem stroju. Buciki z ostrogami, gatki skórzane zmokłe, modra bluza i ani chustki na szyi, ani kapelusza.

Mówię, że jestem oficerem sztabu Cesarza, że dostałem się do niewoli i uciekłem. Świadczę się nadto chłopem. Ten powiada, że mnie nie zna, ale słyszał i wie, że kurier wzięty w niewolę z domu mera uciekł.

Podoficer daje mi żołnierza, aby mnie do komendanta zaprowadził. Pytam się, co tu jest za komendant. Podoficer objaśnia mnie, że stary kapitan, jeszcze z czasów Rzeczypospolitej, oficer *en retraite* i jako ochotnik wezwany do komendy.

Jakoż istotnie staję wkrótce przed jakimś starym, chudym oficerem o wyglądzie dosyć ordynarnym, z krzyżem Legii honorowej na piersiach, w mundurze (fraku) długim, prawie do kostek i butach ze sztylpami.

Komendant pyta mi się, co jestem za jeden. Tłumaczę mu więc, opowiadam całą przygodę, cel mojej misji staram się mu wystawić jako bardzo ważny i proszę o śpieszne wyprawienie mnie do generała Allix, który ma się znajdować bądź w Auxerre, bądź w Chablis.

Komendant pyta mnie o legitymacje, gdy mu znów powtarzam opis wzięcia mnie do niewoli, powiada:

— *C'est bon tout cela, mais vos papiers? On ne peut ajouter foi à tout cela sans papiers.*

Proszę więc, żeby mnie choć pod eskortą do generała Allix posłał, jeżeli mi nie wierzy, bylem najprędzej mógł się tam dostać. Lecz komendant wciąż mi o papierach mówi i że teraz są czasy wojenne, że mogę być *un homme suspect*, i tak mi baje, chodząc po pokoju. Nawet, zda mi się, iż pod nosem mruczał, że mnie do aresztu musi wsadzić *jusqu'à plus ample information.*

Na moje szczęście, nadchodzi na to jakiś młody oficer, najwyżej dwudziestoletni. Stary kapitan opowiada swój ambaras i wyraźnie mówi, że musi mnie do kozy wsadzić, aż się nie wylegitymuję. Ja znów zaczynam od początku. Młody oficer słucha mnie z uwagą, jakby to na nim wrażenie robiło, a po-

tem pyta mnie kogo znam z oficerów, będących przy Cesarzu. Wyliczam mu wszystkich jak litanię. To go jakoś dobrze ku mnie usposobiło, nawet kapitan, słysząc imiona znanych osób, poglądał na mnie już nie tak podejrzliwym okiem. I dalej, pyta mnie oficer, gdzie byłem wzięty do niewoli. Opisuję mu miejsce i na chłopa się powołuję. Kazali chłopa sprowadzić, lecz już go nie było.

Tu oficer odzywa się do kapitana:

— Pewnie tego pana wzięli pod N..., bo tam wczoraj patrol „kozacki" był, do którego nasze forpoczty ognia dały. Mieliśmy zrobić dziś *une reconnaissance* w tę stronę dla zdania raportu generałowi, więc mógłbym iść z tym panem *et nous verrons.*

Kapitan na to przystał i dał instrukcję oficerowi, a nadto coś mu do ucha powiedział, pewnie by na mnie dobrze uważał.

Ja, będąc ciągle w stroju, który opisałem, poprosiłem o jaki płaszcz lub surdut, bo mi było zimno; dał mi więc płaszcz stary żołnierski, pewnie po jakim nieboszczyku i swoją furażerkę.

Wziął oficer ze sobą trzydziestu żołnierzy i pojechaliśmy.

Gdyśmy dotarli do lasu, powiadam do oficera, że od razu trafię na miejsce, w którym część nocy spędziłem. Jakoż wskazałem mu ów dół w lesie.

Jedziemy dalej nad lasem i aż na pole trafiamy. Od środka lasu znać było na trakcie kopyta końskie i wyraźny przechód kawalerii. Zwracam uwagę oficera, że tu byli dragoni. Równocześnie od narożnika lasu widać było ślady głębsze, wyraźnie koni galopujących. Poznaję miejsce i powiadam, że w tej okolicy byłem wzięty.

Oficer snać nie chciał dalej maszerować i stanął, wahając się, czy aż do owej wsi, którą widać było w dole, o ćwierć *lieu*, jechać.

Gdy się mój oficer tak namyśla, a rozgląda po okolicy, jakby kogo chcąc upatrzeć, postrzegam, że jeden żołnierz ma coś czerwonego w ręku i rozwija. Poznaję moją chustkę *foulard* z depeszami! Biegnę więc uradowany do żołnierza i wołam: *Mes dépêches, c'est mon foulard!*

Oficer nadciąga. Pokazuję mu mój rozkaz i list do generała Allix z pieczęcią cesarską. Poprzednio już mówiłem mu jak się nazywam, że jestem sze-

fem szwadronu i t. d. W rozkazie moim, zamokłym wyczytał toż samo i przekonał się o rzeczy.

Dopieroż miny nabieram śmielszej i powiadam, że wracamy do Joigny, bo nie mam czasu do stracenia, depesze są za ważne, abym się tu bawił.

Zawróciliśmy natychmiast. W drodze rozpowiedział mi oficer, że dopiero kilka miesięcy, jak wyszedł ze szkoły w Saint-Cyr, że go wysłano tu, aby ufor-

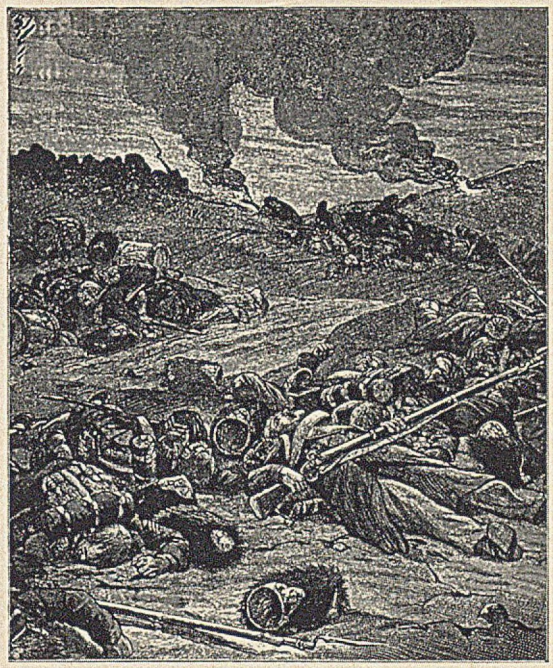

tyfikował nieco Joigny i był przy owym kapitanie, który, choć dobry i stary żołnierz, ale ignorant, ograniczony i zarozumiały.

Przybywam do Joigny. Wpuszczam oficera na górę, do kapitana, z mymi depeszami, a sam zmęczony na dole zostaję i przed domem siadam.

Po chwili schodzi mój kapitan i, zdjąwszy kapelusz, który poprzednio, gdy ze mną rozmawiał, miał wciąż na głowie, — zaczyna dopiero:

— *Ah, je vous salue, commandant, je n'ai plus rien à dire, mais éxcusez moi, voyez vous en temps de guerre, l'ennemi devant nous etc. etc.*

Podaję rękę kapitanowi i żądam natychmiast koni z wózkiem do Auxerre,

a tymczasem śniadania. Jakoż wkrótce wsiadłem do wózka i wyjechałem do Auxerre, gdzie generała Allix zastałem. Generał nader się ucieszył z mego przybycia, bo był bez rozkazów i jedynie złe i sprzeczne ze sobą wieści odbierał z Paryża i okolic. Dał mi generał pieniędzy na drogę i depesze swoje, na ważność tych depesz zwracając moją uwagę.

Dowiedziałem się później od generała Monthion, że w depeszach tych generał Allix donosił Cesarzowi, że w ręce jego wpadł adiutant Cesarza Franciszka, wysłany przez tegoż do Paryża, do cesarza Aleksandra i do króla pruskiego, z doniesieniem, że cesarz Franciszek nie zezwala na detronizację swej córki i swego wnuka, że protestuje przeciw temu, co zaszło w Paryżu, i rozkazuje księciu Metternichowi i hrabiemu Stadionowi, by się nie ważyli podpisywać detronizacji córki i że ta ma być *Régente de l'Empire*, jak ją Napoleon mianował. Generał Allix oficera puścił do Paryża z tą depeszą, o czym donosił właśnie Cesarzowi. Lecz było już za późno, bo Napoleon akt abdykacji podpisał, a zdrada Talleyranda, Clarka, Fouché'a, Marmonta i innych nakłoniła monarchów ku Burbonom.

Znajduje się o tym wypadku wspomnienie w jednym z dzieł, opisujących epokę.

Z Auxerre wróciłem na Montargis do Fontainebleau, dokąd przybyłem dnia 10-go kwietnia.

W Fontainebleau udałem się zaraz do zamku. Grenadierzy u bramy nie chcieli mnie wpuścić w tym moim stroju, lecz gdym do nich przemówił, wpuścili mnie na dziedziniec. Tu spostrzegłem z daleka przechodzących pułkowników sztabu księcia Berthier panów Galbois i Stoffel. Podchodzę do nich, spuściwszy czapeczkę na oczy, i podaję im rękę. Ci mnie nie od razu mogli poznać, aż dopiero poznawszy, najuprzejmiej przywitali, mówiąc, że mnie już za zgubionego mieli i że się Cesarz i książę Berthier mocno kłopotali, czy generał Allix zdołał znane rozkazy uskutecznić. Obawiał się bowiem jeszcze Cesarz, by Cesarzowej i syna do niewoli nie wzięto.

Dowiedziałem się od tych moich kolegów o uskutecznionej i dokonanej abdykacji Cesarza, co, jak sobie każdy łatwo wystawić może, nader mnie zmarwiło.

Poszedłem więc do sali służbowej i oddałem moje depesze księciu Berthier,

którego pułkownik Stoffel uprzedził o moim powrocie. Ucieszył się książę, lecz się zadziwił, na mnie wejrzawszy. Za czym przeczytał zaraz list generała Allix, w którym podobno i o mnie była mowa, i poszedł do Cesarza. Aż wrócił wkrótce i odezwał się do otaczających:

— *Messieurs, voila encore un polonais qui nous sert le dernier!*

(Grabowski J., oficer sztabu Napoleona I)

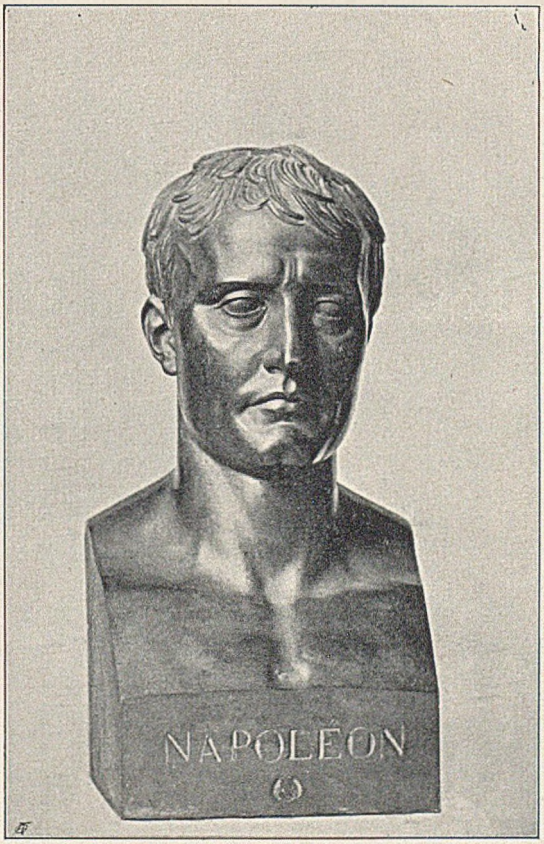

Studium Nauczycielskie Biblioteka Gliwice

SPIS RZECZY

Wstęp do Gawęd 7
Szkoła wojskowa w Wiedniu (H. Dembiński) 15
Zdarzenie podczas zawieszenia broni (R. Wybranowski) 27
Audiencja u Piusa VI (Drzewiecki J.) 39
Pod Saragossą (Mroziński J.) 47
Wagram (Szymanowski J.) 57
Czyn chwalebny kompanii grenadierskiej (R. Wybranowski) 67
Liberadzki (Drzewiecki J.) 77
Schoenbrunn (Załuski J.) 83
Wjazd Ludwika XVIII do Paryża (Grabowski J.) 93
Saint-Georges (H. d. St. Albin) 103
Francuzi w Poznaniu (Chłapowski D.) 111
Baśka markietanka (H. S.) 119
Włosy cesarza (Grabowski J.) 127
U paszy widdyńskiego Paswan-Oglu (Kosmowski St.) 133
O siłaczach (Załuski J.) 143
Piąty pułk w roku 1811 (Dembiński H.) 153
Osiemnasty brumaire'a (Drzewiecki J.) 161
Za Tremona (Pepłowski St.) 169
Obrona Gdańska (Ostrowski A.) 175
Szwoleżerzy w Hiszpanii (Załuski J.) 185

Wspomnienie z kampanii (Wybranowski R.) 209
Campo-Formio (Drzewiecki J.) 223
Egipt (St. Albin) 233
Pod Lipskiem (Grabowski J.) 243
Buty (Drzewiecki J.) 257
Bajonna (Załuski J.) 265
Pojedynek (Kosmowski St.) 273
Kozak Maksym i Jóżko (Wybranowski R.) 279
Bitwa pod Bosco (Dąbrowski H.) 295
W marszu do Grodna (Dembiński H.) 303
San Domingo (Pepłowski St.) 309
Przegląd (Szymanowski J.) 319
Nagroda (Pepłowski St.) 327
Ostatni ordynans (Grabowski J.) 335

B I B L I O T E K A
Państwowego
w GLIWICACH

1997 -12- 11

07. 07. 1999

2009 -09- 03

2012 -01- 11

2012 -09- 11

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH
21040 spec.
szafa
żaluzjowa

DRUKARNIA
W. L. ANCZYCA
i SPÓŁKI
W KRAKOWIE